Kronika miasta Łodzi

kwartalnik • 4(60)/2012

15/00

J. P.
w Łodzi
cw 127069/2013

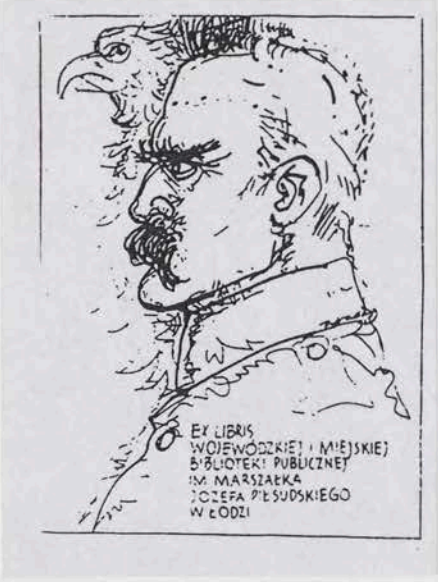

ew/dk/58/13

10671-A 2012 - nr 4

Kronika miasta Łodzi

kwartalnik ● 4(60)/2012

Łódź 2012

Wydawca:

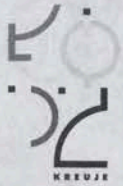

Urząd Miasta Łodzi
Biuro Informacji i Komunikacji Społecznej

Redakcja:
Gustaw Romanowski – redaktor naczelny

W zredagowaniu numeru uczestniczyli:

Koncepcja i koordynacja:
Marcin Kieruzel

Współpraca redakcyjna:
Małgorzata Golicka-Jabłońska

Projekt typografii i okładki:
Andrzej Chętko

Zdjęcia:
Autorzy, Archiwum UMŁ

Skład i druk: Drukarnia WIST
95–100 Zgierz, ul. Barona 8 B

Łódź, 2012

Redakcja:
Kronika Miasta Łodzi, ul. Piotrkowska 115, III piętro
90–430 Łódź, tel. (42) 638–44–39
e-mail: kronika@uml.lodz.pl

ISSN 1231-5354

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów.

Spis treści

Życzenia Noworoczne	**5**
pierwsze kolumny	**7**
Błażej Filanowski, Po II Kongresie Ruchów Miejskich w Łodzi	9
Andrzej Majer, Miejskie ruchy społeczne	17
Marta Madejska, II Kongres Ruchów Miejskich	24
Wojciech Makowski, O co chodzi rowerzystom?	30
Błażej Filanowski, Problem: Wielkomiejska Piotrkowska	37
Gabriela Jarzębowska, *Ekologie miejskie*, czyli konstruowanie procesów	46
historia	**51**
Kamil Śmiechowski, Łódź na mapach 1793-1939	53
Przemysław Waingertner, Wojewodowie łódzcy (część 4)	58
Grzegorz Mnich, Ingerencje cenzury w łódzkiej prasie codziennej (1949-1956)	64
kultura	**75**
Alicja Rekść, II Festiwal Kinetycznej Sztuki Świata	77
Adam Kożuchowski, Józefa Rotha podarunek dla Łodzi	80
Anna Nawrot, Trzy spojrzenia na dziedzictwo łódzkiej awangardy	87
Marcin Kieruzel, Powrót bohatera	95
Gustaw Romanowski, Roman Modzelewski w 100 rocznicę urodzin	102
Gustaw Romanowski, 90 lat Stanisława Fijałkowskiego	109
łodzianie	**117**
Iwona Śledzińska-Katarasińska, Wojciech Słodkowski (1951-2012)	119
Krystyna Krygier, Bohdan Mościcki (1922-1985)	121
recenzje	**127**
Grzegorz Krzymianowski, Kolejna książka o Rumkowskim	129
Grzegorz Krzymianowski, Był sobie Jazz	134

osiedla, domy, ulice | **139**
Dariusz Kędzierski, Ulica Wróblewskiego | 141
Andrzej Jankowski, Dawny Park Kolejowy | 155

opracowała Małgorzata Golicka-Jabłońska **Z łódzkiego raptularza** | 165

Życzę, aby Nowy 2013 Rok
przynosił naszemu miastu bogactwo możliwości,
przekształcając co dzień ambitne plany w rzeczywistość,
a Łodzianom dawał satysfakcję
z ich spełnionych nadziei, aspiracji
oraz indywidualnych zamierzeń.

Prezydent Miasta Łodzi

Hanna ZDANOWSKA

pierwsze kolumny

Po II Kongresie Ruchów Miejskich w Łodzi
Nowa siła obywatelskiej aktywności
Błażej Filanowski
str. 9

Miejskie ruchy społeczne
Andrzej Majer
str. 17

II Kongres Ruchów Miejskich
Drogi skutecznego rozwoju
Marta Madejska
str. 24

O co chodzi rowerzystom?
Bezpieczniej, oszczędniej, zdrowiej
Wojciech Makowski
str. 30

Problem: Wielkomiejska Piotrkowska
Miasto przyjacielskie – miasto poprawne
Z urbanistą architektem Zbigniewem Bińczykiem rozmawia Błażej Filanowski
str. 37

***Ekologie miejskie*, czyli konstruowanie procesów**
Projekt Muzeum Sztuki w Łodzi
Gabriela Jarzębowska
str. 46

Po II Kongresie Ruchów Miejskich w Łodzi

Nowa siła obywatelskiej aktywności

Studentka architektury jeżdżąca na „ostrym kole", młody artysta w jaskrawej koszulce i bojówkach, emerytowany profesor w granatowym garniturze. Działają w zaciszu prywatnego mieszkania, w biurze fundacji lub stowarzyszenia, a czasem na ulicy, biorąc udział w happeningach przed telewizyjnymi kamerami. Łączy ich tylko jedna maniera: nadgorliwie odmieniają przez wszystkie przypadki słowo „miasto". Czemu właśnie ono tak owładnęło myślami tych ludzi? Wspólnie stoją w korkach, płacą te same stawki za wodę i wywóz śmieci, czują zimny pot na plecach, idąc zrujnowaną ulicą, która miały być „zrewitalizowana", i czują to samo: najwyższy czas coś z tym zrobić.

Miasto jest zbyt ważne...

„Miasto jest zbyt ważne, aby jego projektowanie pozostawić mieszkańcom" – zwykł mawiać architekt, malarz, rzeźbiarz i urbanista Le Corbusier (1887-1965). Ten czołowy przedstawiciel stylu międzynarodowego w architekturze oraz modernistycznego planowania miast już przed drugą wojną światową zdawał sobie sprawę z zachodzących przemian cywilizacyjnych. Miasta w XX wieku zaczęły rosnąć w niespotykanym tempie, co stanowiło pokłosie rewolucji przemysłowej. Nowe technologie zapowiadały kolejne przemiany w transporcie, zarówno morskim czy lotniczym, jak i samochodowym. Świat wszedł w epokę, w której odległość przestaje być barierą, a to zmienia sposób funkcjonowania metropolii. Modernizm zaprzeczył „chaotycznej" dziewiętnastowiecznej koncepcji rozwoju miast, dzieląc je na strefy: mieszkalne, przemysłowe, biurowe, handlowe. Budując osiedla oddalonych od siebie wysokich budynków, realizował postulat światła, powietrza i udogodnień cywilizacyjnych dla wszystkich mieszkańców. Miasto miało stać się maszyną do życia, a dom maszyną do mieszkania dla nowego, „zorganizowanego" człowieka. Przykładem realizacji tej utopii była Brasilia, budowana na pustym polu stolica Brazylii, powstające od 1960 roku „miasto idealne", z którego kłopotami do dziś trudno sobie poradzić.

W powojennej Polsce modernistyczną urbanistykę połączono z gospodarką planowaną – konieczność odbudowy miast i łatwość wywłaszczania doskonale wspomagały realizację reformatorskiej standaryzacji, która w latach 60. nabrała rozpędu. Wielość realizacji „nieludzkich" w wymiarze urbanistycznym wraz z estetycznym zunifikowaniem doprowadziła do powstania modelu degradujących indywidualność „osiedli z wielkiej płyty". Powstawały one u nas, gdy w Ameryce i Europie Zachodniej krytycy modernistycznego spojrzenia na miasto, jak Jane Jacobson, Peter Hall czy Robert Venturi, postulowali już powrót do gęstej, zróżnicowanej zabudowy miejskiej oraz pogodzenie się z faktem wielości i zróżnicowania potrzeb mieszkańców. W podejściu do planowania miast pojawiło się wiele ważnych pomysłów: koncepcja miasta-ogrodu, urbanistyka postmodernistyczna czy forma otwarta w architekturze Oskara Hansena. Nie wchodząc w szczegóły, istotna jest zasadnicza zmiana, która dokonała się w urbanistyce w ciągu XX wieku. Zdano sobie sprawę, że miasto stało się zbyt ważne, aby w jego projektowanie nie włączyć mieszkańców.

Nowe wyzwania

Miasto zawsze było w awangardzie życia społecznego i kulturalnego. Tworzyły się w nim grupy osób zainteresowanych jego rozwojem, w którym widziały drogę realizacji własnych potrzeb. Jednak od połowy lat 90. w miastach amerykańskich, europejskich, azjatyckich, australijskich obserwujemy nowy, unikalny sposób organizowania się aktywistów, który coraz bardziej potrzebuje samookreślenia. Objawy wyczerpania się aktualnego modelu zarządzania miastem, kłopoty z organizacją transportu prywatnego i publicznego, potrzeba bardziej ekologicznej i ekonomicznej polityki miejskiej, wreszcie suburbanizacja (czyli uciekanie mieszkańców na przedmieścia przy jednoczesnym wyludnianiu się obszarów centralnych) stały się wspólnymi problemami większości współczesnych miast. Globalizacja i rozwój techniki przynoszą kolejne wyzwania. Łatwe przenoszenie produkcji z miejsca na miejsce przez wielkie koncerny sprawia, że miasta muszą walczyć o inwestycje. Łączy się to często z zepchnięciem na margines interesu mieszkańców i mniejszych lokalnych przedsiębiorców. Relacje przestrzeni publicznych i prywatnych również stają się coraz bardziej skomplikowane, czego przykładem są centra handlowe, rozległe kompleksy biurowe czy ogrodzone osiedla. Władze wielu miast zaniedbują dobro wspólne, jakim jest unikalna architektura, urbanistyka, miejsca historyczne, sieć wodna czy obszary cenne przyrodniczo. Niszcząc historię, uderzają w tożsamość mieszkańców. Jednocześnie tracą ogromny atut, którym w światowej gospodarce jest odrębność i oryginalność. Poczucie wyłączenia z procesu decyzyjnego i braku określonych priorytetów w rozwoju miasta jest katalizatorem współczesnych miejskich inicjatyw, społecznych ruchów, aktywizmu widocznego zarówno w przestrzeni miejskiej, jak i wirtualnej. Podobnie jak w rewolucjach arabskich, także w przypadku ruchów miejskich internet ma niebagatelne znaczenie. Miejscy pasjonaci w dużej mierze dzięki niemu odkryli swoje bratnie dusze

i podobne formy aktywizmu w innych miastach. Na różnego rodzaju forach spotykają się grupy dobrze poinformowanych osób, bardzo wysoko podnosząc poprzeczkę lokalnym serwisom informacyjnym.

Odmieniamy Łódź

Mnogość działań i osób zaangażowanych we współczesne miejskie inicjatywy w Łodzi to materiał na solidną książkę. W stosunkowo krótkim tekście nie można opisać genezy i historii łódzkich ruchów, można natomiast przedstawić subiektywne spojrzenie na aktywizację łodzian w ostatnich latach.

W 2005 roku, po wygaśnięciu miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego, stało się coś, co wstrząsnęło dużą grupą miejskich aktywistów. Zbudowane na początku XX wieku zakłady Karola Rajmunda Eiserta zostały wyburzone przez obecnego właściciela. Planów rewitalizacji podobnych do centrum handlowego Manufaktura nie przedstawiono – działka została „oczyszczona", a władze miejskie okazały się bezradne. Posypały się słowa oburzenia. Po raz pierwszy tak mocno zawrzało na forum internetowym Skycraper, w komentarzach pod artykułami gazet online i na portalach społecznościowych.

W 2006 roku kolejna wiadomość zelektryzowała mieszkańców miasta – przed mieszczącą się w historycznym budynku fabryką koncernu Gillette w Łodzi zatrzymano turystkę z USA, która robiła zdjęcia. Ochrona bezprawnie zmusiła ją do usunięcia wszystkich fotografii budynku. Reakcją na to był happening *Wolno fotografować* nieformalnego stowarzyszenia Grupa Pewnych Osób. Akcja polegała na zebraniu się kilkudziesięciu fotografów, którzy o umówionej godzinie zaczęli robić zdjęcia obiektu Gilette, wzbudzając konsternację. Akcja zmusiła koncern do przyznania się do błędu i przeproszenia obywatelki USA. Takie niekonwencjonalne akcje w przestrzeni miejskiej to strategia wyniesiona ze świata sztuki.

Warto przypomnieć choćby akcję *Legalność przestrzeni* Ewy Partum z 1971 roku, podczas której artystka umieściła na małej przestrzeni na Placu Wolności kilkadziesiąt rozmaitych znaków zakazu, ukazując opresyjność prawa obowiązującego w miejscach publicznych. Artystyczne działania o tematyce miejskiej to także m.in. akcje łódzkiej Pomarańczowej Alternatywy, *Pomnik kamienicy* grupy Urząd® Miasta i szereg działań z lat 90., animowanych przez Galerię Manhattan. Wyjątkowa ilość takich happeningów miała miejsce w okolicach Piotrkowskiej 58 po zburzeniu przez koncern PGE w 2007 roku stojącej tam kamienicy. Rozbiórka była konsultowana z konserwatorem zabytków, a firma zobowiązała się do odbudowy budynku w ciągu trzech lat. Niestety, bogaty potentat nie wywiązał się z obietnic, a na miejscu kamienicy urządził sobie prowizoryczny parking dla pracowników. Pierwszą akcję przeprowadziła w tym miejscu GPO, potem trzydziestolecie odsłonięcia „pomnika kamienicy" uczciła tam grupa Urząd® Miasta, wreszcie do „happenerskiej krytyki" przystąpiło stowarzyszenie Kultura Aktywna.

Działania w przestrzeni miejskiej, wymiana informacji w internecie oraz informowanie mediów były pierwszymi formami ekspresji początkowo nielicznych aktywistów miejskich.

Z czasem działania tego typu stały się powszechną formą nacisku i wyrażenia swojego niezadowolenia i z pewnością będą rozwijane i wykorzystywane także w przyszłości.

Wspólna przestrzeń

Miejskie inicjatywy w Łodzi mają wiele celów, ale jednym z najbardziej wyrazistych jest walka o jakość przestrzeni publicznej. Liczne akcje Grupy Pewnych Osób zwróciły uwagę na brak elementarnego poszanowania estetyki naszej przestrzeni, tolerancję dla nielegalnego rozwieszania plakatów, zaniedbywanie zieleni miejskiej, niewystarczające informacje dla przyjezdnych. Ujawniano zwyczajne zaniedbania, zarówno władz lokalnych, jak i prywatnych firm. Często były to pozornie drobne niedociągnięcia, których likwidacja nie wymagała znacznych środków finansowych, ale rzutowały one znacząco na wizerunek naszego miasta. Kolejnym ważnym obszarem działań aktywistów stała się ochrona zabytkowej substancji miasta. Powodem do troski jest dla nich nie tylko niedostateczna ochrona zabytków, narażonych na nielegalne wyburzenie, ale także pogarszający się stan wielu z nich. W odpowiedzi na te problemy Grupa Pewnych Osób oraz Stowarzyszenie Fabrykancka na wzór Czerwonej Księgi Gatunków Zagrożonych IUCN stworzyły Czerwoną Księgę Zabytków. Za jej pomocą dzielono się informacjami o stanie, statusie, własności, historii i ewentualnych planowanych remontach obiektów. Mimo licznych działań medialnych i apeli do władz miasta proces burzenia łódzkich zabytków trwał nadal. Szalę goryczy przechylił incydent z 2008 roku, kiedy to wyburzono wiele historycznych budynków wchodzących w skład kompleksu zakładów Ludwika Geyera niemal na przeciwko Centralnego Muzeum Włókiennictwa. Między innymi w reakcji na te wydarzenia powstał ruch organizacji pozarządowych i społeczników „Szacunek dla Łodzi". Użyte w nazwie ruchu słowo „szacunek" doskonale tłumaczy, dlaczego jego uczestnicy w jednym rzędzie wymieniają akcje przeciwko nielegalnemu plakatowaniu i wyburzeniom zabytków. Brak szacunku dla wspólnej przestrzeni, dla opinii mieszkańców, dziedzictwa przeszłych pokoleń, a nawet dla prawa – wszystko to można określić jako jedno zjawisko, któremu aktywiści i organizacje chciały się przeciwstawić, widząc w nim degradację miasta oraz zagrożenie dla norm i więzi społecznych.

Miasto w ruchu

Po raz pierwszy zorganizowano ją na początku lat 90. XX wieku w San Francisco – Masa Krytyczna miała przekonać kochających swoje samochody Amerykanów, że rowerzyści to pełnoprawni uczestnicy ruchu drogowego. W Polsce w tej samej deka-

dzie upowszechniało się pojęcie „drogi rowerowej". Socjalistyczna myśl planistyczna raczej nie przewidywała sieci dróg tego typu. Warto jednak zaznaczyć, że do lat 80. ruch samochodowy w polskich miastach był znacznie mniejszy niż obecnie i jazda rowerem po ulicach nie była tak uciążliwa. W Łodzi od 1999 roku „rowerowe" akcje odbywały się bez formalnego organizatora, obecnie Masę Krytyczną koordynuje stworzona m.in. przez członków Grupy Pewnych Osób Fundacja Normalne Miasto – Fenomen. Rowerowi aktywiści podkreślają, że promują środek transportu „przyjazny dla miasta". Cichy, ekologiczny, ekonomiczny, zajmuje znacznie mniej miejsca niż samochód, a korzystanie z niego jest formą rekreacji. Co więcej, idealnie nadaje się do zwiedzania miasta. Jadąc rowerem, łatwo się zatrzymać, żeby coś obejrzeć albo z kimś porozmawiać. Poruszając się wolniej niż samochodem, a szybciej niż pieszo, można podziwiać mijaną architekturę, jednocześnie sprawnie przemieszczając się z miejsca na miejsce – twierdzi tak m.in. David Burn, autor *Dzienników rowerowych*, opisujących poznawanie z rowerowego siodełka kilkunastu miast na świecie.

Kolejnym „konikiem" łódzki aktywistów jest transport publiczny. Łódzka Inicjatywa na rzecz Przyjaznego Transportu i Klub Miłośników Starych Tramwajów od dawna podkreślały, że nie warto niszczyć infrastruktury tramwajowej, która należała do najlepiej rozwiniętych w Polsce, że należy ją modernizować i dostosowywać do nowych potrzeb. Konieczność stworzenia w mieście sprawnego, zróżnicowanego sytemu komunikacji indywidualnej i zbiorowej jest tematem wielu konsultacji społecznych, w których uczestniczą społecznicy i przedstawiciele organizacji pozarządowych. Zarząd Dróg i Transportu jest trudnym partnerem, ale mimo to ruchy rowerowe i organizacje promujące przyjazny transport powoli zmieniają punkt widzenia urzędników i mają już na swoim koncie kilka sukcesów.

Punkty zapalne

Inicjatywy miejskie nie ograniczają się do happeningów, akcji medialnych i dialogu z samorządem. Wiele z ruchów i organizacji podjęło wysiłek aktywizowania mieszkańców przez oddolne inicjatywy edukacyjne i kulturalne, które często realizowane są bez żadnych programów wspierających czy miejskich dotacji. Aby opisać, czym są działania u podstaw, najlepiej podać kilka przykładów. „Słońce wchodzi na Wschodniej" – plakaty z tym hasłem w 2007 roku pojawiły się w całym mieście. Slogan zachęcał do udziału w „święcie ulicy Wschodniej", oddolnej inicjatywie fundacji na rzecz kultury żywej „Białe Gawrony". Grupa skupiająca twórców wybrała lokal przy Wschodniej 45 na swoją siedzibę i, docelowo, na centrum kulturalne. Aktywiści postanowili poprzez działania artystyczne zwrócić uwagę na stan ulicy, warunki bytowe mieszkańców i wyłączenie pamięci o historii tej ulicy ze świadomości wielu mieszkańców miasta. W działaniach tego typu możemy odnaleźć pewną zasadę: organizacja lub nieformalna grupa znajduje siedzibę, miejsce spotkań i zaczyna wchodzić w relację z otoczeniem.

Podobnie było w przypadku miejsca inicjatyw artystycznych FabrySTREFA, prowadzonego od 2008 do 2012 roku przez Stowarzyszenie Fabrykancka. Interdyscyplinarna przestrzeń powstała dzięki porozumieniu organizacji pozarządowej ze spółką OPG, właścicielem zabytkowej fabryki przy Piotrkowskiej 138/140. Celem była zmiana wizerunku miejsca określanego jako „China Town" przed spektakularną inwestycją remontu i rewitalizacji całego obiektu. Trzyletnia aktywność FabrySTREFY zaowocowała licznymi wydarzeniami kulturalnymi i społecznymi oraz przekonała kolejne kreatywne firmy i organizacje do wynajęcia w fabryce lokalów. W tym czasie właściciel zawiesił plany inwestycyjne i powołał do życia projekt Off Piotrkowska, który dziś jest ogromnym konglomeratem klubów, pracowni projektantów mody, architektów oraz oryginalnych sklepów.

Aktywni łodzianie spędzają czas nie tylko w siedzibach organizacji pozarządowych. Wiele spotkań, projekcji i wystąpień dotyczących sytuacji współczesnego miasta miało miejsce w istniejącej od lutego 2010 roku klubokawiarni Owoce i Warzywa. Klubokawiarnia przy Traugutta 9, dzięki zaangażowaniu jej twórców oraz wyjątkowemu klimatowi, sprzyja prezentacji osiągnięć osób aktywnych społecznie. Istotnym miejscem jest także punkt kultury PREXER-UŁ, prowadzony przez członków Stowarzyszenia Topografie. Nazwa wywodzi się od Łódzkich Zakładów Kinotechnicznych „Prexer", przejętych przez Uniwersytet Łódzki, który w 2010 roku udostępnił je stowarzyszeniu Topografie. Dla stowarzyszenia definiowanie i dokumentowanie przemian zachodzących we współczesnych miastach jest głównym celem działalności. Pierwszym ważnym działaniem Topografii był festiwal Miastograf, przez swoich twórców określany jako „w stu procentach łódzki Festiwal ukierunkowany na ciągłą aktywizację mieszkańców miasta, poszerzanie ich wiedzy odnośnie Łodzi". Zainteresowanie miejskich aktywistów wzbudziła też porównawcza analiza problemów Łodzi i amerykańskiego Detroit.

Kwestie miejskości i sytuacji miast poruszane są jednak nie tylko w gronach artystycznych i organizacjach skoncentrowanych na problemach lokalnej tożsamości. W Łodzi w tej dziedzinie słychać silny głos lokalnego klubu Krytyki Politycznej, który ma na swoim koncie wiele spotkań i warsztatów zorganizowanych w swojej świetlicy przy Piotrkowskiej 101. *Vis a vis* Świetlicy Krytyki Politycznej powstaje inne miejsce tworzone z myślą o dyskusji na temat przyszłości Łodzi. Szósta Dzielnica, prowadzona przez założoną w 2007 roku fundację Industrial, skoncentruje się na problemie rozwoju miasta, w szczególności na roli Nowego Centrum Łodzi oraz relacjach łódzko-warszawskich.

Ministerstwo Miast

Powołajmy Ministerstwo Miast! – stwierdzili uczestnicy pierwszego Kongresu Ruchów Miejskich, który odbył się w 2011 roku w Poznaniu. Miejskie inicjatywy i aktywiści łączą siły, dostrzegając, że problemów ich miast nie da się rozwiązywać wyłącznie na

poziomie samorządów. Wymaga to również zmian w prawie ogólnopolskim. Na drugim kongresie, tym razem zorganizowanym w Łodzi, zauważano, że problemy miast nie są poważnie traktowane przez żadną z politycznych opcji.

Łódzki Kongres sformułował dziesięć tez miejskich, inicjujących debatę nad zagadnieniami takim jak: prawo mieszkańców do miast, rozwarstwienie ekonomiczne, ochrona historycznych obszarów, budżet partycypacyjny, konsultacje społeczne, przeciwdziałanie suburbanizacji, komunikacja oraz lokalizowanie instytucji krajowych także poza Warszawą. Wzorując się na historycznym geście Marcina Lutra, przedstawiciele kongresu „przybili" tezy na drzwiach ratuszy w całym kraju. Kongres pokazuje, że to, co początkowo było lokalnymi inicjatywami i spontanicznymi protestami, dziś dojrzewa, zwiększając swoje kompetencje i organizując się na skalę całego kraju.

Czy z ruchów miejskich może narodzić się nowa ogólnopolska partia? Na razie wydaje się, że nie, bo nie o to chodzi miejskim aktywistom. Przede wszystkim brakuje takiej woli wśród uczestników, poza tym ruchy skoncentrowane są na konkretnych zagadnieniach i chyba nie widzą potrzeby precyzowania swojego stanowiska w kwestiach zapłodnienia *in vitro*, funkcjonowania służby zdrowia czy polityki zagranicznej. Ale polityka musi odpowiedzieć na ten nowy rodzaj „społecznego lobbingu". Dziś samorządy są zdominowane przez ugrupowania ogólnopolskie, a funkcja w Urzędzie Miasta czy Radzie Miejskiej jest często jedynie krokiem w stronę kandydatury do sejmu, senatu, europarlamentu.

Parlamentarzyści często zapominają o swoim lokalnym zapleczu. Tylko nieliczni aktywiści ruchów miejskich angażują się bezpośrednio w politykę w oparciu o istniejące struktury, większość jednak wybrała inną drogę. Przyjmując strategię nacisku na władze z pozycji organizacji pozarządowych i ruchów obywatelskich, mają szansę permanentnie wpływać na ich decyzje, niezależnie od tego, czy stanowiska przejmują politycy z lewej, czy z prawej strony sceny politycznej.

Ruchy miejskie nie mają swojej jednoznacznej definicji, dlatego ich formuła jest „na licencji Crative Commons" i każdy może z ich dorobku i wizerunku swobodnie skorzystać. Potencjał ten wykorzystali choćby operatorzy starań o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury 2016. Element rywalizacji oraz wsparcie organizacji pozarządowych stworzyły specyficzny, silny ruch, który nie znajdując jednak oparcia w profesjonalnym przygotowaniu aplikacji, wygasł wraz z wykluczeniem Łodzi w pierwszym etapie. Hasło „alternatywnej stolicy kultury" nie spotkało się już z podobnym zainteresowaniem.

Ewolucja inicjatyw miejskich i miejskiego aktywizmu stanowi dziś jedno z najciekawszych zjawisk społecznych w naszym kraju. Co więcej, miasto jest tak różnorodnym organizmem, że trudno wyobrazić sobie ostateczny rezultat tych działań. Wiele postulatów dotyczy prawa, wspólnoty, wykorzystania zasobów, stylu życia. Nowe spojrzenie na miasto wydaje się koniecznością, odkąd miejska agora przeniosła

się do internetu, wzory miejskich bohaterów i zurbanizowanych przestrzeni kreowane są przez filmowców, a globalne przedsiębiorstwa dynamicznie inwestują i równie szybko wycofują się z poszczególnych ośrodków. W miejskich inicjatywach jak w soczewce można zobaczyć zarówno lokalne zaniedbania, niską jakość polskiego prawa i nadmierną centralizację, jak i globalne wyzwania cywilizacyjne.

Błażej Filanowski
– historyk sztuki, animator wydarzeń kulturalnych,
członek Stowarzyszenia Fabrykancka

Wybrana bibliografia:

1. Jan Gehl, *Życie między budynkami – użytkowanie przestrzeni publicznych*, Kraków 2009.
2. Ewa Rewers, *Post-Polis. Wstęp do filozofii ponowoczesnego miasta*, Kraków 2005.
3. Naomi Klein, *No Logo*, Warszawa 2004.
4. David Byrne, *Dzienniki rowerowe*, Warszawa 2011.
5. Neil Smith, *The New Urban Frontier: Gentrification and the Revanchist City*, London 1996.
6. Krzysztof Nawratek, *Dziury w całym. Wstęp do miejskich rewolucji*, Warszawa 2012.

Miejskie ruchy społeczne

Miejskie ruchy społeczne

Działania społeczne nazywane „miejskimi ruchami" stały się dzisiaj niezwykle aktualne. Polskie społeczeństwo powoli wykształca zbiorowe zachowania typowe dla społeczeństw bogatszych i bardziej doświadczonych w demokracji. Połączenia w globalną sieć internetową pozwalają przyspieszyć ten proces, czego dowodem był niedawny masowy udział polskiej młodzieży, podobnie jak rówieśników w całej Europie, w ruchu przeciw ograniczeniom swobody surfowania znanym jako ACTA.

Nie zajmując czytelnika akademickimi argumentacjami, spróbujmy umieścić miejskie ruchy społeczne na szerszym tle. Psychologia społeczna i socjologia wyróżniają trzy główne typy aktywności społecznej, w jakiej jednostka – młoda lub starsza – może uczestniczyć.

Pierwszym z nich będą **zachowania masowe lub zbiorowe** – czyli działania podobne do działań wielu innych osób, mniej więcej w tym samym czasie. Każdy z uczestników podejmuje je samodzielnie, chcąc zaspokoić indywidualne interesy, ale ze względu na fakt, że podobne działania wykonuje także szereg innych osób w podobnym miejscu i czasie, powoduje to masowe konsekwencje: na przykład tłok w jakimś łódzkim hipermarkecie z powodu promocji, paniczne wykupywanie niektórych towarów albo uczestniczenie w grze losowej w chwili kumulacji. Skutków tych masowych działań nie da się samodzielnie przewidzieć i zwykle nie bierze się ich pod uwagę. Są one z reguły chaotyczne i przypadkowe. Przykłady takich zachowań to zamieszki, paniki, plotki, chwilowe mody lub tzw. „szały" albo religie kultowe.

Drugim typem będą **działania masowe** – podejmowane przez ludzi pozostających w określonym skupieniu przestrzennym i czasowym, którzy realizują swoje indywidualne cele w podobny, czyli zbiorowy sposób. Wytwarza się wówczas między nimi słabsza lub silniejsza więź społeczna. Uczestnicy zachowują swój indywidualny cel, ale przebywanie w grupie czy tłumie sprawia, że wzajemnie korygują swoje zachowania, przyjmując wzorce grupowych działań. Mogą one mieć mniej lub bardziej drastyczny przebieg, począwszy od wspólnych śpiewów czy wykrzykiwania haseł przez kibiców na stadionie, a skończywszy na ulicznych walkach z siłami porządkowymi.

Trzecim wreszcie typem są **działania albo ruchy społeczne** – które cechuje najwyższy stopień zaangażowania jednostek i pewien stopień złożoności, ale przede wszystkim takie cechy jak rozbudowana struktura organizacyjna oraz wspólny, określony cel działania sprawiający, że uczestnicy odczuwają więź z innymi uczestnikami tych działań i utożsamiają się z całą działającą grupą. Wiedzą, że wspólny cel mogą osiągnąć przez zbiorowe działanie. Pozytywne ruchy społeczne to grupa lub grupy osób działających w określonym miejscu i czasie, realizujące wspólny cel w sposób zorganizowany. Zakłada się, że chodzi w tym wypadku o dążenie do trwałej zmiany w porządku społecznym, zgodnej z potrzebami lub ambicjami uczestników, zaczynając od – przykładowo – budowy drogi dojazdowej, kończąc zaś na zmianie prawa. Można przykładowo wymienić takie ruchy na rzecz praw człowieka, ruchy związkowe, na rzecz ochrony środowiska czy feminizm.

Socjologia wykorzystuje kategorię deprywacji, ale najczęściej upatruje przyczyny powstania ruchu społecznego w specyficznym napięciu, jakie istnieje pomiędzy władzą polityczną a grupą społeczną (pomiędzy systemem politycznym a otoczeniem systemu politycznego).

Na przestrzeni ostatnich stu lat można dostrzec ewolucję w sposobach funkcjonowania i działania ruchów społecznych. Mniej więcej od drugiej połowy XIX wieku do lat 60. XX wieku tzw. stare ruchy społeczne skupiały uczestników wywodzących się z określonej grupy społecznej; często istotną rolę odgrywał tu podział klasowy. Na tej podstawie powstawały ruchy robotnicze czy wystąpienia chłopskie. Najczęściej funkcjonowały, organizując wiece, pochody, ale także akcje popierające działania władz politycznych. Ruchy te często żyły w symbiozie z władzą, korzystały bowiem z negocjacji z nią. Ruch zyskiwał poprzez to popularność i nowych członków, uchodząc za skuteczny instrument, a władza, podejmując pertraktacje, zyskiwała w zamian potrzebne jej poparcie społeczne, mając emblemat wrażliwej na społeczne problemy.

Różnorodność aktywnych

Mniej więcej od lat 60. XX wieku do dziś tzw. nowe ruchy społeczne gromadzą inny typ uczestników. Są to osoby, które nie reprezentują już jednej określonej grupy społecznej, ale skupiają przedstawicieli różnych zawodów i środowisk. Ruch staje się przez to niejednolity. Są w nim, przykładowo, outsiderzy rynku pracy – zarówno ci, którzy się na nim jeszcze nie pojawili, a więc młodzież lub studenci, jak i ci, którzy z niego zeszli lub zostali wykluczeni: bezrobotni lub ci, którzy zrezygnowali z udziału w rynku pracy. Generalnie najchętniej w nowych ruchach społecznych uczestniczy klasa średnia, utożsamiając się z nowymi celami. Można te cele ogólnikowo podzielić na dwie kategorie: po pierwsze, spraw związanych z jednostką i jej prawami (mniejszości seksualne, problemy feministyczne, wolności religijne, mniejszości etniczne), po drugie, spraw globalnych – problemów ekologicznych, ochrony zwierząt, pacyfistycznych, globalizacji, nierównomiernego rozwoju światowego.

W krajach o ugruntowanych tradycjach demokracji polem doświadczalnym współczesnych ruchów były lata 50. XX wieku i tworzące się wówczas ruchy społeczne, w których stopniowo zaczęły się uwidaczniać dwa odłamy: „obywatelski", ze swoim głównym celem, jakim było uspołecznienie mechanizmów sprawowania władzy, i „rewindykacyjny", zogniskowany wokół walki o równouprawnienie polityczne, rasowe i ekonomiczne. Oba wspierały się i uczyły nawzajem, a u początku ich narodzin znalazł się wspólny nacisk na wypracowanie rozwiązań prawnych gwarantujących bezpośrednie uczestnictwo obywateli w nadzorowaniu władzy rozstrzygającej o sprawach społeczności. Czynni w nich byli tzw. „adwokaci" *(advocates)*; wywodzący się ze środowisk intelektualnych i wypowiadający za bezpośrednim uczestnictwem obywatelskim w wielu dziedzinach publicznego życia podnosili nie tylko praktyczne argumenty, np. możliwość usprawnienia zarządzania tymi dziedzinami, ale także społeczną i edukacyjną funkcję, dostrzegając w tym ważną rolę budowania poczucia obywatelskiej odpowiedzialności za sprawy lokalnych środowisk.

Obserwatorzy życia politycznego i społecznego Ameryki i Europy podkreślają wyraźną przemianę, która zaszła w sposobie działania ruchów społecznych w latach 80. i 90. XX wieku. Miejsce szerokich i wciągających większą liczbę uczestników akcji czy przedsięwzięć o podłożu społecznym, ekonomicznym lub politycznym zajęły ostatecznie *community organizations*, w Niemczech nazywane *Buergerinitiative* – organizacje lub inicjatywy obywatelskie. Dawne formy działania odzywają się dzisiaj rzadko, zastąpiły je mniej trwałe, ale za to bardziej spektakularne formy; przykładem tego są tzw. *veto groups*, tworzone *ad hoc* grupy protestacyjne, angażujące lokalnie mniejsze grupy ludzi w reakcji sprzeciwu na bodźce zewnętrzne, np. kierowane do społeczności programy i akcje podejmowane przez rządowe agencje. Być może jest to jedno ze stadiów ogólnego procesu ewolucji społeczeństwa.

Współcześnie (chociaż zdania na ten temat różnią się w zależności od politycznych sympatii lub emocji) jedyną realną platformą uczestnictwa grupowego staje się działalność organizacji społecznościowych. Dawne ruchy „rewindykacyjne", jak polska Solidarność, zrealizowały już w dużej mierze swoje cele. Dlatego organizacje wywodzące się z nurtu „obywatelskiego" stawiają sobie na przykład za zadanie udział w rozwoju i utrzymaniu kondycji miast. Okazuje się, że podejmowane przez nie inicjatywy lokalne i akcje są na ogół skuteczne. Istnieją przynajmniej dwie przyczyny tego zjawiska. Pierwszą jest rosnąca stopniowo skłonność mieszkańców miast do uczestniczenia w rozwiązywaniu dotykających ich bezpośrednio problemów: degradacji śródmieść, przestępczości, narkomanii czy przemocy domowej. Drugim powodem jest wyraźne przesuwanie się odpowiedzialności za rozwiązywanie problemów miast z poziomu rządu centralnego czy jego agend na lokalne władze samorządowe. Odpowiedzialność za porządek i ład, przynajmniej w powszechnym odczuciu, spoczywa głównie na władzach miejskich, a te z kolei na ogół chętnie witają takie ruchy i lokalne organizacje społeczne w nadziei, że okażą się one ich prawą ręką.

Nowa podmiotowość

Te obszerne wyjaśnienia miały pomóc w osadzeniu miejskich ruchów, których popularność w naszym kraju wydaje się stopniowo rosnąć. Niedawno zakończone w Łodzi i w ubiegłym roku w Poznaniu kongresy pozostawiły dokumenty dające wyobrażenie o charakterze i celach tych ruchów. Wynika z nich, że głównym kryterium istnienia jest zaangażowanie mieszkańców miasta na rzecz ich własnych istotnych potrzeb i interesów życiowych jako należących do właśnie mieszkańców miasta, realizowanych w mieście i poprzez miasto. Dalej, że ruchy i organizacje miejskie mają charakter polityczny, choć nie partyjny i nie ideologiczny. Następnie, że ruchy miejskie są po to, by wyrażać miejską podmiotowość polityczną mieszkańców, bo obecna „polityka" zajmuje się głównie sobą i biznesem, jest zatem niezdolna do rozwiązywania problemów rozwoju miast, przy dużej sprawności w załatwianiu swoich własnych interesów.

Jak deklarują uczestnicy kongresów, w naszych miastach toczy się codzienna walka niemal o każdy krzak i drzewo, skwer, plac, szkołę i przedszkole, przystanek tramwajowy, budynek komunalny, ulicę, nie mówiąc o rzeczach większych – lotniskach, osiedlach, autostradach miejskich, spalarniach, oczyszczalniach, wieżowcach, mostach, parkach, galeriach handlowych itd. Ruchy miejskie uczestniczą w tym na co dzień, społecznie opracowując alternatywne lub komplementarne projekty, nie zawsze idące do kosza. Udział w „sprawie miejskiej" jest konieczny po to, ażeby politycy lokalni i parlamentarni robili, co do nich należy: uchwalili prawo dobre dla rozwoju miast oraz prowadzili korzystną miejską politykę publiczną. Podstawowym miejscem działania nie jest kawiarnia, chociaż młodzi inteligenci, stanowiący trzon tych ruchów, zwykli w „kawiarni", „salonie", „akademii" czy „redakcji" kreować i rozprawiać o mieście, miejskości, demokracji miejskiej, zrównoważonym rozwoju, itp. Miejscem działania są sale obrad sesji i komisji rady miasta czy sejmiku, komisji dialogu obywatelskiego (społecznego), klubów radnych itd., gdzie próbuje się podejmować ważne decyzje. Fakt, że tego rodzaju aktywność miejska znalazła się w obszarze uwagi i zaangażowania elit politycznych, w tym młodych elit inteligenckich, jest poza wszelką dyskusją bezcenny.

Oficjalne dokumenty obu kongresów (nie w pełni miarodajne, ale dające pewne wyobrażenie) deklarują: miasta potrzebują mądrej, dalekowzrocznej polityki miejskiej i dobrego prawa wspierającego ich zrównoważony i sprawiedliwy rozwój, demokrację miejską i społeczeństwo obywatelskie. Mieszkańcy mają niezbywalne prawo do miasta. Budżety miejskie powinny być tworzone w sposób partycypacyjny, to jest przy udziale mieszkańców miasta. Obowiązkiem wspólnoty miejskiej jest gwarantowanie sprawiedliwości społecznej i przeciwdziałanie ubóstwu oraz wykluczeniu społecznemu. Rewitalizacja historycznych obszarów podtrzymuje tożsamość miast i jest warunkiem ich rozwoju; nie może ograniczać się do remontów, musi być zintegrowanym działaniem wypracowanym wraz z mieszkańcami.

10671-A

Ruchy miejskie w Polsce – jak określa się te nowe podmioty na lokalnych scenach – zaczęły powstawać pod koniec poprzedniej dekady; dziś w każdym większym mieście jest ich już kilka, nawet kilkanaście. Wyraźnie dzisiaj wychodzą z drugiego planu. Wiele z nich nigdzie się nie rejestruje, powstaje w odpowiedzi na rzucone w internecie wezwanie. Skrzykują się na to wezwanie studenci, doktoranci, artyści, anarchiści, squatersi, ludzie z przedmieść, z kamienic i blokowisk. Większość podkreśla, że nie zamierza się wdawać w polityczno-partyjne targi i dysputy. Tym, co najczęściej ich łączy, jest kontestacja wobec zwężania albo poszerzenia drogi, wobec budowy spalarni śmieci lub kolejnego centrum handlowego, wobec braku ścieżek rowerowych. Są niekiedy mocno rozczarowani. Często twierdzą, że samorząd, który miał być władzą najbliższą obywatelowi, reprezentującą ściśle jego interesy, został zawłaszczony przez partie i stał się szczeblem kariery politycznej dla lokalnych działaczy.

Trzmiel, czyli Grupa Pewnych Osób

Cytuję za jednym z portali: Łódzkiej Grupie Pewnych Osób impuls dała afera z amerykańską turystką, która fotografowała fabrykę Gillette w 2006 r. Turystkę zatrzymał ochroniarz, kazał zniszczyć klisze. Wtedy ludzie, którzy wcześniej dyskutowali o sprawach miasta na internetowym forum „Gazety Wyborczej", skrzyknęli się i o tej samej porze zaczęli robić zdjęcia budynkowi. Potem w podobny sposób umawiali się a to na zrywanie rozwieszanych gdzie popadnie plakatów, a to na społeczne wyrównywanie krawężników, a to na przekopywanie trawnika. „Z czasem uznaliśmy, że warto działać też bardziej oficjalnie – zorganizować imprezę, móc wystąpić o grant. W 2009 r. założyliśmy Fundację Fenomen. Ale nieformalna Grupa Pewnych Osób – czasem kilkunastu, a czasem kilkudziesięciu – studentów, uczniów, pracowników – wciąż działa" – opowiada Hubert Barański, prezes fundacji i jeden z założycieli GPO. O działającej nieformalnie od 2009 r. Sopockiej Inicjatywie Rozwojowej, której szefuje para doktor politologii i doktor geografii, głośno zrobiło się za sprawą protestu przeciwko planom postawienia w miejskim parku pensjonatów – wbrew wynikowi wcześniejszych konsultacji. Rdzeń SIR to kilka osób, ale gdy coś się dzieje, dołączają inni, których akurat interesuje planowanie przestrzenne, ścieżki rowerowe albo zieleń miejska. Lub po prostu budowanie więzi między mieszkańcami. Podobne grupy pojawiły się na Śląsku (katowickie Stowarzyszenie Nowe Miasto), w Warszawie (Forum Rozwoju Warszawy) czy Poznaniu (My-Poznaniacy).

Czy wcześniej nie istniały tak rozumiane ruchy lub organizacje miejskie? Istniały, działając pewnie z mniejszą determinacją niż obecnie. Uczestniczenie w tej odmianie społecznego życia jest procesem, który rozwija się powoli, a waga i znaczenie ruchów miejskich rośnie stopniowo. Liczą się już z nimi samorządy. Łódź po tym, jak Grupa Pewnych Osób wypowiedziała wojnę zaśmiecającym miasto plakatom, doczekała się ponad dwustu tablic i słupów, na których można bezpłatnie wieszać ogłoszenia. Udały się konsultacje społeczne *Strategii 2020+*, opisującej, jak w najbliż-

szych latach ma się rozwijać miasto. Przyszło na nie kilkuset ludzi. To właśnie wtedy okazało się, że mieszkańcy nie chcą wielkich inwestycji, tylko wygodnej codzienności. Władze miasta idą dalej – od ośmiu miesięcy w Łodzi urzęduje pełnomocnik prezydenta do spraw organizacji pozarządowych. Powstał program współpracy z nimi i nowy regulamin konsultacji społecznych. Łódź będzie miała również budżet partycypacyjny, zwany obywatelskim.

Łódzka urbanistka Małgorzata Hanzl napisała w internetowym magazynie „Kulturaenter" z marca 2009 r.:

> Rolę Grupy Pewnych Osób i innych podobnych organizacji można przyrównać do roli trzmiela, który wykonując przynależne mu czynności (szukając pożywienia), przy okazji przenosi pyłek między kwiatami, dzięki czemu łąka (symbolizująca bezpośrednie środowisko życia) może kwitnąć. Podobnie ruchy społeczne, realizując swoje cele, przyczyniają się do rozwoju dyskusji na tematy związane z ich działaniami, a tym samym do podniesienia poziomu wiedzy i szeroko rozumianej edukacji społecznej. W przypadku GPO tematem tej dyskusji jest estetyka miasta, środowisko życia mieszkańców, utrzymanie należytego stanu substancji zabytkowej, źródła lokalnej tożsamości. W powstawaniu ruchów takich jak łódzka GPO upatrywałabym szansy dla rozwoju rzeczywistej partycypacji społecznej w procesie planowania.

Trwałość i przejściowość

W niczym nie pomniejszając sukcesów, trzeba także zwrócić uwagę na kłopoty związane z istnieniem takich ruchów. Pierwszy wywodzi się z samej zasady istnienia: są one dobrowolnymi stowarzyszeniami osób (by użyć pojęcia znanego socjologii), a zatem opierają się o dość chwiejne i niestałe zaangażowanie. Grozi im rozpad albo w wyniku ustania przyczyn, dla których powstały, albo też w wyniku zniechęcenia się czy zwykłego braku możliwości działania (studenci kończą edukację, zakładają rodziny, podejmują pracę i zwyczajnie brakuje im już czasu).

Drugi rodzaj kłopotu ma inną naturę. Na całym świecie lokalne władze, chcąc ułatwić sobie współżycie z działaczami ruchów społecznych, stosują tzw. kooptację (dołączenie), proponując im instytucjonalizację, wciągnięcie w oficjalne struktury lub inne formy oficjalnego współdziałania, w rezultacie których działacze zmieniają się w klientów władz (tego rodzaju próba „obłaskawienia" grupy kontestatorów miała też miejsce w Łodzi, w sytuacji, gdy grozili oni podjęciem starań w celu rozpisania referendum odwołującego panią prezydent miasta).

Trzeci rodzaj kłopotu ma znacznie bardziej złożoną naturę. Niewątpliwie cechą zaangażowania w ruch społeczny musi być opowiedzenie się po stronie jakichś wartości i ich czynne wyznawanie (czasem obrona czy nawet walka w ich imieniu). Większość miejskich ruchów, także w Polsce, ma za głównego ideologa wybitne-

go sędziwego geografa Davida Harveya. Jego ostatnia książka, szybko uznana za najważniejsze opracowanie analizujące ruchy społeczne zmieniające miasta na całym świecie i świeżo przetłumaczona na polski pod tytułem *Bunt miast*, przedstawia miasto jako leżące w centrum zainteresowania kapitału i jako ośrodek współczesnej walki klasowej. Autor przygląda się w niej rozmaitym miastom, od Johannesburga po Bombaj i od Nowego Jorku po Sao Paulo, nawiązując wprost do Komuny Paryskiej, ruchu *Occupy Wall Street* czy londyńskich zamieszek, traktując te przejawy społecznego niezadowolenia jako symptomy sprawiedliwego upominania się o „prawo do miasta" i stawiając – z pozycji radykalnie neomarksistowskich – pytanie o to, jak można przekształcać miasta w sposób bardziej sprawiedliwy społecznie. W rezultacie na łamach „Dziennika Opinii", części Krytyki Politycznej o zdecydowanym profilu, Wiktor Marzec nazywa miejskie ruchy społeczne „kontrrewolucyjnym aktywizmem". Ta etykieta nie uniemożliwia, ale także nie pomaga dialogowi z władzami oraz ugrupowaniami o łagodniejszym politycznie obliczu.

Czwarty problem to liczebność. Miejskie ruchy społeczne, przynajmniej w Polsce, nie są jeszcze zbyt liczne; znacznie więcej ludzi są w stanie zmobilizować związkowcy czy stowarzyszenia wokółkościelne (w istocie: wokół pewnej rozgłośni radiowej). Dlatego zapewne, aby zaistnieć i być skutecznymi, aktywiści ruchów niekiedy sięgają po broń radykalizmu czy głośności.

Mimo tych zastrzeżeń miejskie ruchy społeczne, mało liczne, ale już wpływowe, są wartym docenienia elementem lokalnej demokracji. Reprezentują nową generację dotychczasowych miejskich aktywistów, którymi byli na ogół dotąd osiedlowi lub dzielnicowi emeryci – działacze postrzegani z wyższością jako „leśne dziadki", w dużej części bez żadnych ambicji. Kogo dotąd obchodziło coś tak mało ważnego jak rady osiedlowe, staczające codzienne boje z administracją o sprawy mieszkańców? Jeśli tylko do młodych i pełnych zapału kontestatorów dołączą stateczni mieszczanie lub ludzie z dorobkiem życiowym i koneksjami, z pewnością dyskusje nad losami miast ożywią się znacznie. Zagonieni lokalni politycy, codzienni praktycy demokracji miejskiej, na tej społecznej partycypacji mogą jedynie zyskać, a demokracja lokalna z paternalistycznej ma szansę zmienić się w pluralistyczną.

Andrzej Majer
– socjolog, prof. dr hab.,
pracuje w Katedrze Socjologii Wsi i Miasta UŁ

II Kongres Ruchów Miejskich w Łodzi

Drogi skutecznego rozwoju

Skąd się wzięły ruchy miejskie? Z oporu i poszukiwania rozwiązań. Ruchy miejskie to samoorganizujące się oddolne grupy mieszkańców, często zakładających organizacje w określonym celu związanym z ich miastem. Początkowo pojawiały się zazwyczaj z konieczności oporu wobec decyzji władz lub ingerujących działań prywatnych inwestorów – często w związku z konfliktami przestrzennymi, nieco później przechodząc również ku tworzeniu afirmatywnego przekazu i poszukiwaniu wyjścia z zaistniałych konfliktów. Także poruszenie wywołane konkursem na Europejską Stolicę Kultury poskutkowało mobilizacją ludzi kultury, która często prowadziła do refleksji wokół środowiska ich aktywności.

Ruchy miejskie charakteryzują się zdolnością do łączenia ludzi o różnych kompetencjach, poglądach i zainteresowaniach w działaniu na rzecz współdzielonego dobra, jakim jest miasto. Kongres Ruchów Miejskich jako swego rodzaju sieć-federacja skupiająca podobne sobie inicjatywy społeczne z różnych miejscowości z pewnością wpłynie na rozwój ich samoświadomości.

Prawo do miasta

Pierwszy zjazd polskich ruchów miejskich odbył się w czerwcu 2011 roku z inicjatywy Stowarzyszenia My-Poznaniacy. Po kilku latach działania poczuli oni, że często rozbijają się o kwestie dotyczące uwarunkowań ogólnopolskich, że działając tylko lokalnie, nie można wzbudzić ponadlokalnej debaty publicznej o stanie polskich miast oraz że warto może poznać podobnych im działaczy, spotkać się, wymienić doświadczeniami i jeżeli „zaiskrzy" – podjąć próbę współdziałania. Kongres, zainspirowany pośrednio amerykańskim *Right to The City Alliance* (sojusz organizacji zgromadzonych wokół hasła „prawo do miasta"), to nie pierwsza taka inicjatywa – w Polsce od lat w wielu miastach aktywnie działa co najmniej kilkadziesiąt organizacji zajmujących się specyficznie miejskimi problemami i komunikujących się ze sobą (np. Porozumienie Wspólna Przestrzeń). KRM miał pogłębić i rozszerzyć tę współpracę – inicjatywy, które mają stricte lokalny wymiar, często na bardzo podstawowym poziomie, miały dzięki niemu

zyskać możliwość wpłynięcia na poziomie centralnym na uwarunkowania, które hamują je w codziennym funkcjonowaniu.

W tym miejscu trzeba zaznaczyć, że Polska nie tylko jako jedyny kraj w Unii Europejskiej nie posiada instytucji, która zajmowałaby się spójną polityką miejską, ale w ogóle nie prowadzi polityki miejskiej, a do niedawna nie było jej nawet w planach. Miasta są bytami na tyle złożonymi, że do sprawnego funkcjonowania potrzebują regulacji uwzględniających łączenie i koordynowanie różnych sektorów i dziedzin życia. Chaos, z którym mamy obecnie do czynienia (chaos przestrzenny, zapaść transportu miejskiego, mieszkalnictwa, gentryfikacja zamiast rewitalizacji, problemy metropolizacji, stratyfikacja społeczna i niedostateczna partycypacja mieszkańców, kryzys finansów, zmniejszająca się pula środków na kulturę etc.), jest w dużej mierze wynikiem braku spójnej polityki miejskiej. Drugim dojmującym problemem jest przyzwyczajenie, które można nazwać samowolą wielu władz – zarządzają miastem jak firmą, bez realnych konsultacji z ludźmi, których owe zarządzenia dotyczą. Ruchy miejskie łączy również postulat włączenia mieszkańców w procesy planowania i decydowania o zmianach, które zachodzą w ich miejscu zamieszkania.

9 Tez Miejskich

I Kongres zgromadził około stu osób i debatował wokół tematów związanych ze sprawami społecznymi, z budżetem partycypacyjnym i partycypacją obywatelską, dekoncentracją państwa, ładem przestrzennym, rewitalizacją i ustawą metropolitalną. Zakończył się stworzeniem 9 Tez Miejskich oraz podpisanym przez większość uczestników Apelem Solidarności Miast, który w akcie niezgody na podsycanie międzymiejskiej konkurencji kierował uwagę na Łódź – miasto zmagające się z głębokimi problemami posttransformacyjnymi, a jednocześnie pomijane w wielu centralnych planach i strategiach (wtedy jeszcze możliwa wydawała się tzw. „ustawa metropolitalna", z której również wycięto Aglomerację Łódzką). W ciągu kolejnych miesięcy Kongres Ruchów Miejskich, działając jako nieformalna federacja organizacji, przygotował m.in. Miejski Skaner Wyborczy, który miał zwrócić uwagę opinii publicznej na „kwestię miejską" i zainteresować nią kandydatów parlamentarnych. Był to specjalnie sformułowany zestaw pytań z obszarów wymagających pilnej legislacji: ład przestrzenny, demokracja miejska i rewitalizacja, które zostały wysłane do kandydatów z dwunastu miast (z Gdańska, Gdyni, Sopotu, Rumii, Elbląga, Łodzi, Warszawy, Opola, Poznania, Katowic, Lublina i Wrocławia).

W marcu 2012 r. zapadła decyzja, aby kolejny, II Kongres odbył się właśnie w Łodzi. Dzięki pracy kilkunastu łódzkich organizacji i niezrzeszonych wolontariuszy oraz niewielkiej dotacji Fundacji im. Stefana Batorego (niespełna 25 tys. zł), w dniach 12-14 października spotkało się już ponad 200 osób z ok. 100 organizacji, instytucji i nieformalnych inicjatyw, z 37 miast Polski. Przez minione półtora roku, od I KRM, sporo się zmieniło – „kwestia miejska" zaczęła być nie tylko dyskutowana, ale

wręcz modna i odmieniana przez wszystkie przypadki; na całym, dotkniętym kryzysem gospodarczym świecie miasta stały się areną manifestacji „Oburzonych", zaś nasze Ministerstwo Rozwoju Regionalnego stworzyło wreszcie projekt Założeń Krajowej Polityki Miejskiej (oświadczając przy tym, że nie powstanie osobna jednostka do jej koordynowania).

Priorytet: poprawa życia mieszkańców

To właśnie na propozycji Założeń skupiły się prace tegorocznego zjazdu. Uczestnicy pracowali tym razem w dziesięciu rozszerzonych tematycznie grupach roboczych (Metropolie / Aglomeracje, Małe miasta – duże problemy, Polityka przestrzenna, Zrównoważony transport, Polityka mieszkaniowa, Polityka społeczna, Ekologia / Środowisko, Kultura, Rewitalizacja, Demokracja miejska), starając się stworzyć uwagi do dokumentu. Większość grup miała podobne spostrzeżenia na temat jego konstrukcji i ogólnych założeń – opierając się na dość dobrej diagnozie problemu polskich miast, nie przedstawiał narzędzi ich rozwiązywania, choć częściowo wskazywane były wcześniej, choćby w raporcie Ministerstwa Rozwoju Regionalnego na potrzeby przygotowania przeglądu OECD *(The Organisation for Economic Co-operation and Development)* krajowej polityki miejskiej w Polsce z 2010 r.[1] Podstawowe uwagi ogólne KRM to przede wszystkim:

- postrzeganie miast wyłącznie jako motorów wzrostu gospodarczego oraz wyznaczanie czynników ekonomicznych i gospodarczych jako jedynej miary rozwoju miasta – rozwój powinien być postrzegany jako poprawa jakości życia mieszkańców i uzna-

wany za cel sam w sobie (Krajowa Polityka Miejska powinna służyć w równym stopniu celom społecznym, gospodarczym i środowiskowym);
- brak wskazania na konieczność uspołecznienia procesów zarządzania miastem;
- zbyt duży nacisk położony na metropolie przy braku uwzględnienia sytuacji małych i średnich miast (w których żyje większość polskiej populacji miejskiej) oraz obszarów, na których występują problemy przekraczające granice administracyjne miast;
- brak propozycji zmniejszenia nierówności pomiędzy ośrodkami na różnych szczeblach samorządowych; model polaryzacyjno-dyfuzyjny, o który oparte zostały Założenia, nie definuje, w jaki sposób i kiedy ma przebiegać tak zwana dyfuzja; bez interpretacji, czyli wskazania tego, jak rozwój metropolii ma przenieść się na mniejsze miejscowości, cały model wydaje się do zakwestionowania (co więcej – jest on sprzeczny z rekomendacjami wspierania obszarów opóźnionych rozwojowo wysuwanymi przez OECD);
- proponowane narzędzia bardziej niż realizacji polityki miejskiej dotyczą dystrybucji środków Ministerstwa Rozwoju Regionalnego (jednego z wielu, które powinny zostać uwzględnione z zaznaczeniem konieczności odpowiedniej współpracy pomiędzy nimi).

Wiele z obszarów, którymi zajmowały się grupy Kongresu, zostało potraktowanych w dokumencie marginalnie, stąd prace niektórych z nich opierały się na wyszczególnianiu braków (pełne zestawienie efektów prac II KRM można znaleźć na stronie www.kongresruchowmiejskich.pl). Najbardziej intrygujący wydał się uczestnikom fakt, że po przeprowadzonych w maju 2012 roku konsultacjach społecznych projekt Założeń Krajowej Polityki Miejskiej nie zmienił znacznie swojej treści i formy, a jedynie został skrócony o dziesięć stron.

„Ministerstwo Miast"

Ostatnim elementem II Kongresu Ruchów Miejskich był happening symbolicznego ustanowienia Ministerstwa Miast w miejscu przyszłego potencjalnego Nowego Centrum Łodzi – na razie, u progu tego sztandarowego przedsięwzięcia inwestycyjnego, bedącego jeszcze wielką dziurą drążoną w ziemi. Podczas happeningu 14 października 2012 roku do płotu ograniczającego teren budowy przyczepiono czerwoną „ministerialną" tablicę i odczytano manifest:

> My, uczestnicy II Kongresu Ruchów Miejskich, powołujemy dzisiaj nowe Ministerstwo Miast. Robimy to sami, ponieważ ani Rząd, ani Parlament nie chcą zająć się naszymi problemami. Chaos przestrzenny, zapaść transportu miejskiego, mieszkalnictwa, kultury i edukacji, gentryfikacja zastępująca rewitalizację, rosnące problemy i rozwarstwienie społeczne, brak słyszalnego głosu mieszkańców, a także głęboki kryzys finansów miast polskich – to przeciwności, z którymi nie poradzimy

sobie na szczeblu samorządowym. Potrzebujemy zintegrowanych i mądrych rozwiązań centralnych. Tymczasem Polska to jedyny kraj w Unii Europejskiej, który nie ma żadnego ministerstwa prowadzącego spójną politykę miejską.

Powołując Ministerstwo Miast, apelujemy do opinii publicznej, do świata polityki i mediów o zwrócenie uwagi na te problemy. To miasta są dziś motorem nowoczesnego rozwoju, to w nich jest skupiony główny potencjał cywilizacyjny i kulturalny. Potrzebujemy mądrej, dalekowzrocznej polityki miejskiej i dobrego prawa, wspierającego ich zrównoważony i sprawiedliwy rozwój, demokrację miejską i społeczeństwo obywatelskie.

Ustanawiamy siedzibę Ministerstwa Miast w centrum Łodzi, miejscu, w którym ogniskują się negatywne konsekwencje zaniedbań epoki polskiej transformacji: bezrobocie, rozpad tkanki miejskiej, enklawy ubó-

Ustanowienie Ministerstwa Miast – od lewej: Marta Madejska, Hanna Gil-Piątek, Jarosław Ogrodowski, Wojciech Makowski

stwa, brak współpracy administracji z mieszkańcami, którzy nie korzystają na wielkich inwestycjach będących jedynie drogą wizytówką. Doceniając ogromny pozytywny potencjał rozwojowy polskich miast, domagamy się uwzględnienia w strategiach rozwoju kraju miast i obszarów wykluczonych. Deklarujemy międzymiejską solidarność. Nie zgadzamy się na podsycanie konkurencji między miastami. Mamy wspólne problemy i jesteśmy gotowi wypracowywać wspólne rozwiązania. Chcemy polityki solidarności społecznej – wewnątrz i między miastami.
To my, mieszkańcy, mamy prawo do miasta i aby w pełni z niego korzystać, już dziś potrzebujemy pozytywnej zmiany. W świetle tego prawa Ministerstwo Miast uważamy za ustanowione!

Na sesji zamykającej tegoroczny Kongres zapadła decyzja o podjęciu prac nad Społecznym Projektem Założeń Polityki Miejskiej. Jest to gest mający zwrócić uwagę na konieczność włączenia społeczeństwa do procesu tworzenia polityki miejskiej już na etapie powstawania założeń i dokumentów je wyrażających, a nie stawiania wobec gotowych i skończonych koncepcji z ograniczoną możliwością ich zmiany.

Sekretariat Kongresu Ruchów Miejskich znajduje się obecnie w Łodzi, do czasu wyłonienia miasta-organizatora kolejnego kongresu.

Marta Madejska
– koordynatorka II Kongresu Ruchów Miejskich,
koordynatorka ds. programowych Regionalnego Kongresu Kultury województwa łódzkiego w 2011 r., doktorantka Instytutu Kultury Współczesnej UŁ,
członkini zarządu Łódzkiego Stowarzyszenia Inicjatyw Miejskich Topografie,
członkini Komisji Dialogu Obywatelskiego ds. Partycypacji przy UMŁ

pierwsze kolumny

Przypisy:

1. http://www.mrr.gov.pl/rozwoj_regionalny/Polityka_regionalna/rozwoj_miast/rozwoj_miast_w_Polsce/Documents/II_polityka_i_zarzadzanie_rozwojem_miast_w_Polsce_czerwiec_2010.pdf

Fot. archiwum autorki

O co chodzi rowerzystom?

Bezpieczniej, oszczędniej, zdrowiej

Można długo wymieniać korzyści ruchu rowerowego dla miasta i jego mieszkańców. Poruszanie się rowerem daje mniej więcej cztery dodatkowe lata życia w dobrym zdrowiu. Na krótkich odległościach w mieście rower często okazuje się najszybszym środkiem transportu. Ograniczenie korzystania z samochodu to oszczędności na rachunkach za paliwo. Rezygnacja z samochodu przez przeciętnego łodzianina przynosi mu 10 procent więcej pieniędzy w portfelu i wzrost zdolności kredytowej o 60 tysięcy. Całemu miastu rowerzyści dają oszczędność przestrzeni na drogi i miejsca parkowania (dla przewiezienia tej samej liczby osób rowerem i zapewnienia im parkingu potrzeba siedem razy mniej miejsca, jeżeli korzystają one z roweru, a nie samochodu)... Przyzwyczajenie do prowadzenia prosamochodowej polityki jest jednak w polskich miastach tak głęboko zakorzenione, że sama siła argumentów nie przekona do prorowerowej zmiany. Potrzebny jest ruch społeczny, który będzie je wciąż powtarzał. Ten ruch nabiera mocy we wszystkich dużych polskich miastach, a w Łodzi jest szczególnie aktywny.

Pierwsza fala

Pamięć łódzkich działaczy rowerowych sięga drugiej połowy lat 90. Organizacją, która wtedy rozpoczęła animowanie działań mających na celu uczynienie Łodzi przyjazną dla rowerów, był Obywatelski Ruch Ekologiczny. W organizacji działali między innymi nadal aktywni społecznie Maciej Kronenberg (obecnie przewodnik po Łodzi), podróżnik Bartosz Malinowski, Rafał Górski (obecnie prezes Instytutu Spraw Obywatelskich) oraz Szymon Surmacz i Konrad Malec (obecnie pismo „Nowy Obywatel"). Pierwszą prorowerową demonstracją ORE była organizacja obchodów „Dnia Ziemi" 23 marca 1996 r. 19 czerwca 1999 r. to środowisko zorganizowało pierwszą w Łodzi Masę Krytyczną. W demonstracji wzięło udział ponad dwieście osób, w tym ówczesny wiceprezydent Łodzi Wiesław Walczak (jadący jako pasażer rikszy). Od tej pory Masa odbywała się zawsze w ostatni piątek miesiąca – tak jak w San Francisco, które w 1992 r. zapoczątkowało „masowy" ruch. Co roku odbywał się również „Dzień bez samochodu". W roku 2000 wzięli w nim udział wszyscy polscy marszałkowie województw, a także minister Władysław Bartoszewski i komisarz UE Michel Berner. Tego dnia (22 września) w naszym mieście odbywał się Konwent Marszałków RP. Jego uczestnicy na znak poparcia

dla idei Europejskiego Dnia Bez Samochodu drogę z miejsca zakwaterowania na obrady do siedziby Instytutu Europejskiego pokonali na rowerach.

Na sytuację rowerzystów w Łodzi i brak odpowiedniej infrastruktury dobitnie zwrócił uwagę wypadek z 17 maja 2001 r., kiedy na al. Piłsudskiego koło kina Silver Screen młody rowerzysta zginął rozjechany przez koparkę. Działacze ORE zareagowali na to happeningiem – samodzielnym wymalowaniem drogi rowerowej na al. Piłsudskiego. Skłonili władze miasta do stworzenia zespołu konsultacyjnego ds. rozwoju komunikacji rowerowej w Łodzi złożonego z urzędników, radnych, naukowców i społeczników. Zespół ten nie miał formalnego umocowania ani opisanych kompetencji. Zajął się m.in. zaopiniowaniem (negatywnym) koncepcji systemu dróg rowerowych w Łodzi opracowanej wtedy na zlecenie Zarządu Dróg przez firmę Teren. Współpraca jednak nie układała się dobrze. W 2003 r., niedługo po wyborach samorządowych i objęciu prezydentury przez Jerzego Kropiwnickiego, zespół został oficjalnie rozwiązany, a drogi rowerowe wypadły z miejskiego budżetu. Po tym doświadczeniu środowisko rowerowe przez kilka lat nie prowadziło żadnego systematycznego dialogu z władzami. Również Masa Krytyczna stała się całkowicie nieformalnym przedsięwzięciem, animowanym m.in. przez kurierów rowerowych. Ale i w owym czasie udała się mobilizacja na rzecz osiągnięcia konkretnego celu – umożliwienia rowerzystom wjazdu na rynek Manufaktury. Zarządcy tego kompleksu początkowo zamierzali uniemożliwić rowerzystom przejazd. Po Masie Krytycznej z 30 czerwca 2006 r., kiedy to około 80 rowerzystów wjechało do Manufaktury, decyzja ta została jednak zmieniona.

str. 2 | Prezydent Hanna Zdanowska i Wiceprezydent Radosław Stępień na rowerach

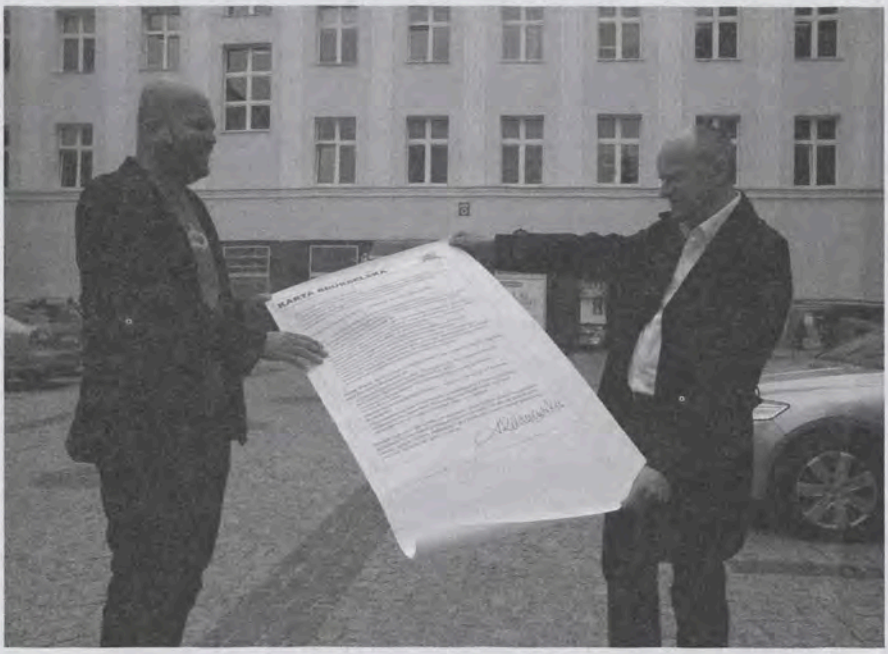

Druga fala

Drugi oddech łódzki ruch rowerowy złapał mniej więcej wiosną 2008 r. Wtedy Mariusz Wasilewski, który społecznie przygotował koncepcję rowerowego połączenia Widzewa, Olechowa i Dąbrowy, stworzył portal rowerowalodz.pl i zaczął szukać poparcia dla swoich pomysłów – zarówno w Zarządzie Dróg i Transportu, jak i wśród łódzkich aktywistów, między innymi z Grupy Pewnych Osób. Doprowadziło to do zawiązania się, początkowo nieformalnego, środowiska działającego na rzecz poprawy warunków jazdy rowerem. Wśród pierwszych działań (2008) były wspólne przejazdy z dyrekcją ZDiT oraz radnymi Komisji Sportu i Rekreacji. Przewodniczący komisji, radny Witold Skrzydlewski (prywatnie przedsiębiorca pogrzebowy), mówił po przejeździe, że krawężniki tak mu się dały w kość, iż „bał się, że będzie musiała przyjechać po niego jego firma". Pojawiły się też akcje „wyrównywania" krawężników, mające zwrócić uwagę na niską jakość istniejących dróg rowerowych.

Podczas prac nad *Koncepcją tras rowerowych 2008-2020* oraz rozmieszczeniem stacji dokujących łódzkiego roweru miejskiego Zarząd Dróg i Transportu miał już w tym środowisku partnera społecznego. Również w 2008 r. udało się rozpocząć prace na standardami infrastruktury rowerowej dla Łodzi. Krok ten wymusiła na władzach uchwała przeprowadzona przez Radę Miejską przez Bartosza Domaszewicza i Krzysztofa Piątkowskiego. Cieniem na tej sprawie położyły się jednak oskarżenia o plagiat, wysunięte przez władze Warszawy. Przyczyną ich była decyzja ZDiT, żeby za punkt wyjścia przyjąć projekt standardów warszawskich zamiast proponowanego

przez nas obowiązującego już dokumentu z Krakowa. Pod tym projektem podpisali się jako autorzy dyrektor i pracownicy ZDiT, nie wspominając nic o pochodzeniu tego dokumentu. Sprawę zakończyły dopiero oficjalne przeprosiny złożone przez komisarza Tomasza Sadzyńskiego.

W 2009 roku powstała Fundacja Normalne Miasto – Fenomen, mająca ambicję m.in. reprezentowania środowiska rowerowego w kontaktach z UMŁ. Fundacja rozpoczęła działania od rejestracji jako zgromadzeń publicznych comiesięcznych przejazdów Masy Krytycznej oraz ich promocji. Organizacja Masy jako zgromadzenia oznaczała przyjęcie odpowiedzialności za jej przebieg. Nieodłącznym składnikiem przejazdów stali się tzw. „niebiescy", czyli wolontariuszki i wolontariusze w niebieskich kamizelkach, którzy zatrzymują samochody i pieszych na czas przejazdu rowerzystów, pilnują, żeby w Masie nie robiły się przerwy, a lewy pas był wolny dla policji czy też innych pojazdów, jeżeli na danym odcinku nie zajmujemy całej szerokości jezdni. Tempo Masy jest ustalane przez najmłodszych uczestników, którzy jadą na czele kolumny, na ogół razem z rodzicami.

Zmiana formuły wywołała kontrowersje wśród dotychczasowych uczestników Masy Krytycznej. Na naszym forum internetowym wielokrotnie zmagaliśmy się z oskarżeniami o odebranie jej dotychczasowego, cokolwiek anarchistycznego charakteru. Zasadniczy cel został jednak osiągnięty – comiesięczne przejazdy są coraz większe! W roku 2010 przekroczyliśmy barierę 500 uczestników. W największym przejeździe w roku 2012 jechało już ponad 1600 osób. W niektórych miesiącach łódzkie Masy bywają największe w Polsce. Szczególnie często zdarza się to w chłodniejszych miesiącach, kiedy warszawscy rowerzyści, którzy jako jedyni są w stanie zmobilizować więcej osób niż w Łodzi, najwyraźniej bardziej boją się zimy. Jeżeli ten wzrost będzie się utrzymywał, w ciągu roku liczba uczestników Masy będzie większa niż kibiców na trybunach łódzkich drużyn futbolowych! Pozostaje mieć nadzieję, że przełoży się to na porównywalny wpływ na miejski budżet.

Równolegle ze wzrostem liczby uczestników Masy, która co miesiąc daje dowód, że wielu łodzian domaga się prorowerowych działań, nieprzerwanie od 2010 r. trwają mniej widowiskowe działania – spotkania z urzędnikami i wypełniająca kolejne segregatory wymiana pism. Jako środowisko rowerowe przyjęliśmy zasadę ograniczonego zaufania i stałego monitorowania działań w sprawach rowerowych. W 2010 r., widząc, że perspektywa budowy projektowanych od dwóch lat dróg rowerowych staje się coraz mniej realna, przekonaliśmy ZDiT do postawienia pierwszych wygodnych i wytrzymałych stojaków rowerowych w kształcie „odwróconego U". W tym samym roku pojawiły się w Łodzi pierwsze tabliczki „nie dotyczy rowerów", w tym ta na kluczowym skrzyżowaniu oddzielającym deptakowy odcinek Piotrkowskiej od południowej części ulicy. Aktywiści społecznie przeglądają materiały przesyłane przez projektantów dróg i pasów rowerowych, angażują się w konsultacje społeczne itp. Czasem do pisania pism włącza się też nasza organiza-

cja – jej uczestnicy kilkakrotnie zalali ZDiT setką tożsamych pism w ważnych sprawach rowerowej komunikacji.

Wybory samorządowe to dla lokalnych grup interesu takich jak nasza, wyjątkowa okazja do nagłośnienia i uzyskania poparcia dla swoich postulatów. Na kilka miesięcy przed wyborami w 2010 r. wysunęliśmy dwa konkretne, ale łatwe do spełnienia postulaty. Pierwszy z nich to przystąpienie Łodzi do Karty Brukselskiej – deklaracji, że do 2020 roku 15 procent ruchu w mieście odbywać się będzie na rowerach, a liczba ofiar wypadków wśród rowerzystów spadnie o połowę. Miało to być czytelne wskazanie, że dla skutecznej polityki rowerowej punktem odniesienia nie mogą być polskie miasta – w żadnym z nich bowiem w badaniach nie udało się osiągnąć choćby poziomu 4 procent udziału rowerów w przemieszczaniu się po mieście. Drugi postulat to powołanie w Łodzi „oficera rowerowego" – urzędnika odpowiedzialnego za całość spraw rowerowych. Bez większych problemów uzyskaliśmy obietnicę spełnienia tych postulatów od dwójki głównych kandydatów na urząd prezydenta Łodzi. Wagę spraw rowerowych podkreśliły wyniki sondażu „Gazety Wyborczej" ogłoszone tuż przed zaprzysiężeniem nowych władz – „budowa dróg rowerowych okazała się piątym najważniejszym zadaniem (83 procent wskazań). Prezydent Hanna Zdanowska zrealizowała je w pierwszych miesiącach po wyborach. „Oficerem" został Witold Kopeć, doświadczony aktywista, a przez pewien czas także przedsiębiorca rowerowy.

Czekając na trzecią falę

Obecnie inwestycje rowerowe wydają się w mieście rozkręcone. Pojawiło się kilka pierwszych pasów i kontrapasów rowerowych. Kiedy piszę te słowa, trwa wylewanie asfaltu na drodze rowerowej na Widzew, projektowanej od lata 2008 r. Szuflady ZDiT stopniowo zapełniają się gotowymi do realizacji projektami dróg rowerowych. Na ulicach pojawia się kolejna seria stojaków ze znaczkiem „Rowerowej Łodzi". To trzeba zauważyć i docenić.

Niestety, w środowisku rowerowym pogłębia się poczucie, że rowerowa Łódź straciła wiatr w żaglach. Jest zgoda na najdroższe inwestycje – wydzielone drogi rowerowe. Czerwone światło ma natomiast postulat uspokojenia ruchu poprzez ograniczenie szybkości do 30 km/h, co umożliwiłoby wspólne poruszanie się rowerów i samochodów na wąskich ulicach śródmieścia. Zarząd Dróg uważa również za nielegalne dopuszczanie dwukierunkowego ruchu rowerów po ulicach jednokierunkowych dla samochodów, jeżeli na ulicach tych nie da się wydzielić półtorametrowego pasa lub jest dopuszczone parkowanie. Tymczasem Gdańsk i Kraków mają już po kilkadziesiąt takich ulic. Miejska Pracownia Urbanistyczna z kolei twierdzi, że nie da się wprowadzić normatywów parkingowych dla rowerów do planów miejscowych (zobowiązałoby to developerów do zapewnienia możliwości przechowywania rowerów w nowych budynkach), choć od dawna z powodzeniem stosują to Wrocław i Poznań. Wojewódzka Rada Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego odmawia wsparcia kursów na kartę rowerową na drogach publicznych, mimo że karta rowerowa uprawnia do poruszania się tymi drogami. Niewiele dobrego dzieje się też na największych łódzkich uczelniach. Prorowerowa atmosfera w mieście kompletnie się od nich odbija. Liczne nowe inwestycje, zwykle obejmujące też parkingi samochodowe, całkowicie ignorują kwestie rowerowe. Na Uniwersytecie Łódzkim przez ostatnie lata nowe stojaki pojawiły się wyłącznie na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym i szybko wypełniły się nowymi rowerami. Na Politechnice Łódzkiej nie pojawił się ani jeden taki stojak.

Tych czerwonych świateł jest zbyt wiele, aby uznać, że polityka rowerowa w Łodzi osiągnęła już wysoki poziom skuteczności. Małe kroki nie mogą satysfakcjonować, jeżeli są zbyt małe. Nadzieje rowerowego standardu wzrosły, kiedy w zarządzie miasta znalazł się Radosław Stępień – postać kluczowa dla rowerzystów w związku z nowelizacją Kodeksu Drogowego. W ciągu kilku miesięcy pojawiły się wątpliwości, czy aby prorowerowe deklaracje i inwestycje nie są jedynie niewielką modyfikacją, mającą zasłonić kontynuację polityki transportowej preferującej jednak samochody. Tymczasem po latach podglądania innych miast wiemy, że te, w których samochody mają ponad połowę udziału w ruchu, po prostu nie mogą być przyjazne dla rowerów.

Kiedy obserwuję młodych aktywistów i aktywistki Fenomenu, urodzonych już w latach 90., którzy zaczynali jako „niebiescy", a teraz są młodymi eksper-

tami doskonale oswojonymi z najlepszą praktyką europejską, nie mam wątpliwości: to oni będą trzecią falą łódzkiego ruchu rowerowego i sprawią, że łodzianie masowo przesiądą się na rowery. Przykład Sewilli, która przez trzy lata zbudowała całą potrzebną sieć dróg rowerowych, co doprowadziło do dziesięciokrotnego wzrostu ruchu tych ekologicznych jednośladów, jest nieustanną inspiracją. „Zrowerowanie" miasta wielkości Łodzi to przecież wymierne zadanie na jedną kadencję. Warto to mieć na uwadze.

Wojciech Makowski
– autor jest wiceprzewodniczącym Rady Programowej
Fundacji Normalne Miasto – Fenomen.
W łódzkim ruchu rowerowym działa od 2008 r.

Fot. z archiwum UMŁ

Problem: Wielkomiejska Piotrkowska

Miasto przyjacielskie – miasto poprawne

Z urbanistą i architektem Zbigniewem Bińczykiem rozmawia Błażej Filanowski

– Nowy numer „Kroniki Miasta Łodzi" poświęcony jest miejskim inicjatywom i aktywistom. Pan także angażował się i angażuje w sprawy miasta. Pierwszym ważnym wystąpieniem, w jakim brał Pan udział, było odsłonięcie „Pomnika Kamienicy" w 1981 roku. Akcję przeprowadziła grupa Urząd®Miasta, w skład której wchodzili również Włodzimierz Adamiak, Wojciech Saloni-Marczewski i Marek Janiak. Skąd wziął się ten pomysł?

– W Polsce końca lat 70. panowała atmosfera nie do zniesienia, co oczywiście skutkowało dużą ilością różnego rodzaju wystąpień społecznych. Poczucie wyczerpania dotknęło także moją branżę, czyli architekturę i urbanistykę. My, studenci, nie mogliśmy się porozumieć z wykładowcami. Oni forsowali idee, które trudno nam było zaakceptować – mam na myśli przede wszystkim planowanie miast, sposób budowania osiedli, rolę człowieka w mieście. W uczelnianych koncepcjach nie brano pod uwagę, że mieszkaniec jest podmiotem tworu urbanistycznego. Doktryna socjalistycznego planowania miast widziała ludzi jedynie, gdy byli przypisani do konkretnej kategorii, bo ówczesny system musiał wszystko dzielić, aby obronić swoje niepewne racje. Na Politechnice Łódzkiej zawiązała się nieformalna grupa studentów i czynnych zawodowo architektów, która chciała wypracować inny sposób patrzenia na świat oraz stworzyć przystający do niego język, aby lepiej zrozumieć, jak funkcjonuje miasto. Jedną z form artykułowania naszego stanowiska były akcje z pogranicza działań społecznych i artystycznych, w tym happeningi. Muszę przypomnieć, że pod koniec lat 70. w cen-

trum Łodzi, w okolicach Centralu, rozciągało się ogromne pole, sięgające niemal ulicy Kilińskiego. Stała na nim jedna, samotna kamienica. Obszar ten został „oczyszczony" i czekał niezagospodarowany całymi latami, ale ten jeden budynek się ostał – zabrakło determinacji, żeby go zburzyć. System chciał totalnie zmienić Łódź, jakaś siła sprawiła, że nie do końca się udało. Dla nas był to pretekst do intelektualnej zabawy. Dywagowaliśmy, że kamienicę pozostawiono specjalnie, jako „pomnik" i świadectwo czasów rozwoju tego miasta. Wymyśliliśmy akcję *Pomnik Kamienicy* i zorganizowaliśmy „oficjalne odsłonięcie", zakrywając wcześniej jej elewację białymi tkaninami. Wmurowaliśmy pamiątkową tablicę i zaprosiliśmy lokalne media. Kierowało nami święte przekonanie, że miasto zbudowane z takich kamienic, w których były przemieszane funkcje usługowe, biurowe i mieszkaniowe, było bogatsze w wymiarze społecznym, kulturowym i estetycznym niż miasto bloków – posiadających więcej udogodnień cywilizacyjnych, ale ubogich w relacje. W kamienicy, w apartamentach mieszkały osoby o wysokim statusie społecznym, a w oficynie – niezamożne. W obrębie jednej przestrzeni zarządca nieruchomości godził te różne światy. Nikt mi nie powie, że dzięki temu życie nie było ciekawsze, bardziej inspirujące. To był inny świat niż fundowana w czasach socjalizmu unifikacja i monokultura towarzyska. Niestety, te interesujące aspekty miast nie powróciły tak powszechnie wraz ze zmianą systemu w 1989 roku. Obecnie deweloperzy budują osiedla trochę lepiej wykończone, ale często będące ideową kontynuacją „bloków". Dodatkowo swoje obszary ogradzają płotami, atomizując mieszkańców, niszcząc spójność przestrzeni miejskiej. To pokazuje, jak trudno się pozbyć pozostałości starego systemu.

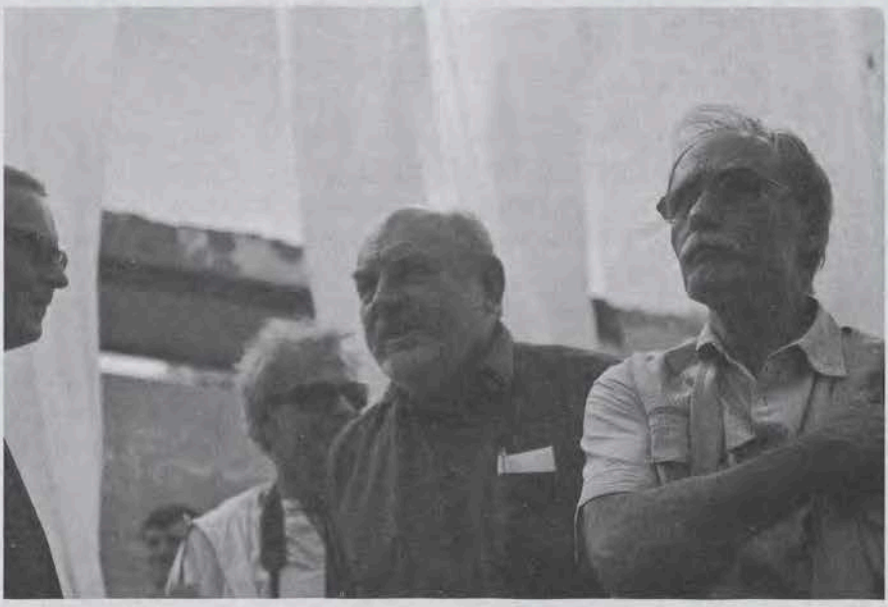

Wysilaj się umiejętnie

– Poglądy grupy Urząd®Miasta świetnie obrazuje manifest towarzyszący akcji. Zacytuję kilka fragmentów. (Do projektantów) „Wysilaj się umiejętnie – myśl dużo, wymyślaj mało. Nie jesteś pierwszy. Nie projektuj od nowa – kontynuuj. Nie niszcz – wykorzystaj". (Do sprawujących władzę) „Nie jesteś niezbędny – przydajesz się. Nie musisz być silny – staraj się być sprawnym". (Do wszystkich) „Jakość twojego jednostkowego, prywatnego życia stanowi o jakości świata. W zaistniałych już dokonaniach ludzkości tkwią nieznane ci nieokreślone wartości, szanuj je. Pamiętaj o ograniczonych zasobach energetycznych świata. Masz duży udział w procesie jego entropii. Zwolnij, nie staraj się być liderem". Motto z waszego manifestu mogłoby sobie wybrać wiele współczesnych inicjatyw miejskich. Jak udało wam się stworzyć tak uniwersalne przesłanie?

– Mamy problem cywilizacyjny. Większość ruchów miejskich zauważa, że mieszkańców miast z czegoś wydziedziczono. Aktywiści podkreślają, że nie należy gubić tych elementów, bo bez nich będzie się nam marnie żyło. Nasz manifest

str. 3 Portret grupy Urząd Miasta (1981 r.). Od lewej: Włodzimierz Adamiak, Zbigniew Bińczyk, Marek Janiak, Wojciech Saloni-Marczewski

był efektem wypracowania własnych narzędzi opisu miasta – małego kosmosu wolnej działalności obywatelskiej, gdzie nie ma prostych, łatwo uchwytnych zależności, takich jak w folwarku. Nieprzypadkowo starożytne cywilizacje rodziły się właśnie w miastach – to model, który pozwala zauważyć, przepracować i opisać uniwersalne zjawiska społeczne. W końcu lat 70. opracowaliśmy „model miasta poprawnego", który stał w opozycji do nauczanych przez naszych wykładowców miast idealnych. Nam wystarczyło miasto „poprawne", bo jak wtedy mówiliśmy: „idealne zwierzę w przyrodzie nie występuje i nie ma sensu się zajmować jego szukaniem". Poprawne miasto miało być energooszczędne, a obywatel musiał w nim być podmiotem, a nie przedmiotem. Z tego wyciągaliśmy wiele wniosków, łącznie z praktycznymi pomysłami typu: jaka ma być sieć ulic, jakie są potrzebne usługi miejskie, wysokość budynków. Trzeba zaznaczyć, że nasza formuła nie zawierała recepty, ale wskazywała kierunki, w których miasto powinno zmierzać. Na podstawie tych przemyśleń napisaliśmy manifest – jeśli dziś inne grupy zechcą z niego korzystać, to świetnie!

Miasto jest jednym organizmem

– Jest pan praktykiem zarówno w dziedzinie architektury, jak i planowania miast. Pana projekt urbanistyczny wygrał ogłoszony przez

Miejską Pracownię Urbanistyczną konkurs WIELKOMIEJSKA PIOTRKOWSKA. Dotyczył on obszaru centrum Łodzi. To, co uderza na pierwszy rzut oka w tej pracy, to nietrzymanie się wytycznych. Wyszedł Pan daleko poza pole konkursu, zarysował Pan nawet obwodnicę! Skąd taki brak dyscypliny?

– Miasto jest jednym organizmem. Wypowiedź o centrum Łodzi nie jest możliwa bez zdefiniowania, czemu i komu ma ono służyć i jakie funkcje mają pełnić jego elementy. Myślenie o Piotrkowskiej należy zacząć od pytania, jaką rolę mają pełnić aleje Piłsudskiego czy Kościuszki. Nie można projektować jednej ulicy w oderwaniu od całego układu komunikacyjnego. Trudno też planować miasto bez rozpatrzenia, jak funkcjonuje komunikacja publiczna. Musimy odpowiedzieć na pytanie: czy mamy zachować system, w którym z dezurbanizowanej strefy mieszkańcy przyjeżdżają do centrum autobusem (który potrzebuje infrastruktury drogowej na tyle sprawnej, aby ludzie mieli ochotę z niej korzystać), czy rozszerzyć sieć tramwajów, które poniosą ciężar komunikacji publicznej w mieście. Jeśli te związki stracimy z oczu, to jakiekolwiek planowanie nie ma sensu. Urbanistyka to nie zgrabne postawienie kilku domów ani urządzenie kilku placów. To wyobrażenie struktury i refleksja o tym, jak funkcjonują ludzie. Co z tego, że wyremontujemy centrum, jeśli nie będzie jak tam dojechać? Jeśli ograniczamy ruch samochodowy, na przykład wysokimi opłatami za parkowanie, to musimy stworzyć łatwy i szybki system komunikacji publicznej. Spójrzmy na łódzkie place. Kilka konkursów, mnóstwo wylanego potu projektów i władz – wszystko po to, żeby Plac Wolności stał się „fajnym placem". Mija 40 lat tej dyskusji, a wciąż nie jesteśmy zadowoleni z efektu. Na placu Dąbrowskiego postawiono „super fontannę" i nowe lampki, ale zmiany te nie są w stanie wzruszyć mieszkańców naszego miasta i przekonać ich, aby chcieli spędzać tam czas. Powodem tego stanu rzeczy jest sposób planowania miasta – fragmentaryczny i niekonsekwentny.

– Załóżmy, że to się zmieni, że w planowaniu naszej przestrzeni miejskiej pojawi się więcej spójności. To chyba nie jedyny warunek, aby śródmieście ożyło.

– Oczywiście, że nie. Obywatela trzeba w życie miasta włączyć! Proszę spojrzeć na strukturę gospodarczą Łodzi. Możemy zidentyfikować pracownika nowych technologii, prawnika, pracownika fizycznego, strasznie trudno natomiast znaleźć osobę, która jest dysponentem pewnego zjawiska w przestrzeni miejskiej. Wyjaśnię, co mam na myśli. Gdy w czasach świetności tego miasta mieszkaniec szedł Piotrkowską, widział zakład zegarmistrza, który był najemcą lokalu i świadczył usługi, podpisując się pod ich jakością „własną krwią". Po sąsiedzku była restauracja, w której

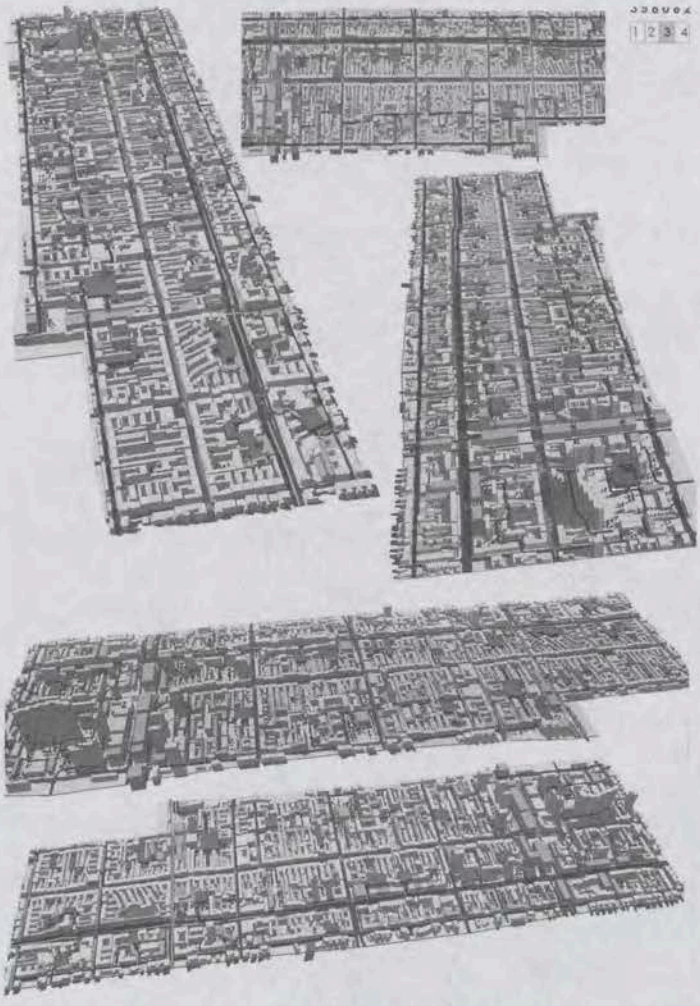

kręcił się przedsiębiorca, a w niej właściciel całej kamienicy rozmawiał o wynajęciu mieszkania z kolejnym potencjalnym klientem. Mecenasa zajmującego biuro na piętrze witał dozorca, który był panem (dysponentem) sytuacji w wymiarze, w którym określały to jego obowiązki. Oni wszyscy byli podmiotem tego miasta! To nie była firma sprzątająca z Częstochowy i właściciel „przyszłej inwestycji" z Luksemburga, który oświadcza, że zależy mu na Łodzi. To zupełnie inni ludzie. Nie wiem, czy możliwe jest przywrócenie takich postaci i relacji dawnego typu, ale możliwe, że jeśli tego nie zrobimy, to działania tych wszystkich inicjatyw miejskich przydadzą się psu na budę. Dawny właściciel kamienicy przy ulicy Piotrkowskiej nie tylko zabiegał o zyski z wyłożonego kapitału, ale chciał też mieć warunki do godnego życia, bo on

tu żył. Jego jakość życia była związana z funkcjonowaniem całego otoczenia, to stanowiło dla niego motywację. On zabiegał o tę jakość, kupując określoną gazetę, wynajmując w taki, a nie inny sposób lokale, dbając o swoje podwórko. Dziś w Łodzi własność jest zróżnicowana i strasznie zagmatwana. Czasem linia podziału biegnie w poprzek posesji lub nawet w poziome, między kondygnacjami – to jest skrajnie zatomizowany system i przez to trudno, żeby narodziła się idea, która konstytuowałaby rolę śródmieścia.

– Czy jest jakieś rozwiązanie tego problemu, nie tylko przecież łódzkiego?

– Nasz apel z 1981 roku skierowany był do wszystkich: polityków, mieszkańców, architektów... Należy zadać sobie pytanie, czy człowiek wyzwolony to znaczy wolny od wszystkich ograniczeń, w tym z ograniczeń kulturowych. Czy warto jakieś związki pielęgnować? Czy przyzwyczaić się do zmienności, szybkich wzlotów i upadków? To fundamentalne pytania, od których nie można się odcinać i twierdzić że „mnie to nie obchodzi". Jak mieszkańca to nie obchodzi, to mamy jakość życia taką, jaką mamy. Jeśli ktoś twierdzi, że nie warto zajmować się otoczeniem, to ono odwdzięcza mu się pięknym za nadobne.

Integratory społecznej życzliwości

– Obok aktywizacji obywatelskiej mądrymi „technicznymi" decyzjami można by jednak sporo zmienić. Pan zaproponował w swoim projekcie Wielkomiejskiej Piotrkowskiej koncepcję „integratorów" – obiektów we wspólnej przestrzeni kwartałów śródmiejskich, z których korzystałoby kilka kamienic. Integrator pełniłby funkcje np. parkingu, boiska, miejsca składowania śmieci, stacji transformatorów...

– Integratory mają wielowymiarowy charakter i rzeczywiście mogą być takim architektonicznym zaczynem pewnych procesów społecznych. Struktura łódzkich działek sprawia, że trudno je adaptować do współczesnych potrzeb, a taka koncepcja mogłaby w tym pomóc. Potrzeba posiadania własnego samochodu jest właściwie niemożliwa do zrealizowania w śródmieściu w obecnej sytuacji. Kiedy w dzieciństwie grałem w piłkę na Wschodniej, samochód przejeżdżał raz na godzinę. Dzięki temu mogliśmy traktować ulicę jak boisko sportowe – dziś nie da się tego robić. Trzeba stworzyć miejsca do integracji społecznej, ekonomicznej. Integrator jest pomysłem na zorganizowanie takich miejsc w obszarze śródmieścia na nieco wyższym poziomie cywilizacyjnym. Ta idea mogłaby naprawdę funkcjonować, gdyby ją oprzyrzą-

dować przepisami i funduszami (a wydaje się pieniądze na różne dziwne rzeczy, więc czemu nie na pobudzanie centrum miasta). Ważne, aby przeprowadzić te zmiany w taki sposób, żeby ludzie zaczęli działać sami z siebie, żeby ujawniło się ich zaangażowanie, a nie tylko oczekiwania, że ktoś coś za nich zrobi. Nawet najmądrzejszy architekt nie wymyśli, czego oni potrzebują. Może terenu zielonego na dachu? Może przedszkola zamiast stacji transformatorów? Trzeba stworzyć ludziom warunki, aby mogli coś dla siebie zrobić, a nie spychać ich na margines. Niektórzy się tam znajdują na własne życzenie, ale wielu trafia tam przez system, a także otoczenie kulturowe, mentalne, brak życzliwości. Jeśli ktoś „szalony" zaczyna działać, to często jest zniechęcany. Chęć aktywności trzeba przywrócić i tu widzę ważną rolę polityki. Jeśli rządzący nadal będą robić wszystko przeciw zmianom, to one łatwo nie nastąpią. Trzeba stale na nich naciskać – może właśnie poprzez ruchy miejskie. Nie można się obrażać na rzeczywistość.

– Stworzenie integratorów wymaga zmiany mentalnej i woli politycznej, ale czy można by zrobić coś dosłownie z dnia dzień? Konkretną decyzją władz zastopować upadek śródmieścia?

– Ważne jest terytorialne ograniczenie miasta. Nieuzasadniony rozrost generuje niewyobrażalne koszty. Najlepiej obrazuje to dyskusja, o której włączyć i wyłączyć oświetlenie uliczne. Miasto jest zbyt rozległe w stosunku do potrzeb mieszkańców i przez to wydaje za dużo pieniędzy. Nie powinniśmy tracić czasu na dyskusję, ile możemy wytrzymywać w ciemnościach, o której jest już prawie widno albo jeszcze nie jest ciemno... Im większy obszar, tym większe koszty oświetlenia, dystrybucji wody, wywozu śmieci, odśnieżania, komunikacji miejskiej, utrzymania dróg... W końcu doprowadzi to do sytuacji, w której zabraknie środków, a nawet chęci na rozwój. Będziemy myśleć, jak przetrwać bieżący rok. Strach pomyśleć, co się stanie, jeśli takie „priorytety" będą mieszkańcom Łodzi przyświecać...

– Konkurs WIELKOMIEJSKA PIOTRKOWSKA miał pomóc w realizacji ambicji miasta do bycia ważnym ośrodkiem w regionie. Czym dla pana jest wielkomiejskość? Czy w Łodzi jej brakuje?

– Wielkomiejskość to wielorakość emocji. Duże, dobrze funkcjonujące miasta oferują swoim mieszkańcom ogromną paletę doznań. Na przykład możliwość podziwiania pięknej witryny zegarmistrza, tych przyrządów, śrubokrętów – to daje bogactwo informacji. Wielkomiejskość jest w galeriach, operach, miejscach sztuki. Miasto wielkomiejskie pulsuje życiem, zachwyca architekturą, w jego przestrzeni dzieją się różne zaskakujące rzeczy. Dzięki temu powstaje bogactwo żywej informacji. Jest to świat doznań pełniejszych i bardziej różnorodnych niż te uzyskane za pośred-

nictwem telewizji czy nawet internetu. Piotrkowska będzie wielkomiejska, gdy idąc nią, będziemy mieli pewność, że czeka nas mnóstwo interesujących wrażeń.

Zbigniew Bińczyk – architekt, urbanista. Twórca biura architektonicznego Fronton, odpowiedzialnego za szereg realizacji architektonicznych. Zwycięzca konkursu urbanistycznego WIELKOMIEJSKA PIOTRKOWSKA, rozpisanego w 2010 roku przez Miejską Pracownię Urbanistyczną. Współtwórca grupy Urząd®Miasta, aktywny członek Fundacji Ulicy Piotrkowskiej.

Błażej Filanowski
– historyk sztuki, animator wydarzeń kulturalnych,
członek Stowarzyszenia Fabrykancka

pierwsze kolumny

Fot. archiwum Stowarzyszenia Fabrykancka, archiwum Zbigniewa Bińczyka

Ekologie Miejskie czyli konstruowanie procesów

Projekt Muzeum Sztuki w Łodzi

Popularna, mieszczańska wersja świadomości ekologicznej powoli, ale skutecznie zapuszcza korzenie wśród polskiej klasy średniej. I bardzo dobrze, bo ogólny poziom dyskursu w tym obszarze jest w Polsce zatrważająco niski. To mocne zapóźnienie sprawia jednak, że kwestie traktowane w krajach Europy Zachodniej czy nawet Ameryki Południowej jako oczywiste, są u nas owiane aurą nowinkarstwa. Tym trudniej przebić się z bardziej progresywną i komplementarną myślą dotyczącą ekologii i wszystkiego tego, co określamy zbiorczo mianem zrównoważonego rozwoju. A pojęcie to, przeżywające obecnie oszałamiającą karierę, jest bardziej niejednoznaczne i problematyczne niż mogłoby to się wydawać.

Prawdziwa, głęboka i interdyscyplinarna refleksja dotycząca definiowania relacji ekologicznych między człowiekiem a środowiskiem zarówno w skali makro, a więc ogólnoplanetarnej, jaki i mikro, czyli miejskiej, zdecydowanie nie jest mainstreamowa. Zwłaszcza w Polsce, jeśli za miernik poziomu publicznego dyskursu związanego z określonym tematem w danym kraju wziąć rozległość opracowań na Wikipedii, sytuację określają dopiero pierwsze zwiastuny. Filozoficzne debaty związane z miejscem człowieka w przyrodzie, definicji pojęcia „natury"", etycznymi problemami wynikającymi z wykorzystywania zwierząt dla zaspokajania ludzkich potrzeb i zachcianek, zakwestionowaniem wyjątkowości *homo sapiens* pod względem biologicznym, problemami etycznymi związanymi z refleksją posthumanistyczną – to wszystko, co nadaje puls globalnej debacie humanistyki pierwszych dekad XXI stulecia, w Polsce rezonuje w stopniu śladowym, ww wciąż niewielkim gronie osób związanych z bardziej progresywnymi środowiskami akademickimi i artystycznymi.

Ekologie Miejskie realizowane przez kuratorki Muzeum Sztuki w Łodzi Aleksandrę Jach i Katarzynę Słobodę są jednym z niewielu projektów w Polsce podejmujących problematykę relacji człowiek-środowisko poprzez narzędzia podsuwane przez najbardziej postępowe nurty współczesnej myśli humanistycznej, w której mieszczą się refleksje takich autorów i teoretyków, jak Bruno Latour, Manuel DeLanda czy Donna Haraway, a także takie zjawiska, jak sztuka biologiczna, permakultura, alter-

natywne społeczności, ekologia akustyczna, taniec i ruch w przestrzeni miejskiej, architektura spontaniczna czy ogrodnictwo miejskie. Taka konsekwentna transdyscyplinarność, połączona z myśleniem radykalnie antyprojektowym może sprawiać wrażenie pewnego chaosu, jak wszędzie tam, gdzie działanie nastawione na proces zastępuje tradycyjne aktywności zogniskowane na efekt. Pewna spontaniczność i relacyjność wydaje się wpisywać integralnie w naturę projektu, w którym polifonicznie brzmią społeczne działania dążące do rewitalizacji zaniedbanego terenu na ul. Wólczańskiej (projekt „Skwerek"), akcje performatywne (np. performance grupy Les Gens d'Uterpan) i dźwiękowe (realizacje Łukasza Ogórka i Daniela Koniusza oraz Katarzyny Krakowiak) w przestrzeni miejskiej czy instalacje *site specific* („Fasada" Alicji Rogalskiej i Martina Clarke'a). Jednak owa „miękkość" przyczyniła się nieco do rozpłynięcia projektu – zapewne z powodu trudności w jego merytorycznym ogarnięciu.

Tym bardziej potrzebna wydaje się decyzja o podsumowaniu pierwszej fazy projektu międzynarodową konferencją, która odbyła się pod koniec października w MS2. W dwudniowym wydarzeniu brali udział m.in. Alex Head i Will Foster. Obaj mają związek z Wasteland Twinning – inicjatywą biorącą pod lupę róznego rodzaju miejskie nieużytki. Przybyli też Mateo Pasquinelli badający w ramach projektu Urbanibalism ekologiczny metabolizm miasta, Monika Bakke – badaczka specjalizująca się w posthumanistycznej perspektywie sztuki biologicznej oraz Paul Chaney – założyciel eksperymentalnego gospodarstwa Fieldclub. Burzliwa dyskusja, jaka wywiązała się drugiego dnia konferencji, uświadamia, z jednej strony, aktualność problemów poruszanych przez prelegentów, z drugiej – olbrzymią nieprzystawalność dyskursów. Tego powszechnego w Polsce, mainstreamowego i sektorowego myślenia o tym, czym jest ekologia i jaką funkcję powinno spełniać działanie twórcze w przestrzeni miejskiej, i tego progresywnego, zdominowanego przez zorientowany na proces model posthu-

manistyczny, reprezentowany przez gości. Wizjonerskie projekty utopijnej, opartej na harmonii wspólnoty międzygatunkowej autorstwa pary artystów Lisette Olivares i Cheto Castellano czy refleksje Beza Kershawa dotyczące tego, jaki efekt mogłoby przynieść stworzenie zwierzętom możliwości rozwoju takich, jakie ma człowiek, nie wywołały na konferencji w MS2 konsternacji i sprzeciwu. Wyniknęło to chyba tylko z faktu, że uczestniczyły w niej zasadniczo osoby, którym progresywne kierunki współczesnej humanistyki nie są obce.

Nie zawsze jednak zetknięcie rewolucyjnej myśli z rzeczywistością przebiega równie gładko. Uświadamiają to losy sztandarowego projektu realizowanego w ramach Ekologii Miejskich, jakim jest „Skwerek". To miejsce – niewielkie klepisko z kilkoma drzewami, wciśnięte między kamienice ulicy Wólczańskiej, zaledwie kilkaset metrów od Piotrkowskiej, ale pochodzące jakby z innej rzeczywistości – jest jednym z takich fragmentów miejskiej przestrzeni, które mija się codziennie nie wiedząc nawet o ich istnieniu. Prawdziwy koszmar dla kuratora, który zazwyczaj

marzy o obudowaniu tworzonego przez siebie projektu wachlarzem użytecznych kontekstów.

Można by to było zrobić inaczej. Można było wybrać przestrzeń naznaczoną, symboliczną, „ważną". Można by zaprosić znanego artystę, żeby wykonał tam kosztowną instalację, przy okazji robiąc duże wydarzenie, na który zaprosi się najważniejszych krytyków z całego kraju. W taki sposób zazwyczaj realizuje się działania symboliczne w przestrzeni miejskiej. Ważny jest projekt, a nie proces. Odgórna, sztywno ustalona koncepcja, a nie relacyjność. Akcentowanie roli władzy, zamiast skupiania się na mieszkańcach.

Tymczasem na Skwerku sadzi się kwiaty. Sadzi się je samemu – z pomocą przyjaciół, znajomych i okolicznych mieszkańców. Później ZZM przez nieuwagę... ścina kwiaty, a okoliczni sfrustrowani życiem jegomoście ponownie zarzucają skwerek petami, butelkami po piwie i psimi odchodami. Sprząta się go więc i sadzi kwiaty od nowa. Latem kuratorki organizowały tam wydarzenia artystyczne –

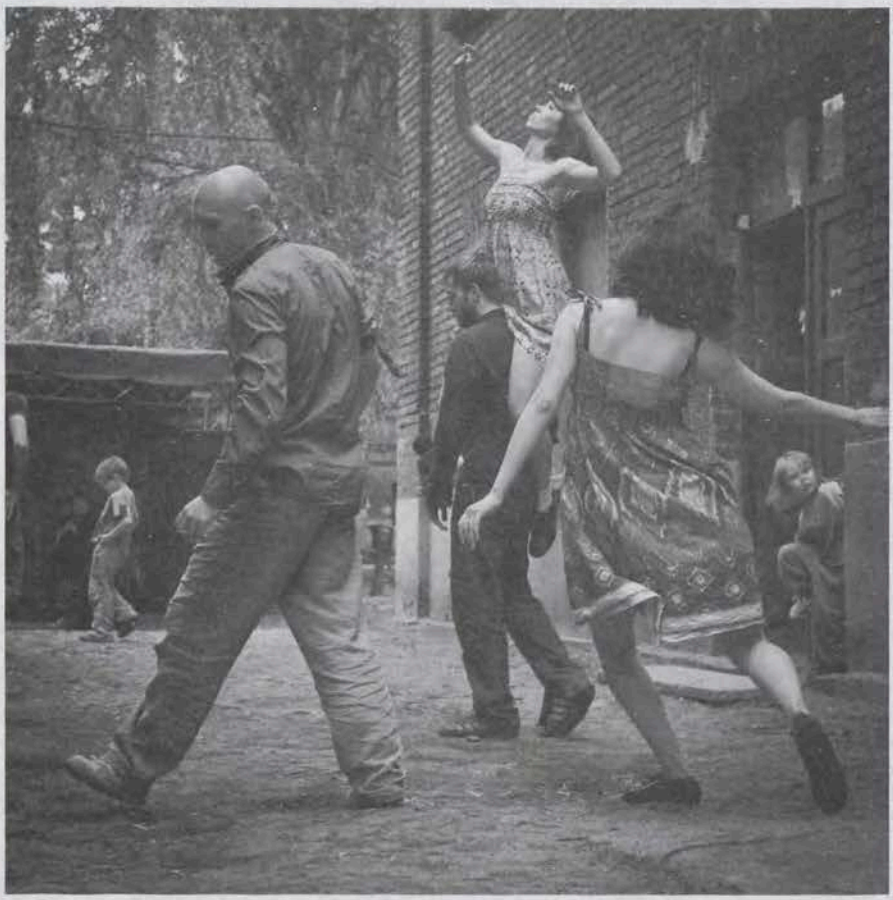

niszowe, angażujące lokalnych twórców, głównie muzyków i tancerzy. Żadnych głośnych nazwisk. Były koncerty, zabawy i wspólne gotowanie.

Ta skromność i kompletna bezpretensjonalność, wyłamanie się poza terror myślenia projektowego i konsekwentne nastawienie na proces budzą szacunek. Niestety, zderzenie projektu progresywnego i dążącego do realnej zmiany (zamiast przecinania wstęg) z urzędowo-prawną machiną okazało się miażdżące. Półtora roku po rozpoczęciu działań plac nadal przypomina klepisko, część elementów mebli miejskich została rozkradziona, a poziom partycypacji mieszkańców jest mniejszy od zakładanego. Urzędnicy umywają ręce, powołując się na nieuregulowany status prawny. A przecież miasto ma do czynienia z prestiżową instytucją, jaką jest Muzeum Sztuki. Aż strach pomyśleć, co by było, gdyby z podobną inicjatywą wystąpili sami mieszkańcy.

Jednak projekt Muzeum Sztuki jest czymś więcej niż kolejną społeczną, nastawioną na cel inicjatywą miejską; jest też czymś więcej niż kuratorskim popisem w przestrzeni publicznej. Jest długotrwałym i żmudnym procesem negocjowania prawa do alternatywnej przestrzeni wspólnej, sceną, na której spotykają się różni uczestnicy – okoliczni mieszkańcy, artyści, kuratorki, przedstawiciele miasta, czy wreszcie najważniejszy z nich, a więc ekosystem skweru. Jednocześnie sceną będącą zarazem laboratorium badania relacji między nimi, tworzenia mostów porozumienia i dostrzegania oraz neutralizowania punktów zapalnych. Przyjmowanie kryteriów porażka-sukces jest w przypadku „Skwerku" ograniczające, okrawa bowiem projekt z kontekstów procesu i negocjacji, które są dla niego kluczowe. Działania na Wólczańskiej kreują bowiem przestrzeń dialogu i konfliktu, wybijając aktorów spektaklu z inercji i obojętności. Nie dają gotowych odpowiedzi, są raczej pytaniem o to, czym jest ekologia miasta, jak powinna wyglądać przestrzeń publiczna, komu powinna służyć i kto posiada nad nią władzę. A także najważniejsze: jakimi środkami dysponujemy, aby wybić dziurę w biurokratycznym monolicie. Mikrohistoria skweru skupia jak w soczewce makroproblemy związane z tworzeniem dobrych, przyjaznych i ekologicznie przemyślanych przestrzeni miejskich.

To przysłowiowe „nie-miejsce" otrzymało oto szansę stworzenia własnej historii. Czy z niej skorzysta?

Gabriela Jarzębowska
– krytyczka sztuki

Materiały wideo z konferencji EKOLOGIE będą dostępne na stronie projektu w styczniu 2013.
Obecnie trwają przygotowania do wydania publikacji z tekstami (m.in. donny Haraway, Neila Smitha, Jill Bennett, Critical Art Ensamble, Isabelle Stengert) poświęconymi tematyce powiązanej z projektem, zaś w maju w Muzeum Sztuki odbędzie się wystawa organizowana w ramach Ekologii Miejskich.

Fot. wszystkie zdjęcia archiwum Muzeum Sztuki

historia

Łódź na mapach 1793-1939
Kartograficzne rewelacje
Kamil Śmiechowski
str. 53

Wojewodowie łódzcy (część 4)
Przemysław Waingertner
str. 58

Ingerencje cenzury w łódzkiej prasie codziennej (1949-1956)
Między prawdą a sielanką
Grzegorz Mnich
str. 64

Łódź na mapach 1793-1939

Kartograficzne rewelacje

Każda mapa stanowi swego rodzaju uproszczenie, by nie powiedzieć fałsz. Trudno bowiem na płaskiej kartce odwzorować trójwymiarową rzeczywistość, składającą się na rzeźbę terenu oraz jego zagospodarowanie. Mimo to jest coś niezwykle pociągającego w przeglądaniu historycznych map i planów, o czym świadczy chociażby powodzenie, jakim cieszą się ich cyfrowe kolekcje, zamieszczane na stronach internetowych zagranicznych, a od jakiegoś czasu również i polskich bibliotek i archiwów. Mapy kryją bowiem w sobie znacznie więcej niż tylko graficzną konfigurację symbolizującą topograficzną rzeczywistość. Kartograficzne bogactwo map zawiera bowiem w sobie pewną głębię, swoistą prawdę o mieście, które ma symbolizować; niekiedy trudno uchwytną z poziomu gruntu. Dzięki znakomitemu wydawnictwu *Łódź na mapach 1793-1939* pewna część tej prawdy została właśnie odkryta.

Pomnikowe dzieło

Okazały album, który ukazał się nakładem Jacka Kusińskiego oraz Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych, Archiwum Państwowego w Łodzi, Sławomira Krajewskiego oraz Stowarzyszenia Fabrykancka, to efekt współpracy czterech autorów. Część tekstową stworzyli: historyk Maciej Janik i wieloletni dyrektor Wydziału Geodezji UMŁ Zdzisław Szambelan, Mariusz Stępniewski opracował wybrane mapy a fotografik Jacek Kusiński uzupełnił to zdjęciami lotniczymi. Autorzy podjęli się trudu odszukania możliwie dużej liczby map i planów miasta powstałych przed 1939 rokiem. Efektem tych poszukiwań było wytypowanie do publikacji 40 planów i map pochodzących ze zbiorów łódzkich instytucji – Archiwum Państwowego i Biblioteki im. Piłsudskiego, ale również stołecznego Archiwum Głównego Akt Dawnych, Archiwum Państwowego w Poznaniu i Staatsbibliothek zu Berlin. Taka kwerenda świadczy o rzetelności, która towarzyszyła poszukiwaniom. Rzetelność ta jest również widoczna w układzie albumu. Każdy z prezentowanych planów ujęty jest w mini-rozdział, któremu towarzyszy zdjęcie lotnicze, ukazujące charakterystyczne fragmenty miasta lub obszerne panoramy, obejmujące całe dzielnice Łodzi. Opisy pozycji zawierają nie tylko datę powstania planu i informację o jej autorze, lecz również dane o aktualnej liczbie mieszkańców miasta, ich zróżnicowaniu narodowościowym, a niekiedy również liczbie stojących w mieście domów. Teksty to komentarze o czynnikach wpływających na rozwój Łodzi

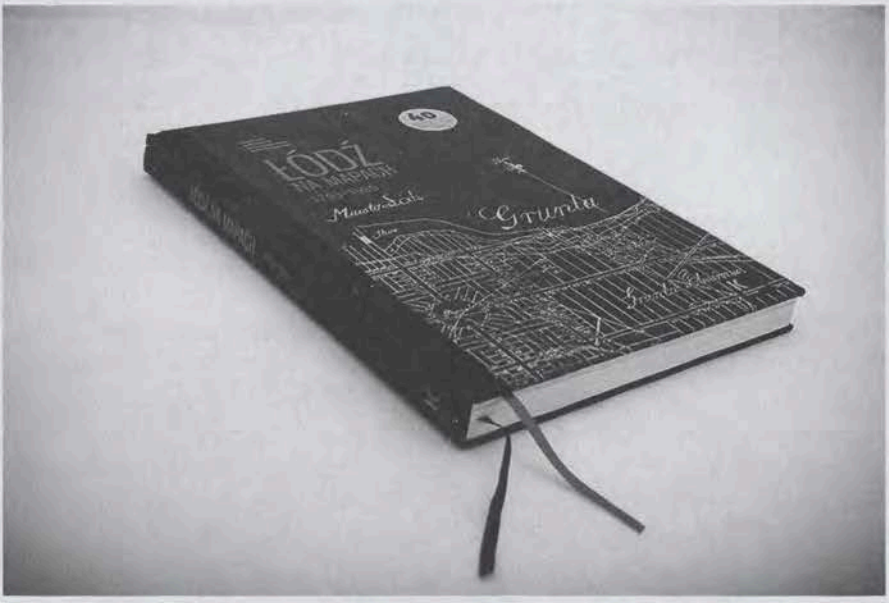

w danym okresie czasu, zachodzących w Łodzi zmianach urbanistycznych i strukturalnych, a także ciekawe wiadomości na temat kulis powstawania samych planów i ówczesnych technik geodezyjnych. Same mapy i plany zaprezentowane są dopiero na końcu takiego mini-rozdziału, niekiedy w formie rozkładanej.

Prawdziwą rewelacją są dwie kalki ze współczesną siatką ulic, które nakładają się na reprodukcje planu Łodzi rolniczej Franciszka Johneya z lat 1812-1813 i Jana Leśniewskiego z lat dwudziestych XIX wieku, z okresu regulacji miasta. Trzecia przenosi nas z kolei do fragmentu wielkoskalowego planu Starzyńskiego z przełomu wieków, ukazującego rejon dworca Łódź Fabryczna. Stanowi zatem łącznik między znikającą na naszych oczach zabudową historycznego dworca kolejowego, która istniała od stu lat, jej stanem dzisiejszym, a dokonującą się wielką przebudową.

Prawdziwe uznanie budzi sama jakość zaprezentowanych map. Odznacza się ona nie tylko ich wysoką rozdzielczością, ale także zachowaniem oryginalnych kolorów użytych przez geometrów sprzed wieku. Jest to niewątpliwa zaleta, zwłaszcza w stosunku do wcześniejszych reprodukcji części z zamieszczonych w albumie planów, znanych dotąd szerszemu ogółowi niemal wyłącznie w wersjach czarno-białych. A jest to doprawdy cenna nowinka, bowiem zamieszczone w albumie oryginalne plany odznaczały się prawdziwym bogactwem barw, bijąc pod tym względem na głowę współcześnie nam znane plany miast, a już zwłaszcza te dostępne w internecie.

Myślę ,że rola recenzenta, który chciałby ocenić album Łódź na mapach 1793-1939, nie wymaga doszukiwania się w nim jakichś wad. Oczywiście można stwierdzić, że wybór nie jest kompletny, opisy zawierają drobne usterki, a zdję-

cia lotnicze często pokazują obiekty powstałe już po roku 1939, których siłą rzeczy próżno szukać na przedstawionych planach. Nie jest to poważny zarzut dla wydawnictwa, bo to iście pomnikowe dzieło stanowi niezwykle cenną pozycję, która obowiązkowo winna znaleźć się na półce każdego miłośnika Łodzi. I z tego choćby powodu jej autorom, wydawcom i mecenasom należą się szczególne słowa podziękowania.

Niezwykła podróż w czasie

Album stwarza też możliwość dość niezwykłej retrospektywnej podróży przez dzieje naszego miasta. Mapa Dawida Gilly i Krohna z 1793 roku – pierwsza na której Łódź ukazana jest jako coś więcej aniżeli tylko punkt, śmieszącą dzisiejszego czytelnika odchyleniem w stosunku do północy – przedstawia niczym nie wyróżniającą się na tle otoczenia, na poły wiejską mieścinę. Ale już plan klucza łódzkiego z lat 1812-1813 przemawia niezwykłą precyzją. Dzięki kalce możemy upewnić się, że niektóre uliczki Starego Miasta w niczym nie zmieniły przebiegu od XVIII wieku, a zapewne i od średniowiecza. Możemy również zlokalizować inne miejsca składające się na przedprzemysłową Łódź. Mieszkańcy ulicy Pomorskiej byliby niemało zdziwieni, że na wysokości browaru znajdował się ongiś folwark Stara Wieś, zapewne najstarszy fragment miasta. Podobnie dla mieszkańców ulicy Kamińskiego zaskoczeniem byłoby odkrycie, że przebiega ona przez dawne obejście wójtowskie.

Mapy z okresu regulacji miasta ukazują bezkompromisowość, z jaką do niej przystąpiono. Nie bacząc na dotychczasowe zagospodarowanie, przebieg dróg i pól, wytyczono w terenie prostopadłe linie, które z czasem miały przekształcić się w ciągi komunikacyjne. A między nimi regularne, jakże odmienne od dotychczasowych działki, wkrótce zamienione w posesje Nowego Miasta czy Osady Łódka. Ten proces tworzenia niejako siłą nowego miasta trwa do lat sześćdziesiątych XIX w., kiedy to siatka ulic przybiera znane nam wszystkim kształty. Widać, że później brakuje tej kontynuacji, a obrastające miasto do 1939 roku przedmieścia nie posiadają już wdzięku, charakterystycznego dla okresu planowej rozbudowy miasta. Z drugiej strony niezwykle dokładny plan Rudolfa Micińskiego z 1873 roku ukazuje, jak bardzo nieliczna, skupiona przy Piotrkowskiej i niektórych z jej przecznic, pozostawała wówczas jeszcze zabudowa miasta.

Na tle tego, co wydarzyło się od lat siedemdziesiątych XIX w. do wybuchu I wojny światowej bardzo sugestywne staje się określenie Reymonta, który nazwał Łódź „miastem-polipem". Bo istotnie ten etap „dośrodkowego" rozwoju Miasta – polegający nie tyle na przyłączaniu nowych terenów i wytyczaniu kolejnych ulic, lecz na intensyfikowaniu zabudowy w wyniku podziałów istniejących działek i kwartałów – przywodzi na myśl zjawisko podziału komórek. Pęczniejąca zabudowa pochłaniała ostatnie wolne przestrzenie, wymazując z pamięci niektóre z funkcjonujących wcześniej nazw. Któż dziś pamięta chociażby o Klapitce, która pojawia się na planie z 1883 roku?

„Stawanie się" miasta, poza rozrostem jego zabudowy, polegało również na sukcesywnym rozwoju infrastruktury komunikacyjnej – kolei, tramwajów, sieci telefonicznej i energetycznej. Dynamiczny rozwój, jaki przeżyła Łódź w drugiej połowie XIX stulecia przyniósł również drukowane plany miasta, bogate w niezbędne informacje. Czasy osady, w której wszyscy wiedzieli gdzie mieści się dana ulica czy fabryka, odchodziły nieuchronnie w zapomnienie.

Plany powstałe po 1900 roku, a także te z okresu międzywojennego, po znacznym rozszerzeniu granic miasta w 1906 i 1915 roku, istotnie różnią się od wcześniejszych. Wielki ośrodek przemysłowy staje się tez centrum administracyjnym, awansując do rangi miasta wojewódzkiego. To sprawia, że prócz fabryk, domów mieszkalnych, pałaców fabrykanckich i nielicznych świątyń, plany miasta zaczynają się poszerzać także o informacje dotyczące rozlicznych urzędów, szkół, placówek kulturalnych, nowych świątyń, linii tramwajowych, a wreszcie stacji benzynowych! Zawierają również plany na przyszłość – na tym z 1939 roku widać planowane drogi, zarówno te, które doczekały się realizacji niemal w identycznej postaci, jak aleja Włókniarzy czy ulica Paderewskiego, jak i te, które na nią wciąż czekają – przedłużenie Targowej, trasa Konstytucyjna. Jest to też czas, w którym naszą peregrynację po Łodzi na mapach zatrzymać. Oglądając ostatnią z zamieszczonych w atlasie map, widać gołym okiem, że wszystkie osiedla, o które poszerzono miasto po II wojnie światowej, są jedynie jego uzupełnieniem. To, co stanowi o charakterze miasta, powstało przed 1939 rokiem. Prawdę tę, niby banalną, warto czasem łodzianom przypominać...

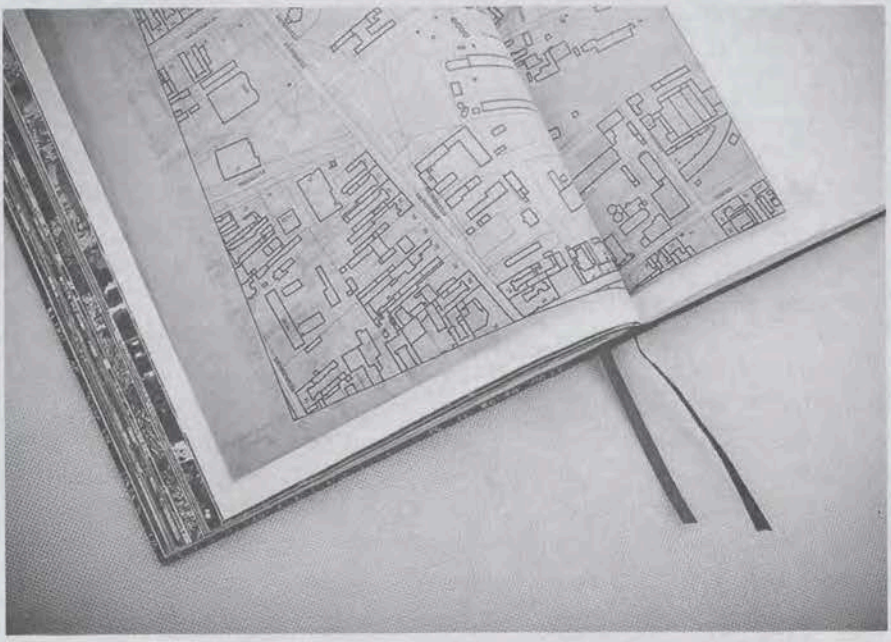

Kończąc omówienie tego bardzo potrzebnego wydawnictwa, warto pokusić się o jeszcze jedną myśl. Otóż wspaniale byłoby, by historyczne plany Łodzi znalazły się nie tylko w internecie, co częściowo już zresztą wykonano, ale i w łódzkich szkołach w charakterze pomocy dydaktycznej. Analizując album *Łódź na mapach 1793-1939*, uczniowie mogliby rozwijać zarówno swoją wyobraźnię przestrzenną, jak i historyczną, a w rezultacie lepiej poznać miasto, w którym żyją dziś i – miejmy nadzieję – będą żyć także jutro.

Kamil Śmiechowski
– historyk, doktorant w Katedrze Historii Polski XIX w. UŁ

Fot. Paweł Justyna – Archiwum Stowarzyszenia Fabrykancka

Wojewodowie łódzcy (część 4)

Kontynuując cykl przypominający postaci sprawujące funkcje wojewodów łódzkich, redakcja „Kroniki Miasta Łodzi" zdecydowała się na przedstawienie także w porządku chronologicznym sylwetek przewodniczących Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej.

Zdajemy sobie sprawę, że po wprowadzeniu w 1950 roku tzw. „jednolitych organów władzy w terenie" przewodniczący ci stanowili już tylko atrapę rzeczywistej władzy, sztucznie legitymizując ustrój „centralizmu demokratycznego". Władza lokalna – jeśli w ogóle była – to znajdowała się wówczas w Komitecie Wojewódzkim PZPR. Niemniej jednak i ten okres w historii Łodzi i Województwa Łódzkiego wymaga skwitowania.

Redakcja

Pałac Poznańskiego
– przez wiele lat siedziba Prezydium WRN w Łodzi

Weteran wojewodą

Czesław Sadowski

Czesław Sadowski urodził się 25 kwietnia 1923 roku w Bućkach w województwie wileńskim na polskich Kresach Wschodnich w polskiej rodzinie chłopskiej. Do 1939 roku ukończył czteroklasowe gimnazjum w Lidzie. Gdy wybuchła druga wojna światowa obszary Wileńszczyzny zostały początkowo zajęte przez Armię Czerwoną. Następnie Związek Sowiecki przekazał je Litwie, która została w 1940 roku – w wyniku agresywnej, imperialnej polityki Kremla – wraz z Łotwą i Estonią włączona w granice państwa sowieckiego. Podobnie stało się z resztą polskich Kresów Wschodnich, które zostały częściowo wcielone do republik sowieckich: białoruskiej i ukraińskiej na skutek decyzji podjętej przez samozwańcze, wyłonione w oszukańczych wyborach „zgromadzenia ludowe" Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi. W latach 1939-1941 Sadowski przebywał na ziemiach włączonych do Związku Sowieckiego. W wyniku bezprawnych, masowych deportacji część ludności z tych terenów została przemieszczona w głąb tego państwa. Zamieszkiwała tam w trudnych warunkach, podlegając wyniszczającej pracy.

Taki los był również udziałem Sadowskiego. Trafił wraz z grupą deportowanych w głąb Związku Sowieckiego. Tam, na „nieludzkiej ziemi", pracował jako robotnik. Każdy dzień był morderczą walką o przeżycie. Nie udało mu się dotrzeć do wojska polskiego, organizowanego po układzie Sikorski-Majski przez generała Władysława Andersa, choć mógł opuścić – dzięki postanowieniom, zawartym w tym porozumieniu – miejsce przymusowej deportacji. Przedostał się natomiast w 1943 roku do oddziałów polskich, formujących się tym razem pod auspicjami Związku Patriotów Polskich – reprezentacji politycznej polskich komunistów i ich współpracowników, która popierana była przez Józefa Stalina po cofnięciu przez niego uznania prawowitemu rządowi polskiemu pod pretekstem jego współpracy z Trzecia Rzeszą (wystąpił on bowiem do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża o zbadanie okoliczności mordu katyńskiego, a z taką samą prośbą wystąpiła Trzecia Rzesza). Sadowski ukończył między innymi znaną sowiecką Szkołę Oficerów Piechoty w Riazaniu. Następnie walczył w szeregach elitarnego samodzielnego batalionu szturmowego. Odznaczał się odwagą i inicjatywą na polu walki. Był szanowany przez żołnierzy i ceniony przez przełożonych. W trakcie walk już na ziemiach przyszłej Polski został ciężko ranny w starciach o Lublin.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej Sadowski pozostał w szeregach wojska. Służył w Korpusie Bezpieczeństwa Wewnętrznego, między innymi na stanowisku szefa sztabu pułku. W 1950 roku został przeniesiony do rezerwy w stopniu kapitana.

Po odejściu ze służby wojskowej rozpoczął działalność polityczną i partyjną. Zarówno jego wiejskie pochodzenie, jak i sympatie polityczne przyciągały go do ruchu ludowego. Nie był również zwolennikiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i jej stalinowskich metod sprawowania władzy. Działał więc w Zjednoczonym Stronnictwie Ludowym – zarówno w jego aparacie terenowym, jak i centralnym. W latach 1951-1955 był kierownikiem Biura Listów i Zażaleń w Naczelnym Komitecie Wykonawczym ZSL. W latach 1955-1962 pełnił funkcję prezesa Wojewódzkiego Komitetu ZSL w Olsztynie, gdzie przyczynił się do rozbudowy stronnictwa. W latach 1962-1967 powrócił do działalności w centralnych organach ZSL. Objął stanowisko kierownika Wydziału Organizacyjnego Naczelnego Komitetu. Równocześnie w latach 1956-1971 był członkiem Naczelnego Komitetu ZSL, a następnie Głównej Komisji Rewizyjnej ZSL.

Kolejny rozdział w działalności publicznej Sadowskiego przyniósł przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Wówczas został skierowany na stanowisko przewodniczącego Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi, która zastąpiła po reformie 1950 r. stanowisko wojewody. Przewodniczącym był od 28 grudnia 1967 r. do 5 października 1971 r., a zatem przez prawie cztery lata. Starał się wówczas o polepszenie warunków pracy w rolnictwie w województwie, ale dużą wagę przykładał również do rozwoju przemysłowej, włókienniczej Łodzi. Funkcje administracyjne w Łodzi łączył z pracą w aparacie partyjnym ZSL. Był członkiem Wojewódzkiego Komitetu ZSL, przyczyniając się do umocnienia wpływów stronnictwa w regionie łódzkim.

Następnie Czesław Sadowski trafił na stanowisko radcy Ambasady Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w Sofii w Bułgarii, wzbogacając swój wojskowy, partyjny i urzędniczy życiorys o epizod dyplomatyczny. W latach sześćdziesiątych Sadowski uzupełniał również swoje wykształcenie. Został słuchaczem Wydziału Historyczno-Socjologicznego Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy Komitecie Centralnym Polskiej Zjednoczonej Partii Robotnicze. Uczelnia ta – „partyjna" i uchodząca za ideologiczną – co prawda nie cieszyła się najlepsza opinią, jeśli chodzi o poziom kształcenia i kompetencje wykładających, ale umożliwiała ludziom władzy szybkie uzupełnianie wykształcenia. Studia zakończył uzyskaniem stopnia magistra socjologii.

Obok działalności w administracji i w szeregach własnego stronnictwa był jego kandydatem do władz ustawodawczych – posłował na Sejmy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej trzeciej, czwartej i piątej kadencji. Był także członkiem Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu.

Wojewoda „mecenas" przy Okrągłym Stole

Roman Malinowski

Przyszły łódzki wojewoda przyszedł na świat 26 lutego 1935 r. w Białymstoku w rodzinie robotniczo-chłopskiej. Kiedy zakończyła się druga wojna światowa, miał zaledwie dziesięć lat. Po ukończeniu nauki w szkole średniej i zdaniu matury podjął studia na Wydziale Rolnictwa Szkoły Głównej Planowania i Statystyki (SGPiS). Równocześnie udzielał się w życiu organizacyjnym akademickiej młodzieży. Należał również do Związku Młodzieży Wiejskiej. Warto tu przypomnieć, iż zakończenie studiów przez Malinowskiego w 1956 roku nie oznaczało końca jego przygody z edukacją. W kilkanaście lat później, w 1972 roku, uzyskał bowiem stopień doktora nauk ekonomicznych w Wyższej Szkole Nauk Społecznych przy Komitecie Centralnym Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. W odróżnieniu od SGPiS uczelnia ta nie cieszyła się wśród polskich środowisk naukowych dużym prestiżem. Nie bez racji uchodziła bowiem za „kuźnię" partyjnych kadr, umożliwiającą zdobywanie stopni i tytułów „na skróty". Ze stopnia doktora ekonomii Malinowski był jednak bardzo dumny.

Po ukończeniu studiów w SGPiS Malinowski pracował kolejno: w latach 1956-1957 w Wydziale Rolnym Zarządu Głównego Związku Samopomocy Chłopskiej, następnie w latach 1957-1958 w Departamencie Statystyki Rolnictwa i Leśnictwa Głównego Urzędu Statystycznego, wreszcie latach 1958-1963 w Centralnym Zarządzie Związku Spółdzielni Oszczędnościowo-Pożyczkowych. Później przyszedł okres pracy politycznej i organizacyjnej w aparacie partyjnym Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, którego członkiem był od 1956 roku. Najpierw – w latach 1963-1970 – Malinowski pracował jako instruktor, następnie jako zastępca kierownika Wydziału Rolnego Naczelnego Komitetu ZSL. W latach 1969-1973 pełnił z kolei funkcję zastępcy członka Naczelnego Komitetu ZSL. Do pracy w spółdzielczości powrócił jeszcze w początku lat siedemdziesiątych – od 1970 roku do 1971 roku był wiceprezesem Zarządu Głównego Związku Spółdzielni Mleczarskich.

W dniu 5 października 1971 roku Malinowski został wybrany przewodniczącym Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi, sprawując funkcję, odpowiadającą zasadniczo obowiązkom wojewody sprzed reformy administracyj-

nej 1973 roku. Na stanowisku tym pozostawał do 15 grudnia 1973 roku, kiedy to po kolejnej reformie, przywracającej urząd wojewody, jako włodarza województwa, objął tę funkcję. Pełnił ją do 31 maja 1975 roku. Trzy dni wcześniej ustawy z 28 maja 1975 roku o zmianie konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i dwustopniowym podziale administracyjnym oraz o zmianach ustawy o Radach Narodowych przekształciły aparat terytorialnej administracji państwowej i strukturę terytorialną państwa. W ich wyniku utworzono w kraju 49 województw, w tym województwo miejskie łódzkie. Skutkiem tego było objęcie władzy nad administracją okrojonego województwa miejskiego łódzkiego przez Prezydenta Miasta Łodzi – Jerzego Lorensa. Pozostając prawie 4 lata najpierw na stanowisku przewodniczącego Prezydium WRN w Łodzi, a następnie wojewody łódzkiego, Malinowski dążył do zintensyfikowania budownictwa mieszkalnego na terenie samego miasta i całego województwa. Interesował się też zagadnieniami przemysłu włókienniczego, wiodącego w regionie. Uchodził za polityka i urzędnika państwowego, który wspierał również z powodzeniem inicjatywy i działalność środowisk naukowych i artystycznych. Mówiło się wówczas w Łodzi i województwie o swoistym „mecenacie artystycznym" Malinowskiego.

Karierze administracyjnej Malinowskiego towarzyszyło pokonywanie przez niego kolejnych szczebli awansu w rodzimej partii. W latach 1971-1975 był zatem wiceprezesem Wojewódzkiego Komitetu ZSL w Łodzi, przyczyniając się do rozwoju partii w Łódzkiem, przede wszystkim do wzrostu jej liczebności i wzmocnienia zaplecza finansowo-lokalowego ZSL. W latach 1973-1989 był już członkiem Naczelnego Komitetu ZSL, stopniowo zdobywając w nim coraz mocniejszą pozycję: w latach 1975-1976 był członkiem Sekretariatu NK ZSL, w latach 1976-1980 sekretarzem NK ZSL, w latach 1976-1989 członkiem Prezydium NK, wreszcie od listopada 1981 roku do września 1989 roku prezesem NK ZSL. Równocześnie jako jeden z liderów, a następnie przywódca ZSL wchodził w skład parlamentarnej reprezentacji stronnictwa – w latach 1976-1989 był posłem na Sejm PRL siódmej, ósmej i dziewiątej kadencji. W tym ostatnim pełnił również funkcję marszałka.

Przyszłość pokazała, iż coraz bardziej odpowiedzialne funkcje pełnione w ramach administracji państwowej i aparatu partyjnego ZSL były wstępem do objęcia przez Malinowskiego istotnych stanowisk w centralnych organach i instytucjach państwa. W kwietniu 1980 roku został on powołany na stanowisko wiceprezesa Rady Ministrów, na którym pozostawał do 1985 roku. Równocześnie był ministrem przemysłu spożywczego i skupu (w latach 1980-1981) oraz przewodniczącym Rady Gospodarki Żywnościowej.

Bohater niniejszego biogramu przewodził także licznym organizacjom i stowarzyszeniom. Był między innymi członkiem Rady Krajowej Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego w latach 1983-1987 oraz przewodniczącym Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w latach 1987-1991. Należał do inicjatorów Konferencji Przewodniczących Parlamentów Europy, Stanów Zjednoczonych Ameryki Pół-

nocnej i Kanady – sygnatariuszy Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy Europejskiej w Warszawie w 1988 roku.

W 1989 roku po obradach Okrągłego Stołu, w których uczestniczył, i czerwcowych wyborach, które przyniosły spektakularny sukces „Solidarności", wsparł inicjatywę Lecha Wałęsy – dotyczącą sformowania nowej koalicji rządowej, złożonej z Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, ZSL i Stronnictwa Demokratycznego, co umożliwiło powołanie do życia rządu pierwszego po drugiej wojnie światowej niekomunistycznego premiera Tadeusza Mazowieckiego i zapoczątkowanie ustrojowej transformacji państwa. W III Rzeczypospolitej był od 1989 roku członkiem Polskiego Stronnictwa Ludowego Odrodzenie (później PSL), powstałego na bazie ZSL. Pełnił też funkcję przewodniczącego Zespołu Doradców przy przewodniczącym Rady Naczelnej PSL. W 2005 był wysuwany przez PSL na honorowego przewodniczącego obrad Sejmu z okazji 25-lecia Solidarności.

Publikował prace naukowe i publicystyczne z zakresu polityki agrarnej, ekonomiki rolnictwa, problemów społeczno-gospodarczych i politycznych. Odznaczony został między innymi Orderem sztandaru Pracy I Klasy oraz Krzyżem Oficerskim i Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Przemysław Waingertner
– historyk, prof. dr hab. UŁ

Ingerencje cenzury w łódzkiej prasie codziennej (1949-1956)

Między prawdą a sielanką

Wojewódzki Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk w Łodzi był jedną z szesnastu delegatur w kraju podległych Głównemu Urzędowi Kontroli w Warszawie (GUKPPiW powołany został dekretem Krajowej Rady Narodowej i Rady Ministrów 5 VII 1946 r.). Niestety, nie zachowały się akta osobowe łódzkich cenzorów, niewiele jest też źródeł dotyczących funkcjonowania oddziału. Dostępne są natomiast teczki z ingerencjami cenzorskimi oraz dzienne, tygodniowe i miesięczne raporty, w których cenzorzy oceniali łódzką prasę. Z podpisów składanych pod ingerencjami i ocenami wynika, że w latach 1949-1956 WUKPPiW w Łodzi zatrudniał rocznie ok. 20 pracowników. W latach 1949-1956 przez urząd ten „przewinęło się" ponad 40 osób, możemy więc mówić o dość dużej rotacji wśród załogi. Łódzkim oddziałem, mieszczącym się przy ul. Parkowej 8, kierował od stycznia 1948 r. Tadeusz Kubik (na stanowisku naczelnika łódzkiej cenzury zastąpił Emila Herbsta). Decyzją KŁ PZPR na początku 1952 r. Kubika zastąpiła na stanowisku naczelnika Maria Lorberowa.[1] Jakie informacje nie mogły ukazać się w prasie, na co wyczuleni byli łódzcy cenzorzy? Spróbujmy przeanalizować najczęściej występujące ingerencje.

Ukrywanie biedy i bezrobocia

Obowiązujący w prasie okresu stalinowskiego model optymistycznego, ujednoliconego ukazywania codziennego życia wykluczał publikację poważnych, a jednocześnie niekorzystnych propagandowo artykułów interwencyjnych.[2] Cenzura kilkakrotnie dokonywała skreśleń w tekstach sugerujących problem biedy i zaniedbania łódzkich dzieci. Warunki materialne zmuszające 14-letnią Marylkę do podjęcia pracy zarobkowej nie były tematem, który mógł przebić się na łamy prasy (*Maryla-Łódź*, „El", 10 X 1951). Zakazane było również pisanie o kłopotach ze znalezieniem pracy przez osoby dorosłe. Maszynistka z referencjami poszukująca jakiegokolwiek zatrudnienia stwarzała – zdaniem cenzora Damiana Kulaka – propagandowy problem, bo sugerowała „trudności

uzyskania pracy w swoim zawodzie"[3]. Podobnie nie do zaakceptowania był jeden z odcinków drukowanego w „Expressie Ilustrowanym" cyklu przygód Wicka i Wacka, w którym bohaterowie przyjeżdżają na kolonię z workiem pełnym jedzenia, „żeby sobie dzieciaczki podjadły. Może mają za mało". Skreślenie powyższego zdania cenzor Bogusław Holub argumentował „fałszywą sugestią odnośnie warunków żywnościowych na koloniach". Cenzurą prewencyjną objęto również artykuł o uczniach, którzy marzli z powodu awarii centralnego ogrzewania (*Kto zawinił?*, „DŁ", 14 XII 1951). Tym razem zakwestionowany został fragment informujący, że lekarz stwierdził już odmrożenia rąk u kilkorga uczniów, a mimo to zajęcia wciąż były kontynuowane. Zdaniem cenzora Janusza Garlickiego tekst „skompromitował pismo z powodu «tendencyjnego» przejaskrawienia położenia uczniów". Niepoprawna okazała się również notatka w „Głosie Robotniczym" informująca o koncercie, z którego dochód przeznaczono „na sieroty po poległych bojownikach o wolność i demokrację". Sformułowanie takie miało bowiem sugerować brak troski państwa o los osieroconej młodzieży.

Kontrola prewencyjna wychwytywała też wszelkie „podejrzane" ogłoszenia, jak np. zamieszczoną w „Dzienniku Łódzkim" (27 VII 1949) ofertę „odstąpienia" półrocznego chłopczyka czy równie dziwnie brzmiącą notatkę w popołudniówce o oddaniu 3-letniego dziecka na własność („El", 11 XII 1949). Cenzor Marian Nimiński wyjaśnił ingerencje stwierdzeniem, że „zdobycze socjalne naszego państwa wykluczają konieczność handlu dziećmi".

Autocenzura w prasie

Należy podkreślić, że sami dziennikarze stosowali mechanizm autocenzury, tak charakterystyczny dla całej prasy okresu stalinowskiego. Nie zdarzyło się np., by łódzkie gazety próbowały upowszechnić informacje o pojawieniu się w Łodzi tzw. wrogich ulotek i napisów na murach. Doniesienia o kolportowaniu haseł antyradzieckich i antypaństwowych często natomiast stanowiły treść raportów łódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa. W 1951 r. znaleziono w Łodzi ulotki z napisem: „Niech żyje Piłsudski, precz ze Stalinem". Rok później aparat bezpieczeństwa alarmował o wzmożeniu „wrogiej działalności propagandowej" w postaci kolportażu ulotek i napisów przeciwko wyborom do sejmu PRL i projektowi konstytucji[4].

Do prasy nie przedostawały się też w tym czasie informacje o kolejnych zatrzymaniach osób oskarżonych w Łodzi o działalność antypaństwową. Czytelnicy nie mogli dowiedzieć się np. o aresztowaniu na początku 1952 r. 19 członków organizacji młodzieżowej Towarzystwo Antykomunistyczne oraz młodych ludzi działających pod nazwą Orlęta Andersa. Obydwie organizacje zostały oskarżone o przygotowywanie i kolportowanie „wrogich" ulotek. Decyzją WUBP utajniane były też niektóre informacje o politycznych procesach sądowych w Łodzi. Na polecenie Urzędu Bezpieczeństwa wstrzymano np. publikację sentencji wyroku w sprawie 23 młodocianych, oskarżonych o próbę obalenia ustroju państwa. Prawie wszyscy zostali skazani na karę

więzienia od 5 do 10 lat. Decydenci partyjni i funkcjonariusze UB w takich przypadkach uznawali, że upowszechnianie informacji o działalności w Łodzi przeciwników ustroju socjalistycznego byłoby niekorzystne propagandowo.

Problemy aprowizacyjne

Tajemnicą państwową objęte były również wszelkie sprawy dotyczące problemów aprowizacyjnych. Cenzorzy rygorystycznie usuwali informacje sugerujące, że w sklepach może brakować podstawowych artykułów spożywczych. Nawet jeśli chodziło tylko o kaszę, której niedobory odczuwano w całym kraju, o czym w połowie 1949 r. donosił „Głos Robotniczy". Zdaniem cenzury rozpowszechnianie takich wiadomości mogło wywołać panikę. Produktem trudno dostępnym, a przez to szczególnie podatnym na działania propagandowe było mięso. Nic więc dziwnego, że cenzurze nie spodobała się informacja w „Expressie Ilustrowanym" o radomskiej szynce, która „wędruje na angielskie stoły". Sformułowanie takie cenzor Wiktor Klarfeld uznał za „szkodliwe wobec trudności na rynku mięsnym".

Sprawy aprowizacyjne okazywały się dla łódzkich dziennikarzy wyjątkowo trudne do uchwycenia. Nie mogli informować o brakach, ale też musieli być ostrożni w tekstach chwalących zaopatrzenie. Cenzura bowiem kwestionowała również doniesienia nazbyt optymistyczne, wmawiające czytelnikom, że wszystko można kupić bez problemów. Zdaniem cenzorów sugestie takie podważały zaufanie do gazet, gdyż powszechnie było wiadomo, że „zaopatrzenie w mięso jest w Łodzi złe". Niezręcznością ze strony redakcji było więc serwowanie przepisu na bigos z mięsem, bo „tego rodzaju «recepty» są szkodliwe". Wszelkie braki artykułów spożywczych należało zatem tłumaczyć kłopotami organizacyjnymi z dostarczeniem towarów do sklepów. Winnymi określano zawsze kierowników hurtowni, kierowców, mało zapobiegliwych sprzedawców lub „spekulantów".[5] Cenzorzy wręcz zachęcali prasę do szerokiego informowania o procesach sądowych przeciwko „sabotażystom i złodziejom", by wywołać „nienawiść i wstręt do przestępców".[6]

O wiele łagodniej łódzka cenzura traktowała publikacje o brakach towarów codziennego użytku. Nie ingerowała w teksty opisujące np. perypetie mieszkańców w zdobywaniu mydła, pończoch dostępnych tylko spod lady, odzieży, którą można było kupić wyłącznie po sezonie czy nieosiągalnych na co dzień parasolek. Mile widziane było jednak bardziej optymistyczne i twórcze podejście do poruszanych tematów. Odpowiedzią redakcji na braki rynku odzieżowego stały się więc drukowane w gazetach domowe kąciki z krawieckimi poradami, tematykę spożywczą zaś ożywiały od czasu do czasu artykuły zachęcające np. do uprawy warzyw, a nawet hodowli królików i drobiu.

Granice poczucia humoru

„Dziennik Łódzki" jeszcze w latach 1949-1951 pozwalał sobie niekiedy na publikowanie humorystycznych, odważnych – jak na owe czasy – komentarzy. We wrześniu 1949

r. cenzura skreśliła np. satyryczny felieton w „Dzienniku Łódzkim" o radiofonizacji wsi Lipa Wielka, połączonej z możliwością nabycia „jednej czwartej kg kawy". Dwa dni później niezrażona ingerencją redakcja gazety próbowała opublikować dowcipny słownik, z którego wynikało, że hasło „entliczek pentliczek" oznaczało wizę wyjazdową za granicę, skrót „C.K." zaś to samo co „K.C.", ale „w ujęciu krakowskim". Oczywiście i tym razem cenzura nie przepuściła satyry, uważając zabawy ze skrótem „KC" za niewłaściwe, podobnie jak aluzje do „wypadków odmowy powrotu wyjeżdżających za granicę".

Warto zauważyć, że próby prawdziwej, niewymuszonej twórczości satyrycznej dziennikarze podejmowali tak naprawdę tylko do momentu powołania przy łódzkim oddziale SDP Sekcji Satyry, na przełomie 1951 i 1952 r. Narzucony centralnie wymóg pisania dowcipnych tekstów oznaczał bowiem wykorzystanie tej formy wypowiedzi do oficjalnych działań propagandowych. Nim jednak to nastąpiło, łódzkie gazety jeszcze kilkakrotnie sprawdzały poczucie humoru cenzury, z reguły z negatywnym skutkiem. Cenzorom nie spodobała się np. definicja oceny „celujący" jako przeżytku, który „wyszedł z użycia wraz z bardzo dobrymi odpowiedziami". W określeniu tym dopatrzono się sugestii obniżenia poziomu nauczania w szkołach. Powodem żartów nie mogły stać się oczywiście niskie zarobki i problemy z zaopatrzeniem. Nie na miejscu był więc dowcip z żebrakiem („EI", 21 IX 1951), który tłumaczył, że gdyby podjął pracę, chciałoby mu się jeszcze bardziej jeść. Skreślenie tego fragmentu uzasadniono jego „dywersyjnym charakterem", szkodliwym zwłaszcza w okresie kłopotów aprowizacyjnych. Nie wszystkie „niebezpieczne" myśli udawało się jednak wychwycić. Cenzura przepuściła np. z pozoru zwyczajny artykuł o kierowcach, którzy nie dbali o czystość samochodów. Kluczowa dla wymowy tekstu okazała się fraszka: „Zbyt szybko przebiega nieraz zamiana woźnicy w szofera" („DŁ", 27 III 1951). W opinii cenzora Witolda Stankiewicza dwuwiersz ten uderzał w politykę kadrową państwa i ośmieszał awans społeczny.

Pomyłki w druku czy celowe działanie

Cenzorzy analizowali teksty, a jednocześnie musieli wcielać się w rolę korektorów wychwytujących wszelkie pomyłki drukarskie, które sugerowały czytelnikowi niewłaściwe skojarzenia. Nie był wolny od nich również partyjny organ KŁ i KW PZPR. Gdy przyjrzymy się przykładom niektórych zakwestionowanych artykułów, musimy przyznać, że miały one w owym czasie dużą moc rażenia. W tekście o rocznicy Rewolucji Październikowej znalazły się np. hasła: „Niech żyją kołchoźnicy radzieccy! Nie żyje tow. Stalin!" („GR", 6 XI 1949). Miary katastrofy dopełniał fakt, że fragment ten nie został zauważony przez cenzurę prewencyjną i trafił do czytelników. Redaktor naczelny „Głosu Robotniczego" W. Lemiesz nazwał przeoczenie „czarną plamą" w pracy redakcji. Obok „uśmiercenia" Józefa Stalina znalazł się też przejaw zarozumiałości i pychy wodza rewolucji. Na pytanie o podstawowe zadanie planu 5-letniego przywódca odpowiedział: „Stalin – twórca potęgi gospodarczej ZSRR" („GR", 2 XII 1949). Trudno powiedzieć, czy przestawienie akapitów nastąpiło przez pomyłkę, czy było celowe. Po-

dobnie jak nie rozstrzygniemy teraz, czy wspomnienie o muzeum Włodzimierza Lenina w Poroninie było dywersją czy chochlikiem drukarskim: „Zanim jednak zniszczone (zamiast „ziszczone") zostało dzieło życia Lenina, spędzić musiał wiele lat na obczyźnie". Tym razem „dywersyjny błąd korektorski" został w porę zauważony i poprawiony[7].

Humorystycznie brzmi zakwestionowany fragment innego artykułu w „Głosie Robotniczym": „Żaden okręt żadnej floty nie odegrał tak doniosłej historycznej roli, jak krążownik Aurora, ongi jednostka bojowa marynarki czeskiej" (zamiast „carskiej"). W innym miejscu niewłaściwe łamanie kolumny spowodowało, że pod hasłem „Głosujmy czynem" pojawił się podtytuł *Dajcie mi spokój*, zaś artykuł *Szkodnik mienia społecznego* rozpoczynał się od słów: „Tow. Bolesław Bierut...". Dodajmy, że pomyłki te nie weszły do publicznego obiegu, bo wychwyciła je łódzka cenzura. Podobnie jak propagandowy tekst o harcerzach, którzy podczas pogadanek zapoznawali się „z pracą i warunkami życia upośledzonej młodzieży krajów kapitalistycznych, krajów demokracji ludowej oraz szczęśliwych dzieci Związku Radzieckiego". Tym razem cenzor T. Kubik nazwał zdanie „skandalicznym błędem składniowym wypaczającym sens myśli". W gazecie partyjnej nie upilnowano jednak np. wydania kalendarza na 1950 rok, w którym kościelne święto Trzech Króli wyeksponowane zostało dużym, pogrubionym drukiem, zaś Rewolucja Październikowa – podpisana małą czcionką.

Błędy językowe i drukarskie równie często trapiły redakcję „Expressu Ilustrowanego". Wyeksponowany w popołudniówce tytuł artykułu o polityce międzynarodowej brzmiał: „Marynarze brytyjscy wierni zasadom imperializmu" (zamiast „internacjonalizmu"). Zdaniem cenzury mógł być to „celowy błąd zecerski obliczony na przeoczenie korekty". W innym artykule, o głównych zadaniach PZPR, brak jednego słowa zmienił sens zdania: „Cała polityka naszej partii opiera się na głębokiej wierze w siłę, którą głosimy" (zamiast „w siłę prawdy, którą głosimy"). Nieporadna składnia była przyczyną „szkodliwego błędu dywersyjnego" w artykule o opóźnieniach w skupie płodów rolnych. Z tekstu w popołudniówce wynikało, że ekipy robotników zostały wysłane na wieś, by „demaskować spekulację i panikarstwo oraz słuszność zamierzeń rządu". Dyżurny cenzor J. Pakuła podkreślił, że kolumna z artykułem była już po korektorskiej rewizji, która okazała się nieskuteczna. Kilka dni później na łamach tej samej gazety można było przeczytać, że siłą kierowniczą Polski jest „zahamowana w bojach partia marksistowsko-leninowska – PZPR" (zamiast „zahartowana").

Najmniej korektorskich błędów niepokojących cenzurę znajdowano w „Dzienniku Łódzkim". Choć i ta gazeta nie była od nich wolna. Pomyłka w tytule artykułu *Sztuczna* [zamiast „Słuszna"] *odpowiedź Węgier na prowokacyjną notę USA* nazwana została nawet „szkodliwym, typowym dla tego dziennika błędem zecerskim". Gazeta „czytelnikowska" zmuszała jednak cenzorów do ciągłej uwagi przy analizowaniu oddawanych do druku materiałów. Okazywało się, że niebezpieczne w wymowie mogły być też zwyczajne ogłoszenia. W jednym z nich ktoś np. proponował załatwienie kierowniczego stanowiska w zamian za pożyczenie 100 000 zł. W tym przypadku cen-

zura dopatrzyła się handlu posadami. W innej wzmiance Automobilklub Łódzki wzywał swoich członków do stawienia się na pochód 1-majowy, domagając się obowiązkowej obecności. W uzasadnieniu ingerencji cenzorskiej czytamy, że „przymus zawarty w ogłoszeniu koliduje z żywiołowym i spontanicznym charakterem manifestacji".[8]

Co można pisać o ZSRR

Przez cały okres stalinowski cenzorzy zwracali szczególną uwagę na artykuły dotyczące Związku Radzieckiego. Każda z łódzkich gazet oceniana była przez pryzmat tematów poświęconych Krajowi Rad. Surowo piętnowane były wszelkie pomyłki drukarskie związane z naszym wschodnim sąsiadem. Za „dywersyjny błąd korektorski" uznany został np. tekst w „Głosie Robotniczym", z którego wynikało, że „przytłaczająca część budżetu ZSRR przeznaczona jest na potrzeby wojskowe" (zamiast „nie na potrzeby wojskowe"). Pomyłkę z budżetem zdołano w porę wychwycić i wycofać z druku. Nie zauważono natomiast innego, również „dywersyjnego" błędu polegającego na niefortunnym przekształceniu pozdrowień przysłanych z Moskwy dla Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Czytelnicy lokalnego organu partyjnego ze zdziwieniem odebrali życzenia „wspaniałych sukcesów na polu umacniania przyjaźni polsko-niemieckiej" („GR", 31 I 1951).

Największym skandalem zakończyło się jednak wydrukowanie na łamach styczniowego „Expressu" artykułu wspominającego połączenie Ukrainy z Rosją. Błąd linotypistów (Rajło i Pogonowicz – imiona nieustalone) spowodował, że w publikacji znalazło się zdanie: „naród ukraiński walczył przeciwko uciskowi społecznemu ze strony feudałów polskich i ukraińskich oraz przeciwko obecnemu jarzmu" (zamiast – „obcemu"). Pomyłkę zauważono już po wydrukowaniu numeru, a jednak władze zdecydowały o skonfiskowaniu przygotowanego już do kolportażu 12-tysięcznego nakładu. Tylko 700 egzemplarzy tego wydania wysłano wcześniej do indywidualnych abonentów. Łódzka „bezpieka" od razu wszczęła dochodzenie w redakcji i drukarni. Odpowiedzialny za wydanie dziennikarz Władysław Orłowski tłumaczył, że poprawiając jeden błąd, spowodował przypadkowo drugi.

Jeszcze wnikliwiej analizowano lokalną prasę po śmierci J. Stalina. Aby zmniejszyć ryzyko przeoczenia niewłaściwego tekstu czy błędu drukarskiego, gazetę czytało dwóch cenzorów, którzy zatwierdzali każdy numer do druku. Już informacja w popołudniówce o ogłoszeniu „czterodniowej żałoby w Związku Radzieckim" wzbudziła wątpliwości, gdyż „nie można liczyć żałoby ilością dni". Całą serię błędów wytknięto w tym czasie „Głosowi Robotniczemu". We wspomnieniowym artykule o J. Stalinie cenzura prewencyjna wykreśliła fragment zdania: „przez 33 lata wychowywał partię bolszewicką", nazywając ów zwrot „szkodliwym błędem politycznym". Dwa dni później wychwycono niezręczne zdanie: „Na próżno sądzą wrogowie, że bez Stalina trudniej nam będzie budować socjalizm". Nie do zaakceptowania okazało się też sformułowanie „Wielkiemu Stalinowi". Użycie cudzysłowu cenzor znów określił jako

dywersję. Z kolei humorystyczne połączenie dwóch tytułów: *Co nowego w łódzkim ZOO i Każdy związkowiec członkiem TPPR* cenzor Janusz Garlicki nazwał tylko „niefortunnym zestawieniem notatek"[9].

Większa swoboda w prasie

Przełom lat 1953 i 1954 oznaczał dla łódzkiej prasy – podobnie jak dla ogólnopolskiej – pierwsze, nieśmiałe jeszcze próby wyzwolenia się z obowiązujących dotychczas propagandowych szablonów pisania. Stopniowo dziennikarze zaczęli zajmować się codziennymi problemami, które rzeczywiście dotyczyły, a więc i interesowały przeciętnego czytelnika. Zarówno w „Głosie Robotniczym", jak i „Łódzkim Expressie Ilustrowanym" zaczęły pojawiać się nieobecne wcześniej tematy, takie jak sprawy rodziny, służby zdrowia czy problematyka przestępczości. Zainicjowany wówczas powolny proces „odwilży" odbywał się bez wątpienia za przyzwoleniem władz partyjnych i aparatu cenzury.

Rok 1955 przyniósł w prasie łódzkiej dalsze rozszerzenie marginesu dziennikarskiej swobody. Tematy, które były nieśmiało sygnalizowane przed rokiem, teraz na dobre zagościły na łamach gazet. Cenzura bez zastrzeżeń akceptowała np. teksty o wypadkach komunikacyjnych czy pożarach.[10] W wakacyjnym wydaniu „Głosu Robotniczego" znalazł się nawet artykuł o łódzkich dzieciach, które na kolonii bawiły się uszkodzonym pociskiem. Wskutek wycieku substancji żrącej poparzonych zostało prawie 100 kolonistów. Z prasy wreszcie można było dowiedzieć się o masowych zatruciach pokarmowych w Łodzi, do których dochodziło zwykle latem. Gazety, za przyzwoleniem cenzury, zaczęły pełnić rolę poradnika w profilaktyce zdrowotnej. Coraz częściej ukazywały się też publikacje piętnujące przestępczość i chuligaństwo.[11] Nie ukrywano już, że istotnym elementem przestępczości są masowe kradzieże w fabrykach. Aparat cenzury przestał chronić robotników przyłapanych na wynoszeniu materiałów z zakładów pracy. Krytyczne artykuły ujawniały również oszustwa dokonywane przez dyrektorów fabryk. Prasa podawała nazwiska tych, którzy byli podejrzani o przywłaszczanie publicznego mienia, przyjmowanie łapówek, fałszowanie dzienników produkcyjnych i działanie na szkodę zakładu. Nie oszczędzano nawet zamieszanych w finansowe afery działaczy z komitetów dzielnicowych partii. Za przyzwoleniem cenzury także ich nazwiska przedostawały się do gazet. Dobrej opinii w mediach nie miała też łódzka milicja. W świetle kolejnych ujawnianych przestępstw gospodarczych funkcjonariuszy oskarżano o nieskuteczną działalność prewencyjną i słaby kontakt ze społeczeństwem. Na razie były to pierwsze, dość łagodne próby oceny resortu.

„Odwilż" 1956 roku

Nie ulega wątpliwości, że spośród lat 1949-1956 łódzka prasa poczynała sobie najśmielej właśnie w ostatnim roku „odwilży". Dopuszczalna granica krytyki, tak w prasie lokalnej, jak i centralnej, przesunięta została na tyle daleko, że dziwiła i niepokoiła na-

wet najwyższe gremia partyjne. Za symboliczną oznakę przemian w łódzkich dziennikach uchodzić mogą artykuły krytykujące w niewyszukany, bezpośredni sposób Milicję Obywatelską. Pierwszy zaatakował „Głos Robotniczy", zarzucając formacji nieskuteczność w ściganiu przestępstw pospolitych, a jednocześnie łamanie praw zwykłych ludzi („GR", 24-25 III 1956). „Łódzki Express Ilustrowany" zajął się natomiast milicjantami, którzy pili alkohol w pracy. Za zgodą cenzury ujawnił, że funkcjonariusze z komendy na Bałutach podczas interwencji spożywali wódkę, którą wzięli jako łapówkę za odstąpienie od czynności służbowych („ŁEI", 30 IX-1 X 1956). Kilka dni później gazeta wytknęła milicji brak autorytetu w społeczeństwie. Trudno budować zaufanie, gdy funkcjonariusze na co dzień zajmują się tylko „aplikowaniem mandatów, kłótniami z przekupką czy łapaniem pasażerów jeżdżących na stopniach tramwajów" – argumentowała autorka tekstu Zofia Tarnowska w przeddzień 12 rocznicy powstania MO.

Łódzka prasa właśnie w 1956 r. po raz pierwszy opublikowała też teksty, które stawiały w nowym świetle stosunki Polski z ZSRR. Dotychczasową apoteozę naszego wschodniego sąsiada zastąpiono dyskusją nad charakterem wzajemnych kontaktów. „Łódzki Express Ilustrowany" w emocjonalnym sprawozdaniu ze słynnego październikowego wiecu młodzieży w hali „Wimy" podkreślił, że zebrani wyraźnie domagali się zmiany naszych relacji z ZSRR. Żądali pełnej suwerenności Polski, naprawienia krzywd wyrządzonych tysiącom Polaków wywiezionych w głąb Związku Radzieckiego, wreszcie nawiązania ściślejszej współpracy z krajami „o rzeczywiście przodującej technice".[12]

Na łamach łódzkiej prasy w 1956 r. zagościli też nowi bohaterowie. Od lipca „Łódzki Express Ilustrowany" patronował społecznej akcji zbierania pieniędzy na odbudowę zniszczonego przez hitlerowców pomnika Tadeusza Kościuszki. Wzmianki o przebiegu zbiórki oraz informacje o darczyńcach drukowano niemal codziennie. Jednocześnie pojawiły się artykuły przypominające osiągnięcia osób do niedawna uważanych za wrogów. W pozytywnym świetle ukazano np. sylwetkę Melchiora Wańkowicza. Akceptację cenzury znalazł również odważny tekst w „Głosie Robotniczym" („GR", 8 VIII 1956) wyśmiewający partyjną nowomowę i zwroty: na odcinku, po linii, w aspekcie, na bazie, styk z masami itp. Żargon partyjny nazwano „jeszcze jednym skutkiem błędów i wypaczeń, jakie zaważyły na polityce partii i jej realizacji". W artykule ironicznie wspomniano też o setkach nudnych zebrań partyjnych, podczas których „referent wiernie powtarzał formułki za instrukcją, gazetą, notatnikiem referenta czy agitatora".

Na zadziwiająco dużą swobodę łódzka cenzura pozwoliła lokalnym dziennikom w związku z publikacjami dotyczącymi powstania na Węgrzech w październiku i listopadzie 1956 r. W licznych artykułach z tego okresu prasa solidaryzowała się z powstańcami węgierskimi, bohatersko walczącymi z interwencją wojsk radzieckich. Nie zamieszczano co prawda informacji o bezwzględnym tłumieniu zrywu narodowego przez najeźdźców, ale np. proszono łodzian o oddawanie krwi dla po-

wstańców. Informowano też o spontanicznym odzewie społeczności łódzkiej na ten apel. Gazety włączyły się nawet w zbiórkę pieniędzy na zakup żywności i leków.

Przyzwolenie decydentów partyjnych na publikację odważniejszych tekstów w drugiej połowie 1956 r. nie oznaczało, że łódzka prasa wydostała się spod cenzorskiej kontroli. Tam, gdzie zawodziła redakcyjna autocenzura i ćwiczony przez ostatnie lata polityczny „rozsądek", stanowczo wkraczał aparat kontrolny. Skuteczność cenzury doskonale było widać na przykładzie tzw. wypadków poznańskich. W łódzkiej prasie mogły ukazywać się tylko artykuły potępiające „poznańskich wichrzycieli". Cenzor Krystyna Kardyni-Pelikan zdecydowała np. o usunięciu z „Łódzkiego Expressu Ilustrowanego" artykułu Krzysztofa Wolickiego i Romana Jurysa, gdyż znalazły się tam sugestie o trudnej sytuacji ekonomicznej robotników jako jednej z przyczyn protestu. Takie rozumowanie było zresztą powszechne wśród łódzkich robotników. Panowała ogólna opinia, że „gdyby ludzie mieli dobrze, toby nie wyszli na ulicę z żądaniami, ale jak robotnik głodny, to mu wszystko jedno"[13].

Jedną z oznak bardziej liberalnego kursu gazet było w 1956 r. pojawianie się pozytywnych wzmianek o wydarzeniach kulturalnych i życiu za „żelazną kurtyną". Generalnie łódzką prasę wciąż obowiązywał nakaz krytycznego pisania o państwach zachodnich, od czasu do czasu jednak dostawały się na łamy teksty wyłamujące się ze schematu. Zwykle były to ciekawostki o sensacyjnym zabarwieniu drukowane w „Łódzkim Expressie Ilustrowanym", jak choćby rozważania o tym, która z dwóch popularnych zachodnich aktorek jest piękniejsza: Gina Lollobrigida czy może Sophia Loren („ŁEI", 1-2 I 1956). Tekst ilustrowały fotografie bohaterek w kostiumach kąpielowych. Inny artykuł z zaciekawieniem relacjonował odbywający się w Anglii konkurs piękności (*Królowa nudystów*, „ŁEI", 8-9 VII 1956). Sensacyjnie brzmiała też notatka o 44-letnim mieszkańcu Berlina, który w konkursie został niemieckim mistrzem w zmywaniu naczyń. Liczne przykłady „tabloidowego" ujęcia tematów pozwalają porównać „Łódzki Express Ilustrowany" z 1956 r. do popołudniówki z pierwszej połowy 1949 r. Obyczajowego gorsetu nie rozluźnił „Głos Robotniczy". W jednym z wrześniowych felietonów Henryk Rudnicki próbował np. rozprawić się z dziewczynami, które spacerowały po ulicy Piotrkowskiej w krótkich spodenkach. Nawoływał nawet, by „fotografować takie dziewczyny i ich wyrodnych rodziców, a następnie umieszczać na specjalnej «tablicy złych ojców»". Felieton był na tyle kuriozalny, że stał się tematem złośliwych komentarzy w „Prasie Polskiej".

W przypadku łódzkiej prasy nie możemy mówić w 1956 r. o uwalnianiu się redakcji spod kontroli cenzury. Liczne przykłady odważnych jak na owe czasy artykułów świadczą tylko o tym, że dzienniki za zgodą aparatu kierowniczego PZPR próbowały wpisać się w nowy, tzw. odwilżowy nurt myślenia. Warto też jeszcze raz podkreślić, że rola cenzury w kontrolowaniu gazet była drugorzędna. Najważniejszy był dobrze funkcjonujący mechanizm zależności stworzony przez centralne i lokalne władze partyjne oraz redakcyjna autocenzura. Aparat cenzury wkraczał w ostatnim eta-

pie, by naprawiać przypadkowe bądź celowe błędy drukarskie, niezręczności czy dwuznaczności interpretacyjne.

Na przestrzeni lat 1949-1956 w redakcjach łódzkich dzienników ani razu nie powstał autentycznie krytyczny tekst, w którym próbowano by np. podważać kompetencje najwyższych władz państwowych czy choćby lokalnych gremiów partyjnych, zasadność ustroju socjalistycznego, gospodarki planowej czy przywództwo ZSRR wśród krajów wschodniego bloku. Redakcje nie podejmowały też tematów dotyczących lokalnych aresztowań o charakterze politycznym, zaniku jakichkolwiek form demokratycznej działalności w mieście czy trudnych warunków życia łódzkich rodzin. Gdyby zatem oceniać okres stalinowski w Łodzi tylko w oparciu o błahe cenzorskie ingerencje, uzyskalibyśmy nieprawdziwy, wyretuszowany obraz społeczeństwa i jego problemów. Przeciętny czytelnik łódzkiej prasy nie widział nawet śladów cenzorskich ingerencji, gdyż każdy odrzucony fragment zastępowany był poprawionym bądź nowym tekstem. W gazecie nigdy nie zostawało więc puste miejsce, a redakcje musiały mieć przygotowane dodatkowe publikacje, którymi zapełniano skreślone szpalty.

Grzegorz Mnich
– historyk, dziennikarz

Przypisy:

1 Archiwum Państwowe w Łodzi (dalej-APŁ), KŁ PZPR, 2535, Usunięcie z pracy dziennikarzy pochodzenia żydowskiego; protokoły zebrań, opinie, notatki, 1968, k. 52-53.
2 O mechanizmach indoktrynacji w ówczesnej prasie por. szerzej: J. Wojsław, *Obraz teraźniejszości w propagandzie komunistycznej Polski lat 1949 – 1954. Zarys problematyki*, Gdańsk 2009.
3 Archiwum Akt Nowych w Warszawie (dalej-AAN), GUKPPiW, 268, nr 6/32d, k. 24; *Poszukiwanie pracy*, „DŁ", 24 VI 1951.
4 Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Łodzi (dalej-AIPN Łd), 127/47, Sprawozdanie miesięczne z-cy naczelnika wydziału II WUBP za okres 1-31 VIII 1952 r., k.115. Autor raportu informował, że na Widzewie znaleziono 78 ulotek o treści antykomunistycznej.
5 Por.: *Niedomagania Państwowej Przetwórni Mięsnej, „GR", 20 I 1949; Łódź może mieć octu pod dostatkiem*, „GR", 8 II 1949; *Urodzaj na owoce dopisał, a w sklepach guzik*, „EI", 9 X 1949; *Spekulanci szukają żeru*, „GR", 1 IV 1950; *Piwo „idzie" aż miło*, „EI", 22 IX 1950; *Ukrócić spekulację warzywami*, „GR", 16 III 1951.
6 APŁ, KŁ PZPR, 2498, Ocena „Głosu Robotniczego" za okres 15 IV-15 V 1952, k. 31. Nasilenie walki z kułakami i spekulantami zaleciło prasie VII Plenum KC PZPR z czerwca 1952 r.; por.: A. Słomkowska, *Prasa w PRL. Szkice historyczne*,Warszawa 1980, s. 284.
7 AAN, GUKPPiW, 268, nr 6/32c, Ingerencja z 21 I 1951, k. 1.
8 AAN, GUKPPiW, 83, k. 146; „DŁ", 30 IV 1949.
9 AAN, GUKPPiW, 297, nr 7/9b, k. 72.

10 *Aby zapobiec nieszczęśliwym wypadkom*, „GR", 9 VI 1955; *Aby było mniej wypadków ulicznych*, „GR", 19 VIII 1955; *W walce z wypadkami ulicznymi*, „GR", 22 IX 1955; *Wzmogła się ilość pożarów w Łodzi*, „GR", 4 XI 1955.

11 *Ostrzegawczy sygnał*, „ŁEI", 26 VIII 1955; *W Łodzi powstaje społeczna komisja do walki z chuligaństwem*, „ŁEI", 1 X 1955; *Zwracamy się do Was obywatele Łodzi w sprawie zwalczania chuligaństwa*, „GR", 24 X 1955; *6 napadów z bronią w ręku*, „GR", 16 XI 1955.

12 *Ogólnołódzki więc młodzieży na Widzewie*, „ŁEI", 24 X 1956. Artykuły rozliczeniowe z ZSRR zaczęły się pojawiać w polskiej prasie centralnej w marcu, wraz z ujawnieniem referatu Nikity Chruszczowa „O kulcie jednostki i jego następstwach" podczas XX Zjazdu KPZR, por. :W. Władyka, *Na czołówce. Prasa w październiku 1956 roku*, Warszawa-Łódź 1989, s. 44-48.

13 APŁ, KŁ PZPR, 1891, Poznański „Czerwiec"; odgłosy wydarzeń w łódzkich zakładach pracy, 1956, k. 1.

kultura

II Festiwal Kinetycznej Sztuki Świata
Widowisko wielu możliwości
Alicja Rekść
str. 77

Józefa Rotha podarunek dla Łodzi
Człowiek z hotelu Savoy
Adam Kożuchowski
str. 80

Trzy spojrzenia na dziedzictwo łódzkiej awangardy
Duch konstruktywizmu
Anna Nawrot
str. 87

Powrót bohatera
Muzeum Miasta Łodzi zainaugurowało dwuletni program przygotowań do obchodów setnej rocznicy urodzin Jana Karskiego
Marcin Kieruzel
str. 95

Roman Modzelewski w 100 rocznicę urodzin
Kreator wielu form
Gustaw Romanowski
str. 102

90 lat Stanisława Fijałkowskiego
Miedzy sztuką, życiem i nauką
Gustaw Romanowski
str. 109

II Festiwal Kinetycznej Sztuki Światła

Widowisko wielu możliwości

Światło determinuje naszą percepcję, pozwala rzeczom pojawiać się i znikać. Nie wymaga wiele tłumaczenia, rozbudowanej fabuły, kontekstów czy ideologii. Ale – jak zauważył Erich Mendelsohn – przyciąga masy i wyzwala w nich chęć do dynamicznej i rytmicznej ekspresji. Światło działa w czasie teraźniejszym, uwydatnia to, co jest fizycznie obecne, może także nadać kostium pustce, rozbudzić nową energię w miejscu, w którym rządzi monotonia i przyzwyczajenie.

Festiwal Kinetycznej Sztuki Światła LIGHT MOVE FESTIVAL został pomyślany jako wydarzenie dedykowane tkance miejskiej Łodzi. Beata Konieczniak, autorka pomysłu, postanowiła wraz z zespołem organizującej to spektakularne przedsięwzięcie Fundacji Lux Pro Monumentis powtórnie zmierzyć się z wyzwaniem rozświetlenia miasta w kolejnej edycji festiwalu. Ubiegłoroczne doświadczenie oraz większy zapas czasu pozwoliły przygotować koncepcję widowiska w znacznie szerszym i bardziej uporządkowanym wymiarze, aniżeli miało to miejsce podczas pierwszej edycji festiwalu. W przeciwieństwie do zeszłorocznej, usztywnionej narzuconymi tematami imprezy tegoroczna edycja skupiała się na najbardziej elementarnych właściwościach światła i działaniach artystyczno-technologicznych uzyskiwanych dzięki temu medium. Jednocześnie zachowany został podział na wydarzenia o charakterze bardziej egalitarnym, masowym i na te adresowane do publiczności bardziej wymagającej.

Słusznym zabiegiem ze strony organizatorów było zaproszenie Mariusza Sołtysika jako kuratora do skompletowania takiego zespołu artystów współtworzących świetlną scenografię, aby impreza nabrała charakteru wydarzenia ambitnego, o silnych walorach kreacyjnych, a to dzięki stworzeniu spójnej koncepcji, czytelnej dla co wnikliwszych odbiorców.

Tegoroczny festiwal światła trwał trzy pełne wieczory. Większość atrakcji dostępna była przez cały czas, część zaś miała charakter efemeryczny. Przez cały czas trwania tego niewątpliwie spektakularnego wydarzenia na ulicy Piotrkowskiej gromadziły się niewyobrażalne tłumy. Chyba żadna impreza masowa w Łodzi nie mogła dotąd poszczycić się tak imponującym sukcesem frekwencyjnym. Całe rodziny,

grupy znajomych, mali i duzi, starsi i młodzi, zaintrygowani turyści i stali bywalcy miasta weekendową porą – wszyscy z niekłamanym podziwem gromadzili się w centrum Łodzi, obowiązkowo z aparatami lub kamerami. Topografia festiwalu obejmowała odcinek ulicy Piotrkowskiej od ul. Moniuszki do Pasażu Schillera włącznie. Miłą niespodzianką okazało się wyróżnienie ul. Moniuszki i placu przy budynku YMCA znakomitymi świetlnymi instalacjami – imponującym kreatywnym mappingiem 3D na willi Meyera oraz elektryzującą instalacją amerykańskiej artystki Tiffany Carbonneau prezentującej z pozoru tylko nieruchomą pocztówkę z wielkiego miasta. Spore wrażenie robił także pokaz site-specific *Ghost House* Tomasza Matuszaka, wyświetlony na niepozornej ścianie naprzeciwko YMCA. Projekcja autora wprawiła ten budynek w optyczne drżenie dzięki nad wyraz dynamicznym wizualnym sekwencjom, dlatego obiekt ten stał się punktem zamrażającym wzrok na długie minuty. Natomiast frontowa elewacja pałacu przy ul. Piotrkowskiej 77, zaczarowana mappingiem architektonicznym, wytrącała przechodniów z codziennej rutyny i zapraszała niezdecydowanych do wzięcia udziału w świetlnym widowisku.

Na uznanie zasługuje decyzja o wyróżnieniu zabytkowej kamienicy Siemensa, niegdyś ruchliwej siedziby wielu łódzkich redakcji prasowych, ale od lat niszczejącej w oczekiwaniu na rozpoczęcie inwestycji developera. Pozostaje mieć nadzieję, że subtelna świetlna prowokacja przedstawiona na frontonie tego reprezentacyjnego budynku zaowocuje podjęciem konkretnych działań, aby wreszcie ruszyły tu prace. Ciekawą formą reklamy była akcja zorganizowana na elewacji siedziby tygodnika „Angora", jednego ze sponsorów Festiwalu. W nawiązaniu do ikonicznej już rzeźby dostojnie przechadzającego się po fasadzie prostopadle do chodnika zaczytanego w gazecie mężczyzny punktowo oświetleni, podwieszeni na linach alpiniści wykonywali podobny spacer, trzymając w dłoniach rozłożone egzemplarze „Angory".

LMF to nie tylko iluminacje i atrakcje wizualne podziwiane w przestrzeni publicznej. Organizatorzy zapewnili także liczne wydarzenia towarzyszące, z których wyróżnić należy niezwykły, bo zagrany w witrynie kamienicy pod Gutenbergiem, w której mieści się siedziba Fundacji, koncert wybitnego jazzmana Michała Urbaniaka oraz wystawę w Galerii Imaginarium Channels/Kanały prezentującą pracę Tiffany Carbonneau oraz interaktywną instalację Dimitry'a Strakovsky'ego. Tradycją Festiwalu zdaje się także sympozjum gromadzące ekspertów od rozmaitych sposobów wykorzystywania światła w kulturze i sztuce.

Dobra sztuka masowa, jaką bez wątpienia są działania realizowane w ramach Festiwalu Kinetycznej Sztuki Światła, ma ten walor, że jest przystępna dla dużej grupy niewyrobionych odbiorców. Nie warto więc spierać się, czy sztuka masowa jest zjawiskiem godnym potępienia, skoro bez względu na jej końcowy artystyczny cel zasługuje na pogłębioną uwagę. Warto także opierać się na postmodernistycznej zasadzie podwójnego kodowania, uznającej podział na elitarność i popularność za nazbyt skrótowy i nieprecyzyjny. Bo przecież niewątpliwą wartością jest jednoczesne kie-

II Festiwal Kinetycznej Sztuki Światła

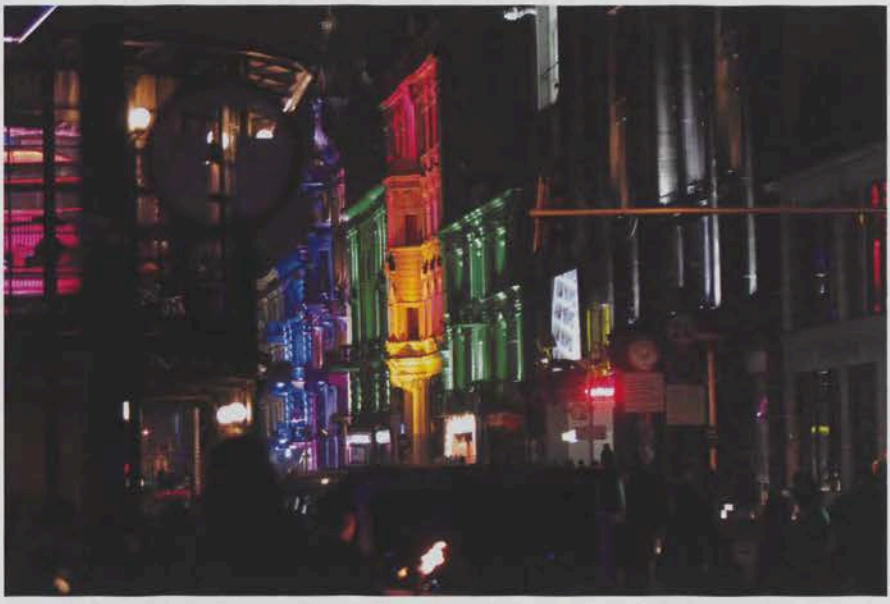

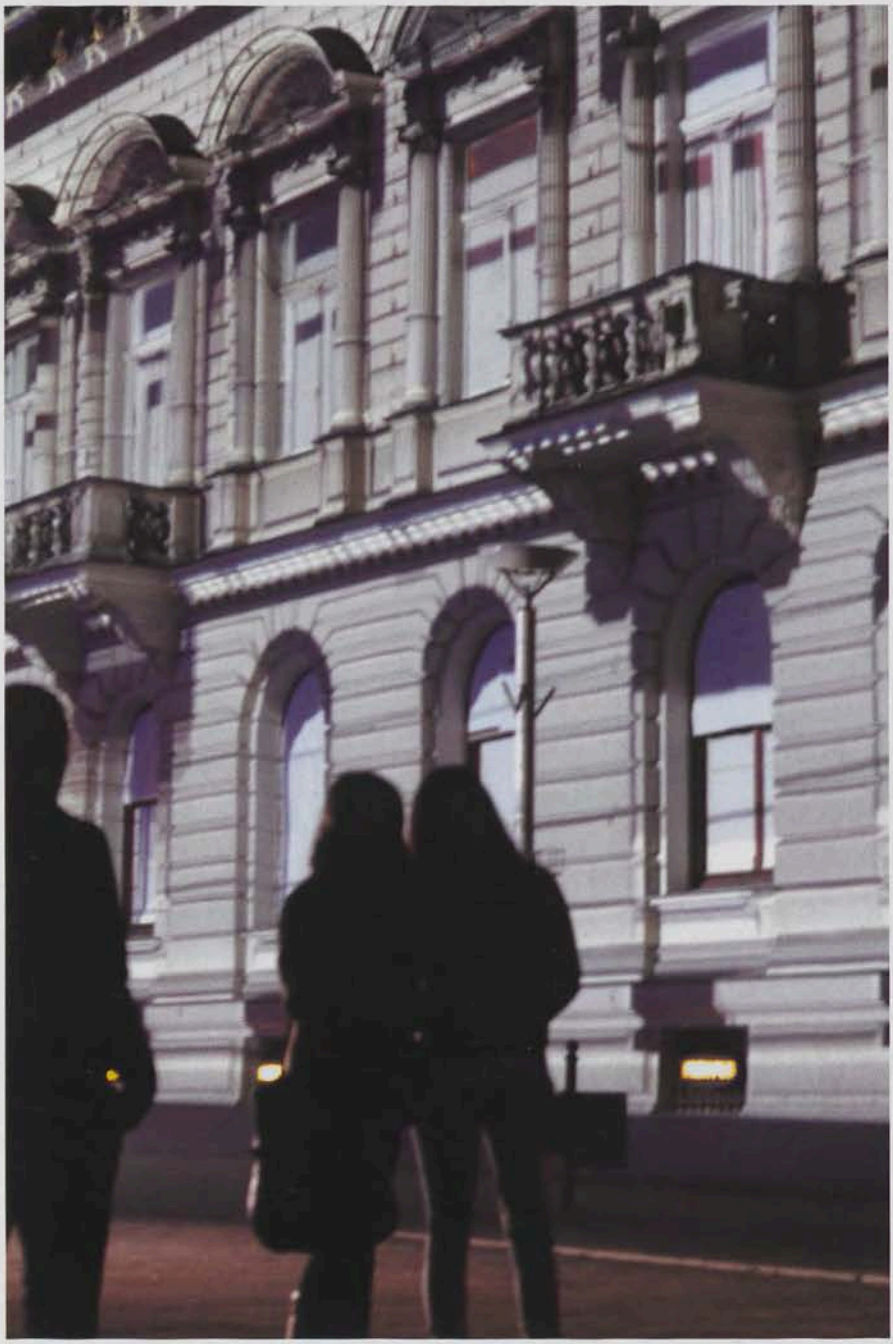

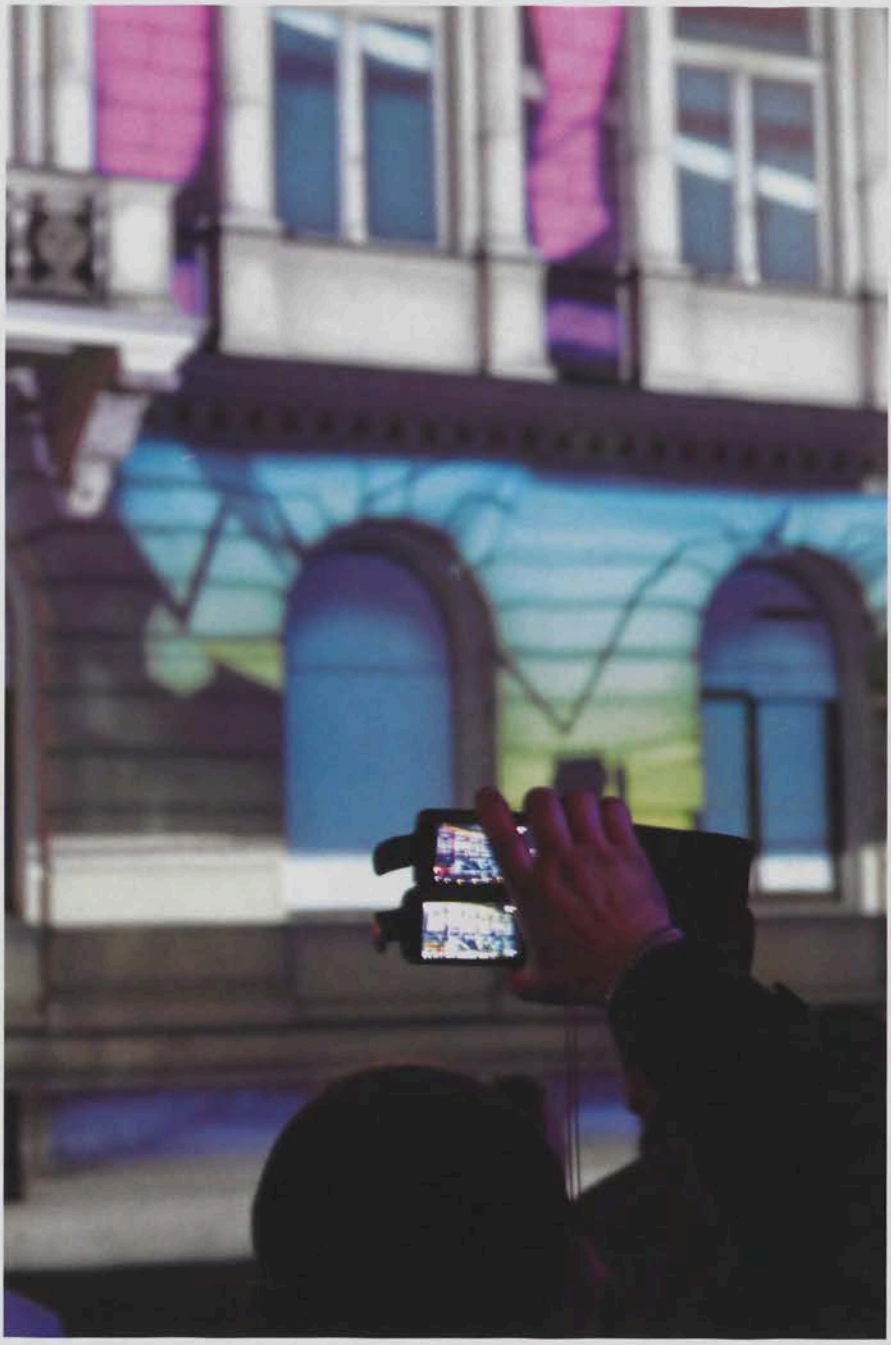

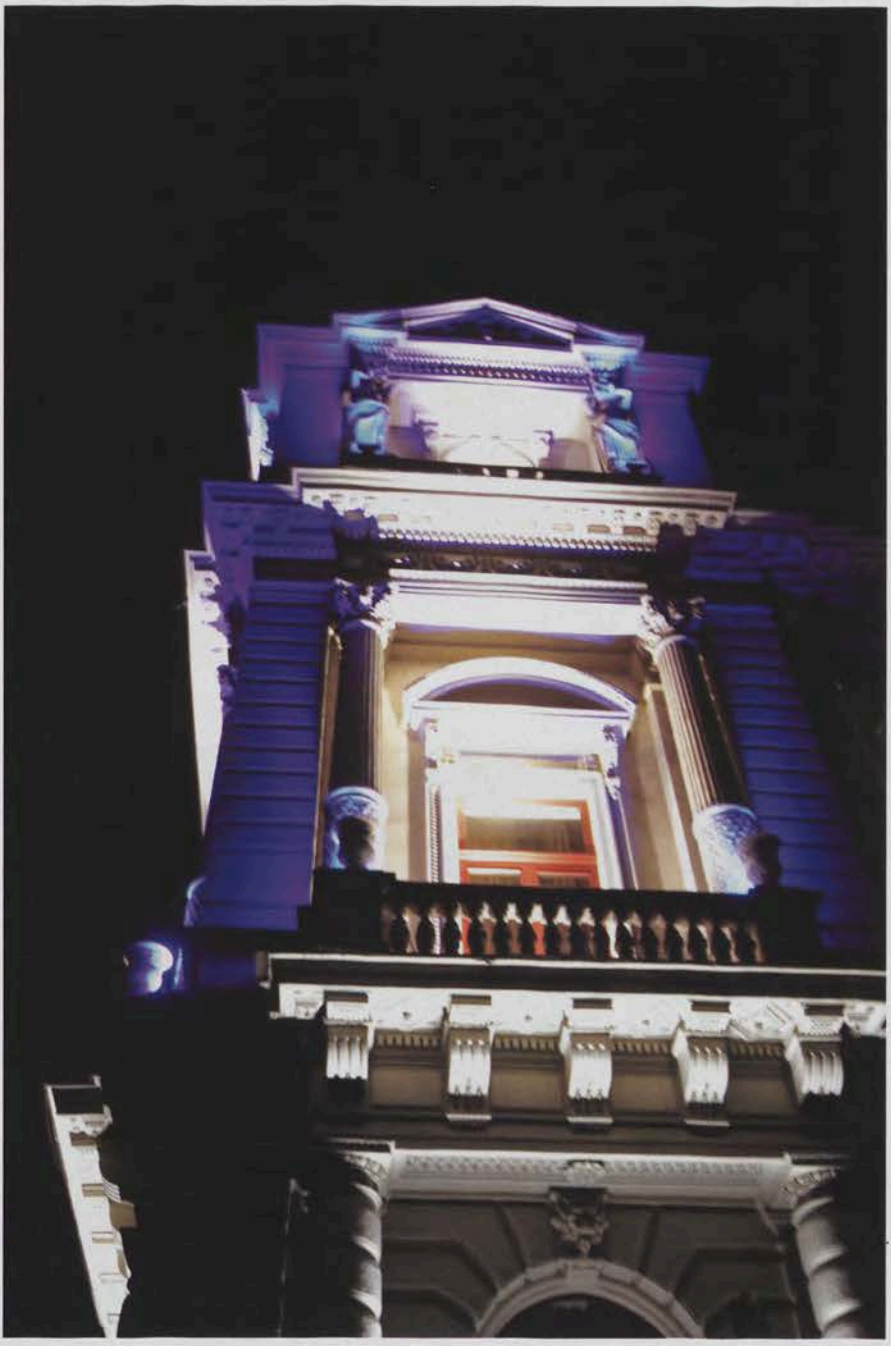

Grolsch
Grolsch

Fot. archiwum UMŁ

rowanie przystępnych komunikatów do każdego przypadkowego odbiorcy z zachowaniem szlachetnej treści dla bardziej dociekliwych i ambitnych widzów.

Wydaje się, że warunkiem powodzenia tak pomyślanej imprezy jest stanowcze i bardzo mądre zarządzanie, o konsekwentnej linii profilowej i solidnych założeniach konsultowanych z ekspertami. Warto ponadto dołożyć starań, by coś po każdym festiwalu pozostało, coś oprócz tysiąca zdjęć i filmików z migoczącymi światłami. Niestety, w tym roku nie zaświeciły pochodzące z zeszłorocznej edycji znakomite neony. Choćby inspirowana powidokiem Władysława Strzemińskiego *Rudowłosa* Agnieszki Nataszy Splewińskiej w Pasażu Schillera lub *Tęcza* Agnieszki Chojnackiej przy ul. Traugutta. Widok wyłączonej instalacji w Pasażu podczas otwarcia imprezy był gorzkim akcentem zwiastującym rychłe nadejście mroku po świetlanych dniach trwania Festiwalu, a festynowy pokaz laserów nie nastrajał zmysłów na zbyt wygórowane wrażenia.

Szczęśliwie impreza udała się i tym samym podwyższyła poprzeczkę Fundacji Lux Pro Monumentis. Łodzianie powtórnie przekonali się, jak ich miasto może rozbłysnąć i zamienić się w zupełnie inną przestrzeń. Zrobiono już dużo, ale zawsze można uczynić więcej. Trzeba więc mieć nadzieję, że tempo tej wizualnej kawalkady pomysłów nie ustanie. Na fali sukcesu można chociażby pomyśleć o rozbudzeniu wyobraźni rzeźbami świetlnymi, o zbudowaniu świetlnych fantomów takich miejsc, których już w Łodzi nie ma, bo zniknęły dawno temu. Warto może symbolicznie odbudować niektore ślady przeszłości duchami projekcji, iluminacji czy laserowymi strumieniami. Dobrym pomysłem byłoby także przemyślenie prezentacji prac zapraszanych artystów, tak by nie pełniły roli drugorzędnego dodatku do świetlnej feerii, ale stanowiły szlachetne ukoronowanie imprezy. Kto wie, może Olafur Eliasson zrobiłby kiedyś coś dla Łodzi?

Alicja Rekść
– krytyczka i historyczka sztuki

Józefa Rotha podarunek dla Łodzi

Człowiek z hotelu Savoy

W Polsce miejska mitologia literacka jest, za wyjątkiem Warszawy, zjawiskiem dość świeżej daty. Aż do drugiej wojny światowej literatura polska, generalnie rzecz biorąc, odnosiła się do miast nieufnie. Dziewiętnastowieczna Łódź, upowszechniona jako „ziemia obiecana" dzięki duetowi Reymont-Wajda, jawi się tu właściwie jako chlubny wyjątek. Jednak już od dwóch pokoleń miejska przestrzeń, wyobraźnia, folklor, styl życia i miejska tożsamość stały się kluczowym elementem literackich (i artystycznych w ogóle) krajobrazów, pożywką i wyzwaniem dla twórców. I na odwrót: współczesne miasta zaspokajają swój głód tożsamości literacko-artystycznymi portretami, domagają się wierszy, piosenek i seriali na swój temat. Ponieważ aktualny miejski krajobraz zdominowały trudne do odróżnienia lub wprost identyczne galerie handlowe, parkingi, wieżowce, trasy szybkiego ruchu itp., apetyt na niepowtarzalną tożsamość miast coraz częściej zwraca się ku przeszłości, z jej kulturową, etniczną, wyznaniową i językową różnorodnością. W tym kontekście trudno nie zauważyć, że Łódź jako artystyczno-literacka pożywka dała się w ostatnim dwudziestoleciu zdystansować konkurencji – może dlatego, że nasze miasto pogodziło się już, że nie gra z Warszawą, Krakowem, Wrocławiem i Poznaniem w jednej lidze, i z wdzięcznością przyjmuje filmowe propozycje zagrania stolicy z lat okupacji.

Tymczasem przynajmniej w dziedzinie literatury Łódź ma wciąż asa w rękawie: jest nim *Hotel Savoy* Józefa Rotha – autora, który pośmiertnie stał się jednym z najsłynniejszych niemieckojęzycznych pisarzy XX wieku, regularnie filmowanym, wznawianym i analizowanym. Rzecz jasna fakt, że nazwa miasta nie pada w powieści ani razu, a miłośnicy Rotha w szerokim świecie zazwyczaj nie mają pojęcia, gdzie się ona rozgrywa, jest tu pewnym wyzwaniem. Inscenizacja Teatru Nowego we wnętrzach autentycznego hotelu Savoy, w pokojach, które zamieszkują wciąż duchy jej powieściowych mieszkańców, podejmuje to wyzwanie – i chwała jej za to. Jeśli jednak pomyśleć o tablicy pamiątkowej na ścianie domu przy warszawskim Krakowskim Przedmieściu, w której miał mieszkać Ignacy Rzecki, o wycieczkach po petersburskiej kamienicy, w której miał majaczyć Raskolnikow, po wileńskiej celi Kon-

rada lub śladami Leopolda Blooma po Dublinie, wydaje się oczywiste, że wiele pozostaje do zrobienia. Biorąc zaś pod uwagę, że Józef Roth był też autorem *Legendy o św. Pijaku* i skończonym alkoholikiem, może otworzyć się świetlana perspektywa na wzór *Hemingway Bar*.

Z czysto łódzkiego punktu widzenia kłopot z Józefem Rothem, być może największym przyjacielem Polski i Polaków pośród niepolskich pisarzy, polega na tym, że naprawdę kojarzy się go z dwoma tylko miejscami: Wiedniem oraz wschodnio-galicyjskim miasteczkiem Brody. W Brodach (lub w jego pobliżu) się urodził i mieszkał aż do matury w 1913 roku. Uwiecznił je też w licznych powieściach rozgrywających się w Galicji przed pierwszą wojną światową. Portrety te mówią wiele o Rothcie jako pisarzu: tak jak pisząc o Łodzi, nie uznał za stosowne wymienić jej z nazwy, tak też niełatwo jest domyślić się, że literackie Brody są jego miastem rodzinnym. Roth był jednym z najbardziej melancholijnych i nostalgicznych pisarzy XX wieku; nie był jednak mistykiem skłonnym dostrzegać w rodzinnym mieście coś więcej niż to, czym ono rzeczywiście było: prowincjonalną dziurą, do której pociąg osobowy dojeżdżał dwa razy dziennie, zamieszkaną przez przemytników, żołnierzy i ortodoksyjnych Żydów. W całej swojej twórczości rozczulał się tylko nad dwiema rzeczami; pierwszą z nich była ludzka bezbronność wobec losu, bezbronność równie dotkliwa i przejmująca dla prowincjonalnego starosty, wędrownego handlarza, niewiernej żony urzędnika kolejowego, pijaka i striptizerki; drugą zaś monarchia habsburska. Po upadku monarchii w 1918 roku, dzięki czemu Polska i kilka innych państw zyskało niepodległość, Roth uznał, że „nie miał innej ojczyzny" i nie zamierza szukać sobie nowej. Zarazem wierzył,

str. 2 Józefa Rotha podarunek dla Łodzi
Adam Kożuchowski

że Austro-Węgry, ze swoim tradycjonalizmem, były jego metafizycznym i politycznym parasolem, chroniącym swych mieszkańców przed absurdalnością istnienia, ostoją tradycyjnego ładu w świecie pogrążającym się w krwawym szaleństwie.

Miał ku temu dobre powody: był polskim Żydem, który asymilował się do niemieckiej kultury poprzez literaturę. Kosmopolityczna monarchia była jedynym państwem, które uznawało go za swojego. „Kochałem tę ojczyznę – pisał w 1932 roku – która pozwalała mi być jednocześnie patriotą i obywatelem pośród austriackich ludów. Kochałem cnoty i zalety tej ojczyzny i kocham jej błędy i słabości jeszcze dziś, choć już dawno umarła. A miała tych słabości wiele. Odpokutowała za nie swoim zgonem". *Marsz Radetzky'ego*, poświęcone agonii Austro-Węgier arcydzieło Rotha, do 1939 roku przetłumaczone zostało na 14 języków.

Po wojnie Roth mieszkał w Wiedniu, gdzie poznał swoją żonę Friederike (Friedl), z którą wyemigrował do Berlina. W parę lat później Friederike zachorowała psychicznie; Roth już na zawsze stał się smutnym człowiekiem, zaglądającym coraz częściej do kieliszka. Jako reporter niemieckich gazet stale podróżował, w tym wielokrotnie do Polski. Miał tu dwoje oddanych przyjaciół: Józefa Wittlina, kolegę ze studiów w Wiedniu i tłumacza swych książek, oraz Helenę Szajnochę, córkę wybitnego historyka, która poniekąd mu matkowała od czasu krótkiego pobytu we Lwowie na pierwszym roku studiów w 1913 roku. Niemcy opuścił na dzień przed objęciem władzy przez Hitlera. Od samego początku był pośród niemieckich emigrantów jednym z najzaciętszych przeciwników nazizmu, który nazywał po prostu „rządami diabła". Zerwał wszelkie kontakty z ludźmi, którzy pozostali w Niemczech, wściekał się, gdy emigracyj-

ne pisma recenzowały pisarzy tolerowanych przez reżim. Nie mógł dłużej płacić za luksusowe sanatorium dla żony, którą przeniesiono do szpitala dla psychicznie chorych. W 1940 roku pacjenci tej placówki zostali zagazowani przez nazistowskich lekarzy. Roth miał jeszcze co najmniej dwa romanse, w tym z Andreą Manga Bell, córką Kubańczyka i byłą żoną „murzyńskiego księcia" z Kamerunu, byłej niemieckiej kolonii. Pisał w kawiarniach, na nieustannym rauszu. Pił nawet w trakcie wygłaszania publicznych odczytów. Mimo to (lub dzięki temu) od 1934 do 1939 roku napisał dziewięć powieści. Mieszkał przeważnie w Paryżu, w hotelu Foyot. Na rok przed jego śmiercią hotel ten, ostatnią namiastkę jakiegokolwiek domu pisarza, zburzono. Swoją ostatnią książkę, *Legendę o św. Pijaku*, polskim kloszardzie w Paryżu, ukończył w maju 1939 roku. Kończy się ona słowami: „Daj, Panie, nam wszystkim, nam pijakom, tak lekką i piękną śmierć".

Na tle całości dorobku literackiego Rotha *Hotel Savoy*, będący jego powieściowym debiutem, wyróżniają dwa podstawowe fakty. Po pierwsze, powieść powstała, zanim jeszcze autor stał się nieszczęśliwym, pogrążonym w melancholii i zniszczonym przez alkohol człowiekiem. Trudno byłoby nazwać ją książką optymistyczną – bądź co bądź, opisuje ona ludzi znajdujących się w niewesołym położeniu, a dzieje się w trudnych czasach – niemniej jednak nie przenika jej elegijny ton późniejszych utworów pisarza. Jej głównym bohaterem jest młody człowiek, co prawda po przejściach i dość rozczarowany do świata, ale wciąż mający życie przed sobą. Dzieje się w okresie zamętu i biedy tuż po zakończeniu pierwszej wojny światowej – czyli tuż po śmierci starego świata, który Roth będzie później opłakiwał – ale z chaosu wyłania się właśnie nowe, co prawda wciąż niepewne i groźne, lecz mimo to budzące nadzieję. Po drugie, *Hotel Savoy* ukazywał się w odcinkach we „Frankfurter Zeitung" zimą 1924 roku. Nadało jej to specyficzny, regularny, a zarazem mocny rytm; wiele rozdziałów powieści to niemal osobne epizody, połączone tylko scenerią i osobami bohaterów (wolno przypuszczać, że ta gazetowa struktura utworu świetnie nadawałaby się na audiobooka).

Można na *Hotel Savoy* patrzeć jak na powieść egzystencjalną, a można jak na wariację na temat ulubionego gatunku niemieckiej literatury realistycznej: *Bildungsroman*, czyli powieść o dojrzewaniu. Zarazem ujawnia się w niej charakterystyczna mitomania autora. Całe swoje dorosłe życie Roth konsekwentnie mataczył w dwóch kwestiach. Pierwszą była postać ojca, którego nie znał i na temat którego notorycznie zmyślał rozmaite fakty. Drugą były jego losy wojenne. Gdy wybuchła pierwsza wojna Roth, student II roku, był jednym z niewielu, którzy nie dali się porwać szowinistycznej euforii – był konsekwentnym pacyfistą i internacjonalistą. Jednak wiosną 1916 roku zgłosił się wraz z Józefem Wittlinem do wojska i – budząc tym zdumienie komisji poborowej i lekarzy – obaj nalegali, aby mimo słabej kondycji dostać przydział frontowy. Jak przyznawał później, na ich decyzji zaważyła coraz bardziej wroga wobec „dekowników" opinia otoczenia, a zwłaszcza uniwersyteckich koleżanek, ogarniętych

patriotycznym entuzjazmem i uwielbieniem dla mężczyzn w mundurach, a już szczególnie rannych. Wojenny romantyzm przylgnął do Rotha, który po wojnie utrzymywał, że dosłużył się stopnia oficerskiego, a nawet że był w rosyjskiej niewoli, choć zapewne w istocie nigdy nie walczył z karabinem w ręku. Główny bohater i narrator *Hotelu Savoy*, powracający z rosyjskiej niewoli (z Syberii!) Gabriel Dan, zdaje się projekcją tych romantycznych wyobrażeń Rotha o przeżyciach wojennych.

Gabriel Dan należy do owej plejady literackich bohaterów, których wojna, postrzegana jako krwawy nonsens, ukształtowała, zabierając im młodość. Biorąc po uwagę datę publikacji, można powiedzieć, że Dan wręcz poprzedza bohaterów Hemingwaya, Remarque'a czy w końcu Maćka Chełmickiego z *Popiołu i diamentu*. Wciąż młody, ale już wypalony, pozbawiony złudzeń i przede wszystkim umiejętności radzenia sobie w pokojowym świecie, z niechęcią odnoszący się do swego w miarę dobrego pochodzenia i wykształcenia. Najsilniejszym uczuciem, jakiego doświadcza, jest fascynacja witalnością, optymizmem i idealizmem frontowego towarzysza, który brak ogłady i wykształcenia łączy z wiarą w rewolucję. W istocie przekonanie o niesprawiedliwości panujących stosunków społecznych i sympatia wobec mglistych doniesień z bolszewickiej Rosji to jedyne społeczno-polityczne idee obecne w *Hotelu Savoy*. Mamy tu godnych współczucia biedaków, godnych pogardy burżujów, ale linia podziału nie jest prosta ani jednoznaczna. Z punktu widzenia Dana również w ludziach interesu jest coś fascynującego, robotnicy natomiast potrafią też po prostu przepijać swoje skromne oszczędności i nie garną się bynajmniej do pracy.

Taki społeczny pejzaż nie dziwi, skoro akcja powieści dzieje się w „mieście, które Bóg pokarał przemysłem". Łódź z *Hotelu Savoy* to pozbawione na-

zwy wschodnioeuropejskie miasto, oglądane oczami przejezdnych, którzy utkwili w tytułowym hotelu. Miasto jest z jednej strony brudne, prowincjonalne i śmierdzące, z drugiej zaś w oczach powracającego z frontu wschodniego narratora wydaje się przedsionkiem Zachodu. Savoy oferuje cywilizacyjne luksusy z toaletą i windą włącznie, do miasta przyjeżdżają robić interesy ludzie z Berlina, można się też tu dogadać po niemiecku. Słowem, jest to miasto położone na granicy cywilizacji i barbarzyńskiego Wschodu, odpychające lub fascynujące, zależy, z której strony się przyjeżdża. Ową pograniczność podkreśla też perspektywa narratora i jego współtowarzyszy, dla których miasto jest nie tylko przystankiem między dwoma światami, ale i między dwiema epokami; zatrzymują się w nim przecież po wieloletniej wojennej tułaczce.

W 1928 roku Roth zanotował: „Znam Łódź jeszcze z czasów wojny. Mogłem je wtedy obejrzeć bardzo pobieżnie, ale przypominam sobie, że w stopniu silniejszym niż inne miasta Wschodu czasu wojny zachowało ono swoją atmosferę. Było ono od dawna, już właściwie od lat dwudziestych XIX wieku miastem etapowym, etapem merkantylizmu i przemysłu tekstylnego, terenem walki owych zdobywców, których celem jest nie terytorium, lecz po prostu rynek światowy". I w innym tonie dodawał: „Wielokilometrowa ulica Piotrkowska jest dobrze oświetlona i zabrukowana na sposób europejski. Nieprawdopodobnie eleganckie kobiety. Niektóre wyglądają tak, jakby wprost z paryskich kawiarni przyleciały tutaj samolotem i rozsypano je tajemniczo w pejzaż łódzkiego wieczoru". Widać tu charakterystyczną opozycję znane – nieznane, cywilizowane – dzikie, która przenika też *Hotel Savoy*.

Miasto-etap jest jednak tylko tłem powieści. Najważniejszym jej nieożywionym bohaterem jest sam hotel, który pełni w niej funkcję wieloznacznej metafory. Bohaterowie powieści żyją nadzieją, że wkrótce się z niego wyprowadzą, mają iluzję, że prawdziwe życie jest gdzie indziej, a hotel gwarantuje im anonimowość. Jednak Savoy obdarza ich swoistą tożsamością, klasyfikuje według własnych reguł. Jak to wówczas było w hotelach praktykowane, jego siedem pięter ściśle odpowiada społecznej hierarchii lokatorów. Pierwsze trzy piętra zajmują bogacze, piętro siódme zamieszkują ludzie marginesu, nieustannie zagrożeni eksmisją na bruk. Bogacze nigdy nie fatygują się na górę, biedacy codziennie przemykają się przez dolne piętra, konfrontując swoje nędzne położenie z komfortową stabilizacją i luksusami lepiej sytuowanych. Co więcej, głównym zajęciem mieszkańców siódmego i szóstego piętra jest dostarczanie rozrywki zamożniejszym lokatorom: mieszkają tam aktorzy kabaretowi, tancerki i striptizerki. Łącząca poszczególne piętra winda, z punktu widzenia narratora urządzenie nowoczesne do granic abstrakcji, przypomina wehikuł losu – zwłaszcza że obsługujący ją *liftboy* to stary człowiek, znający na wylot sekrety mieszkańców hotelu, który w końcu okazuje się jego tajemniczym właścicielem.

Józef Roth spędził w hotelach większość dorosłego życia. Tylko ten jeden łódzki unieśmiertelnił. Ponieważ Savoy wciąż stoi tam, gdzie stał, gdy zatrzymał się w nim narrator powieści, choć z pewnością nie jest już tym samym hotelem na

mapie miasta, stworzony przez Teatr Nowy spektakl należy uznać za adaptację poniekąd oryginalniejszą niż sam literacki oryginał. Jej widzowie, podążający za aktorami Nowego po hotelowych pokojach, korytarzach i poddaszach, zapewne nie do końca zdają sobie z tego sprawę (inna rzecz, że nie znając powieści, przedstawienia właściwie nie sposób zrozumieć). Może jednak nie powinni przywiązywać nadmiernej wagi do faktu, że powieściowy Savoy to hotel, który można odwiedzić po wykupieniu biletu na spektakl – w ten sposób mogłoby umknąć ich uwadze, że być może oni sami w pewnym sensie mieszkają w Savoyu.

Adam Kożuchowski
– publicysta, historyk, pracownik Instytutu Historii PAN

Hotel Savoy – instalacja teatralna według powieści Józefa Rotha.
Reżyseria, przekład, adaptacja: Michał Zadara.
Współpraca reżyserska: Łukasz Korczak.
Dramaturgia, badania historyczne: Daniel Przastek.
Scenografia: Robert Rumes.
Kostiumy: Henrietta Müller, Julia Kosmynka.

Fot. Krzysztof Bieleński – materiały prasowe Teatru Nowego im. Kazimierza Dejmka w Łodzi

Trzy spojrzenia na dziedzictwo łódzkiej awangardy

Duch konstruktywizmu

W ramach tegorocznego Festiwalu Łódź Czterech Kultur, który odbywał się pod hasłem GENERACJE, zostały zaprezentowane trzy wystawy sztuk plastycznych odwołujące się do dziedzictwa konstruktywizmu. Ten nurt w sztuce awangardowej w Łodzi budzi zainteresowanie głównie ze względu na osobę Władysława Strzemińskiego – jednego z najważniejszych europejskich przedstawicieli konstruktywizmu, twórcy radykalnego nurtu unizmu, artysty związanego z Łodzią. Strzemiński jawi się także jako jeden z założycieli Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, która w 1996 roku stała się dzisiejszą Akademią Sztuk Pięknych. W pierwszych latach istnienia tej uczelni plastycznej osobowość artysty, jego charyzma i wyraziste poglądy kształtowały jej oblicze. Dla wielu ważnych łódzkich artystów, jak Stanisław Fijałkowski, Stefan Krygier, Antoni Starczewski i Strzemiński, długo zostawał mistrzem. Zdaje się zresztą, że po brutalnym wyrzuceniu go z uczelni w 1950 roku, co przyspieszyło jego śmierć dwa lata później, był dla łódzkich artystów legendą i punktem odniesienia. Dlatego temat tegorocznego festiwalu – GENERACJE trafnie diagnozuje międzypokoleniowe napięcia związane z dziedzictwem tego artysty i reprezentowanym przez niego nurtem historycznej awangardy – konstruktywizmem.

Środowisko artystyczne nie jest jedynym, dla którego Strzemiński stał się symbolem mistrza i patrona. Także działalność dyrekcji i zespołu kuratorskiego Muzeum Sztuki pozostawała pod znaczącym wpływem tego inicjatora i współtwórcy Międzynarodowej Kolekcji Sztuki Grupy „a.r." – zbioru obrazów europejskich artystów awangardowych, którego przekazanie do łódzkiej placówki stanowiło gest założycielski pierwszego w kraju i jednego z pierwszych w Europie muzeum gromadzącego sztukę współczesną. Postać Władysława Strzemińskiego, chociaż mniej spopularyzowana wśród mieszkańców miasta niż Julian Tuwim czy Władysław Reymont, stała się jednak ważnym odniesieniem dla kilku generacji łodzian związanych ze sztukami plastycznymi. Wraz z pamięcią o tym artyście i teoretyku punktem odniesienia stał się także konstruktywizm, jeden z nurtów Wielkiej Awangardy, z którym działalność Strzemińskiego na pewnych etapach sie łączy.

Sztuka konstruktywistyczna rozwijała się w sensie geograficznym dwutorowo – w Rosji, istotna już na początku drugiej dekady XX wieku, nabrała rozpędu po rewolucji, w Holandii natomiast rozwijała się głównie w trzeciej dekadzie XX wieku. Malarstwo konstruktywistyczne to abstrakcja geometryczna poddana ścisłej dyscyplinie kompozycyjnej. W Rosji porewolucyjnej konstruktywizm był krótko narzędziem kształtowania nowej rzeczywistości, stanowił inspirację dla innych dziedzin sztuki i produkcji, jego zasady wpływały na kompozycje druków ulotnych i plakatowej propagandy. W Holandii natomiast neoplastycyzm grupy De Stijl stanowił kontynuację radykalnego sprzeciwu wobec malarskiej tradycji, a w intencji niektórych jego przedstawicieli wyrażał dążenie do nowoczesnej harmonii formy i koloru. W twórczości Strzemińskiego konstruktywizm znajdował wyraz w malarstwie, ale także w licznych dziedzinach projektowania: typografii, sposobach aranżacji tekstu, architekturze, wnętrzarstwie, meblach, konfekcji, a nawet projektach urbanistycznych.

Wystawa *Dekonstrukcja utopii*, fot. archiwum Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi

Trzy wystawy prezentowane w ramach festiwalu Łódź Czterech Kultur były zorganizowane przez osoby blisko związane z miastem – Józefa Robakowskiego, artystę i profesora łódzkiej Filmówki, oraz dwóch twórców i pedagogów związanych z ASP – Wojciecha Ledera i Artura Chrzanowskiego. Należąc do różnych pokoleń, skompletowali prace dobrane wedle różnych kryteriów, nawiązując do dziedzictwa konstruktywizmu, ale wychodząc z odmiennych pozycji.

Front Wschodni

Józef Robakowski był kuratorem wystawy *Front Wschodni* prezentowanej w Atlasie Sztuki. Jej zamierzeniem było, jak deklaruje artysta, „odnalezienie praźródła lokalnej siły, energii intelektualnej, która spowodowała, że właśnie w tym mieście powstało wyśmienite, jedyne w swoim rodzaju, Muzeum Sztuki". Refleksja Robakowskiego koncentrowała się na konstruktywizmie traktowanym jako moment założycielski Łodzi artystycznej, zmierzając w przeszłość tak, aby przywołać atmosferę miasta z przełomu lat 20. i 30. XX wieku. Miasta, które z pogardzanego, nazywanego niekulturalnym, miasta pozbawionego historii i pozytywnie waloryzowanej tożsamości, stało się istotnym punktem na mapie sztuki świata. Ten duch czasu i miejsca wiąże się niewątpliwie z działalnością Władysława Strzemińskiego, Katarzyny Kobro i grupy „a.r.". Robakowski użył prostego i czytelnego zabiegu, przywołując sztukę tamtego okresu – pełną rozmachu, polotu i niemal utopijnych ambicji przemiany świata. Zdaniem pomysłodawcy wystawy szczególnie istotne jest to dziś, kiedy polska krytyka sztuki znajduje się w zapaści, a „rola miasta Łodzi jako ośrodka kultury w obliczu innych rozwijających się miast szalenie słabnie". *Front Wschodni* stał się więc w zamierzeniu Robakowskiego linią walki o nową sztukę, której jakość i energia byłyby na miarę najlepszych dokonań artystycznych, jakie miały miejsce w Łodzi.

Dla zrealizowania tych celów posłużył się różnorodnymi środkami. Wystawił prace konstruktywistów z międzywojnia, zarówno polskich (np. Karola Hillera), jak i rosyjskich (fotografie Aleksandra Rodczenki), konfrontując je z dokonaniami Warsztatu Formy Filmowej, ważnej neoawangardowej łódzkiej inicjatywy z lat 70., oraz współczesnych artystów wizualnych związanych z Łodzią. Uzupełnieniem prezentacji prac plastycznych – obrazów, grafik, fotografii i rzeźb była projekcja filmów. Dwudzielna struktura Atlasu Sztuki została wykorzystana do wykreowania dwóch przestrzeni. W sali ruchomego obrazu Robakowski zaproponował eksperymentalne obrazy filmowe środowiska Warsztatu oraz ich prekursora Dżigi Wiertowa, klasyka kina konstruktywistycznego. Nie zapomniał wszakże o swojej specjalności – filmach dokumentalnych i popularyzatorskich o sztuce. Tych związanych z Łodzią, więc o Katarzynie Kobro i Władysławie Strzemińskim, ale nie tylko, bo również o Witkacym i Wacławie Szpakowskim.

W tej eklektycznej strategii wystawienniczej widać determinację kuratora i artysty w dążeniu do wskrzeszenia ducha odważnej twórczości i „energii

sztuki". Wyraźna niejednorodność tej wystawy i związany z nią efekt estetycznych dysonansów wydaje się nieuniknionym skutkiem ubocznym tak ambitnego założenia. Niewątpliwym atutem *Frontu Wschodniego* była jednak wysoka jakość prac, pochodzących często z prywatnych kolekcji. Akcentowanie prywatnej pasji gromadzenia sztuki i organizowania jej w zbiory wedle autorskich kryteriów wydaje się wyrazem tego, czego Robakowskiemu brakuje w polskim artystycznym krajobrazie instytucjonalnym – spontaniczności, oryginalności, energii i uporu. Prace, które warto było obejrzeć w Atlasie Sztuki, to chociażby doskonałe, a wcale nieczęsto wystawiane rysunki Juliana Lewina i grafiki i obrazy Samuela Szczekacza – łódzkich Żydów, młodzieńczych jeszcze uczniów Strzemińskiego. Widać w nich wypracowaną kompozycję i wyraziste, bezpośrednie nawiązania do unizmu. Niewątpliwą zasługą kuratora jest prezentacja starych obrazów Konstantego Mackiewicza, artysty, który podobnie jak małżeństwo Strzemińskich był członkiem środowiska twórców awangardowych w Rosji porewolu-

Wystawa *Dekonstrukcja utopii*, fot. archiwum Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi

cyjnej. Jego twórczość, niezwykle radykalna w latach 20., stawała się z czasem, zgodnie z trendami powrotu do porządku, coraz bardziej stonowana i konserwatywna. Wreszcie interesujący okazał się dobór prac artystów współcześnie tworzących. Nawiązują one w sposób wyraźny, chociaż nie na zasadzie kalek, lecz współczesnej repliki, do prac konstruktywistycznych. Szczególnie interesująco zaprezentowała się kompozycja przestrzenna Anny Orlikowskiej, formą nawiązująca do prac Kobro, ale ideowo stanowiąca próbę przestrzennego odtworzenia piwnicy bohatera głośnej sprawy kryminalnej. Dla wywołania społecznej reakcji w miejsce proporcji i doskonałego uporządkowania przestrzeni zgodnie z rytmami poruszania się jej użytkowników młoda artystka podstawiła konfigurację miejsca przemocy.

Dekonstrukcja utopii

Drugą z wystaw była *Dekonstrukcja utopii* prezentowana w Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi. Jej pomysłodawca, malarz Wojciech Leder, profesor łódzkiej Akademii Sztuk Pięknych, przyjął strategię kuratorską w taki sposób, aby ukazać przykłady wyłomów w konstruktywizmie, wskazać miejsca, gdzie artysta „realizował odwrotność własnych ideowych przesłanek". We współczesnej produkcji artystycznej poszukuje on także przykładów inspiracji konstruktywizmem, która obraca się przeciwko pierwotnej idei. Ten intrygujący pomysł został zbudowany w oparciu o dość oryginalnie dobrane prace. Między innymi umieszczono na wystawie nieznany autoportret Strzemińskiego. Ta niewielkich rozmiarów praca na papierze, właściwie nieco bardziej dopracowany szkic, ukazuje artystę odwracającego się przez lewe ramię na tle pejzażu miejskiego. Nakreślona przez artystę przestrzeń wydaje się raczej zaniedbana. Ten rysunek oraz reprodukcja fotografii projektu przedszkola funkcjonalnego Katarzyny Kobro w intencji kuratora miały ukazać, jak dalekie od rzeczywistości były utopijnie koncepcje dwójki konstruktywistów. Symbolicznym wyrazem tego oddalenia jest w przypadku pracy Kobro wielokrotność zreprodukowania starej fotografii projektu, w przypadku pracy jej męża zaś świat przedstawiony jako zaprzeczenie ideału czystej sztuki, a sam artysta ustawiony niemal tyłem do widza. Praca Ryszarda Hungera Imago pamięci w niespodziewany sposób połączyła w sobie precyzyjny formalnie konstruktywizm abstrakcji geometrycznej bliźniaczych obrazów ze sztuką ubogą w postaci eksponowanej materii płótna i drewnianej deseczki – tworzących razem z malarskim dyptykiem symetryczną instalację. Konstruktywistyczna wizja utopii jawi się jako uporczywie trwały obraz pamięci, wciąż wyraźny, chociaż ściemniały, o zatartej intensywności, podzielony, odkryty, nacechowany rozczarowaniem niespełnionej nadziei. Ciekawym uzupełnieniem dla pracy Hungera jest płótno Kajetana Sosnowskiego, na którym geometryzm obrazu abstrakcyjnego został uzyskany dzięki połączeniu za pomocą szwów kawałków tkaniny o jednorodnej barwie. Płótno, ta rutynowo unieważniona przez obecność farb podstawa obrazu olejnego, stało się w tej pracy wyłącznym budulcem dzieła sztuki. Przemyślanym przykładem dla wyrażenia wewnętrznej sprzeczności konstruktywizmu jest obraz

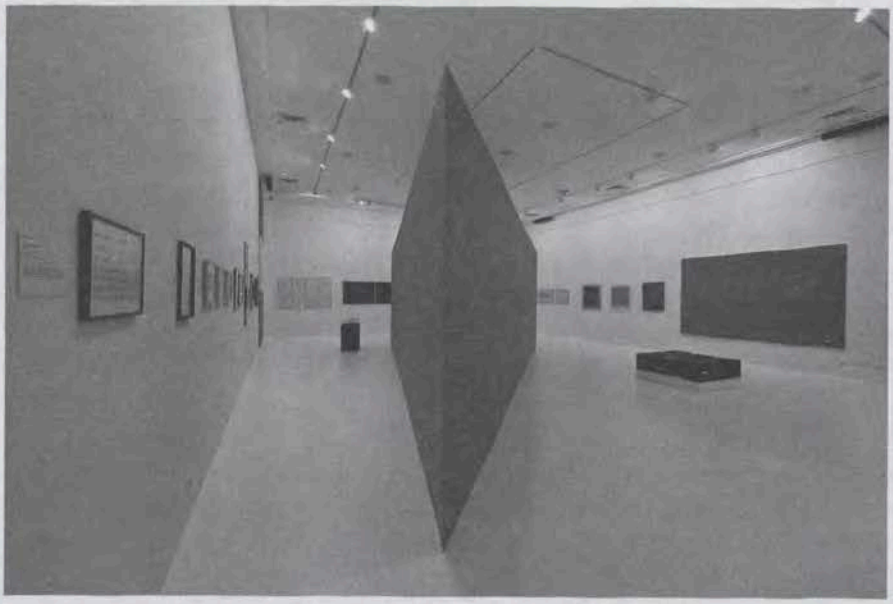

Wilhelma Sasnala utrzymany w stylistyce socrealizmu. Temat budowy bloku mieszkalnego jest w *Wielkiej płycie* tylko pretekstem, żerowaniem na codzienności, bo tu przewrotnie prawdziwym celem obrazu jest kompozycja malarska, zestawienie estetycznego dopracowania barw i płaszczyzn z banałem codzienności.

Niestety, *Dekonstrukcja utopii* nie daje jasnego przekonania, o co dokładnie miałoby chodzić w podważaniu idei modernistycznych. Z przedstawionych prac trudno wyłonić dominującą ideę, a nie ułatwiają tego także teksty zawarte w katalogu wystawy, bo nie prowadzą do klarownego rozwiązania tej enigmatycznej figury. Dla przykładu, można zauważyć wątek spojrzenia, który wyłania się wśród kilku prezentowanych prac – szczególnie widoczny jest w pracach Łukasza Skąpskiego i Dominika Lejmana. Widzenie jawi się w nich kolejno jako sposób odwrócenia się od tego, co otaczające i bliskie, ku temu, co odległe, transcendentne (niebo), a w wersji zapośredniczonej przez wideo jako wtórne narzędzie utrwalenia i kontroli obecności. Obie te jakości przypisywane percepcji wzrokowej stanowią wariację na temat jej roli w sztuce modernistycznej, trudno jednak połączyć je w klarowną narrację.

Ekspres Wschód

Trzecia z prezentowanych wystaw, otoczona opieką kuratorską przez Artura Chrzanowskiego, pomyślana była jako przestrzeń dla artystów młodszego i średniego pokolenia, w której mogliby odnieść się do problemów wyznaczanych przez konstruktywizm, jak dziedzictwo łódzkie, oraz przez relacje wobec tego dziedzictwa. Wystawa *Ekspres Wschód. Powrót do awangardy* wpisuje się w długą już w Łodzi tradycję pre-

Wystawa *Front Wschodni*, fot. archiwum Galerii Atlas | **str. 6**

zentowania sztuki w zastanych miejscach, które są metaforami miasta – kamienicach czy pałacach. Kiedyś budowanych z rozmachem, dziś znajdujących się w stanie dalekim od dawnej świetności.

Piwnice ogromnej kamienicy Pinkusa, które stały się przestrzenią wystawienniczą, mogą być widziane jako symboliczne odniesienie do architektury i urbanistyki Łodzi, miasta, które od początku swojego dynamicznego rozwoju było określane mianem brzydkiego i nieprzyjaznego dla mieszkańców. Przestrzeń piwnic została jednak zagospodarowana przez sztukę, podporządkowana celom ekspozycji, nie tracąc przy tym swojej tożsamości. Gest ten stanowi symboliczne złączenie miasta ze sztuką i jako taki jest być może echem postulatu Józefa Robakowskiego o przywołaniu w Łodzi twórczej energii i atmosfery z dwudziestolecia. To, co inspiruje artystów, których prace znalazły się na wystawie, to oczywiście stylistyka abstrakcji geometrycznej, heliografii czy fotografii konstruktywistycznej. Ale także idea sztuki oddziałującej na rzeczywistość pozaartystyczną, a więc typografia, projekty graficzne oraz sposób „zamieszkiwania" codzienności w przestrzeni publicznej, prace interaktywne. Bardzo udaną estetycznie realizacją była seria zdjęć Zbigniewa Olszyny nawiązująca do kompozycji suprematystycznych Malewicza czy mistyki kształtów geometrycznych Kandinsky'ego. Podstawowe figury geometryczne w podstawowych barwach zostały przeniesione z abstrakcyjnej przestrzeni obrazu, Malewiczowskiego kosmosu, na twarze ludzkie. Fotografie utrwaliły kompozycje abstrakcyjne wykonane na twarzach za pomocą farb do ciała. To zestawienie połączyło porządek kosmicznej harmonii z mikrokosmosem człowieka, z drugiej strony sugerując uprzedmiotowienie modeli i zakwe-

str. 7 Wystawa *Front Wschodni*, fot. archiwum Galerii Atlas

stionowanie ich podmiotowości. Dzięki tej ambiwalencji praca Olszyny podejmuje istotny wątek dotyczący dyskusyjnych humanistycznych wartości konstruktywizmu.

Dominującym rysem wystawy *Ekspres Wschód* jest praca z cytatem, czytelnym nawiązaniem do sztuki modernistycznej. Pojawia się jednak także wyraźny rys jawnego sprzeciwu wobec dziedzictwa Kobro i Strzemińskiego w postaci prac członków stowarzyszenia Kultura Aktywna – Pawła Hajncla i Dagmary Horab. Hajncel zaprezentował krzyż w barwach neoplastycznych, w zamyśle znak długo oczekiwanej śmierci tradycji konstruktywistycznej, Horab natomiast przygotowała montaż wideo w stylistyce filmu niemego postulujący konieczność odejścia awangardy do lamusa, w sferę zasłużonego wiecznego odpoczynku. Tylko śmierć sztuki awangardowej w Łodzi, podtrzymywanej przy życiu wbrew naturalnemu porządkowi przez częste jubileusze i wspomnienia, może, zdaniem tych artystów, doprowadzić do prawdziwej odnowy twórczości artystycznej. To myślenie *par excellence* modernistyczne o konieczności zniszczenia przeszłości, wyzwolenia się spod jej wpływu, aby stworzyć nową sztukę, jest także wyrazem dążenia młodego pokolenia do zdetronizowania „ojców założycieli" i przywłaszczenia sobie szacunku i uznania, który dotychczas był ich udziałem.

Trzy wystawy zaprezentowane w ramach GENERACJI w tegorocznej edycji Festiwalu Łódź Czterech Kultur pokazują jasno, że zainteresowanie doświadczeniem artystycznym dwudziestolecia międzywojennego jest w Łodzi trwałe i stosunek do symbolicznych figur ojcowsko-matczynych wówczas działających artystów wciąż jest istotnym wyznacznikiem tożsamości dla mieszkańców zajmujących się sztuką. Niestety, za twórczością artystyczną i refleksją kuratorską nie podążył w tym roku wysiłek teoretyczny porządkujący intelektualnie w sposób kompleksowy problem dziedzictwa konstruktywizmu i jego współczesnej aktualności. Być może jest to zadanie, które zostało jeszcze do wykonania na drodze do realizacji w celu uporządkowania pola twórczości inspirowanej historyczną awangardą. Przyczynkiem do tego celu były niewątpliwie *Front Wschodni, Dekonstrukcja utopii* i *Ekspres Wschód. Powrót do awangardy*.

Anna Nawrot
– krytyczka i historyczka sztuki

Cytaty z wypowiedzi Józefa Robakowskiego pochodzą z rozmowy z Michałem Jachułą opublikowanej w katalogu wystawy *Front Wschodni*; cytat z wypowiedzi Wojciecha Ledera pochodzi ze wstępu do katalogu wystawy *Dekonstrukcja utopii*.

Powrót bohatera

Muzeum Miasta Łodzi zainaugurowało dwuletni program przygotowań do obchodów setnej rocznicy urodzin Jana Karskiego, honorowego obywatela naszego miasta

„Obywatel Kucharski [jeden z pseudonimów Jana Kozielewskiego vel Karskiego – przyp M.K.] jako kurier przechodząc na Słowacczyznę, schwytany przez agentów gestapo zniszczył cały niesiony materiał. Więziony, bity nie wydał nikogo. W zamachu samobójczym przeciął sobie żyły u rąk, a przewieziony do szpitala w Nowym Sączu przy pomocy dobrych obywateli uciekł i stanął do pracy w szeregach" – pisał w akcie nadania orderu Virtuti Militari pod datą 21 stycznia 1941 roku gen. Stefan Rowecki, ówczesny Komendant Główny Związku Walki Zbrojnej.

Był to dopiero jeden z pierwszych wojennych wyczynów Karskiego – po powrocie do służby ten emisariusz Polski Podziemnej za namową ówczesnego Delegata Rządu na Kraj Cyryla Ratajskiego skontaktował się z przedstawicielami żydowskiego podziemia w Polsce – bundowcem Leonem Feinerem i syjonistą Adolfem Bermanem. W przebraniu przedostał się do warszawskiego getta, a potem również do obozu koncentracyjnego w Izbicy (przez lata był przekonany, że trafił wtedy do Bełżca). W listopadzie 2012 roku minęła 70. rocznica przekazania przez Karskiego Brytyjczykom informacji o dokonującej się w okupowanej przez hitlerowców Polsce eksterminacji Żydów. Swoje raporty składał osobiście ministrowi spraw zagranicznych Imperium Anthony'emu Edenowi, a później również prezydentowi USA F. D. Rooseveltowi. O Zagładzie mówił ważnym przedstawicielom świata mediów, artystom i pisarzom, takim jak G. H. Wells czy Arthur Koestler. Jego wydana w 1944 roku w USA książka opowiadająca o Polsce Podziemnej, *The Story of a Secret State*, osiągnęła status bestselleru – pond 360 tys. sprzedanych egzemplarzy. Czynił tym samym wtedy, jak się zdaje, więcej dla sprawy polskiej, niż zdolna była uczynić cała polska

ambasada w Waszyngtonie w trakcie wojny. Po czym na całe dziesięciolecia został prawie całkowicie zapomniany – tak w Polsce, jak i na świecie.

Zainaugurowany w tym roku przez Muzeum Miasta Łodzi projekt edukacyjno-historyczny pt. *Powrót bohatera* jest więc nie tylko próbą oddania czci temu urodzonemu w naszym mieście wyjątkowemu człowiekowi, ale też staraniem o przypomnienie jego historii i utrwalenie niezwykłego dziedzictwa. Projekt rozpisany jest na dwa nadchodzące lata – w 2014 roku będziemy bowiem obchodzili setną rocznicę urodzin Karskiego. Rzeczywiście, to doskonała okazja, by ponad dekadę po jego śmierci zdać sobie sprawę, że był on nie tylko bohaterem narodowym Polaków i Żydów, ale że dzięki swojemu heroizmowi i humanistycznej postawie stał się swego rodzaju wzorem uniwersalnym, emisariuszem takich wartości jak prawda, wolność i współczucie… I że być może czas Karskiego dopiero nadchodzi…

Zapomniany

Pisząc o rozpoczętych właśnie przygotowaniach do obchodów setnej rocznicy urodzin Karskiego, warto na samym początku zapytać, dlaczego „powrót bohatera"? Wojenne losy emisariusza Polski Podziemnej są dzisiaj już dość powszechnie znane. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że cały czas jeszcze odkrywamy tę postać, że z jego roli w historii XX wieku wciąż jeszcze nie zdajemy sobie do końca sprawy. Oczywiście heroiczna misja Karskiego jako taka zakończyła się porażką – nie udało mu się w żaden istotny sposób zapobiec oddaniu powojennej Polski w orbitę wpływów Rosji Sowieckiej, nie był też w stanie przekonać aliantów do jakichś zdecydowanych kroków, które mogłyby przynajmniej zmniejszyć rozmiary Holocaustu. Jan Karski stał się jednak jednym z największych świadków sumienia w XX wieku i z całą pewnością również jednym z największych ambasadorów Polski – a przy okazji także Łodzi – w świecie. W tym sensie dopiero uświadamiamy sobie jego bohaterstwo, wynikające nie tylko z wojennej odwagi i poświęcenia, ale i z postawy tolerancji i współczucia, wierności prawdzie i swego rodzaju rycerskości.

W istocie, krótko po zakończeniu drugiej wojny światowej Jan Karski stał się zupełnym outsiderem w Ameryce. Po uznaniu przez aliantów komunistycznych władz w Polsce wierny swojemu pryncypałowi, ambasadorowi Janowi Ciechanowskiemu, opuścił placówkę dyplomatyczną, zabierając ze sobą najważniejsze dokumenty. Przez krótki czas trwała jeszcze sława autora *The Story of A Secret State*. Z czasem jednak, w miarę jak w Stanach narastały pojednawcze wobec Sowietów nastroje końca wojny, również i legendarny emisariusz stał się postacią politycznie niewygodną. W udzielonym Maciejowie Wierzeńskiemu w połowie lat 90. wywiadzie mówił z charakterystyczną dla siebie autoironią: „Po ukazaniu się książki byłem zapraszany przez najznakomitsze domy amerykańskiej arystokracji finansowej – Rockefellerów, Dupontów, Vanterbiltów. Wyglądało to zawsze podobnie […] Sadzano mnie po prawej stronie pani domu, która mówiła: «Oto jest pan Karski, autor tej sławnej książki. Zwal-

cza bezbożny komunizm, zdecydował się nam pomagać, żebyśmy nie ulegli bezbożnemu komunizmowi, za to należy mu się pochwała». [...] Trwało to jakieś siedem tygodni. Potem pojawiły się głosy, że występuję przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Dostawałem dalej zaproszenia, ale już na koktajle na stojąco. I znowu upłynęło kilka tygodni. Zaczęli mnie zapraszać weterani, córki rewolucji amerykańskiej. Najbardziej skrajne, prawicowe organizacje. Aktualność Karskiego się kończyła. Karski przestał być modny, bo nie godził się z komunistami". Taki swoisty ostracyzm spotkał zresztą całą rzeszę polskich intelektualistów na emigracji – aż do wybuchu konfliktu koreańskiego Amerykanie zdawali się wierzyć w porozumienie z „wujkiem Stalinem". Francuska inteligencja zaś zapatrzona była w Sowietów jeszcze długo po tym, jak Sołżenicyn pokazał rozmiary bestialstwa komunistów w *Archipelagu Gułag*.

W przeciwieństwie jednak do wielu swoich rodaków Karski doskonale zaadoptował się do życia w Stanach – jest to być może jedno z jego oblicz, którego nie znamy. Nigdy nie pozbył się wyraźnego wschodnioeuropejskiego akcentu, ale jednocześnie już jako sędziwy człowiek powtarzał, że Ameryka okazała się jego drugą ojczyzną, a nawet twierdził, że USA to najwspanialszy kraj na świecie. Jako 35-letni mężczyzna, bezrobotny i zubożały bohater, Karski, nie bardzo wiedząc, co z sobą zrobić, postanowił pójść na studia. Spotkanie z rektorem waszyngtońskiego Georgtown University odmieniło całe jego późniejsze życie; wielokrotnie i często ze łzami w oczach wspominał, jak ten „jezuicki księże" podczas spotkania z nim „uderzył pięścią w stół i zaczął prawić, że obowiązkiem Amerykanów jest podanie ręki takim ludziom jak ja, zdecydowanym tu zostać i pracować". Stypendium zaofiarowane przez Walsha pozwoliło legendarnemu emisariuszowi zacząć życie od nowa – Ameryka z całą pewnością mu imponowała. Imponowało szczególnie mierzenie ludzi nie poprzez kategorie etniczne, religijne czy klasowe, ale poprzez ich zdolności i talenty – stał się w ten sposób amerykańskim *DIY Man (Do it Yourself Man)*, czyli Panem Zrób to Sam. Z dumą wspominał o swoim pierwszym domu, który wyremontował własnymi rękoma – a potem o kolejnych, coraz większych. Lubił, kiedy amerykańscy koledzy z Uniwersytetu okazywali, że traktują go jak swojego. I – co charakterystyczne – inaczej niż np. Jan Nowak-Jeziorański, inny wielki kurier Polski Podziemnej, Karski nigdy nie budował wokół siebie środowiska. Można z jego wypowiedzi odnieść nawet wrażenie, że trochę rodaków unikał i aż do 1977 roku, nawet jako profesor katolickiego Georgtown University, nie wspominał o swojej wojennej przeszłości.

Wielu jego dawnych przyjaciół, szczególnie znana aktorka Zofia Rysiówna, miała nawet o to do niego pretensje. Ta późniejsza żona Adama Hanuszkiewicza pomagała w odbiciu Karskiego spod straży gestapo w szpitalu w Nowym Sączu i jako jedyna ze sprzysiężenia uniknęła śmierci po nieopatrznej wsypie. Trudno orzec, co za tym stało – traumatyczne przeżycia w czasie wojny czy po prostu niechęć do pielęgnowania własnej martyrologii. Karski musiał odczuwać brzemię moralnego długu wynikającego z faktu, że uratowanie jego życia kosztowało kilka innych niewinnych

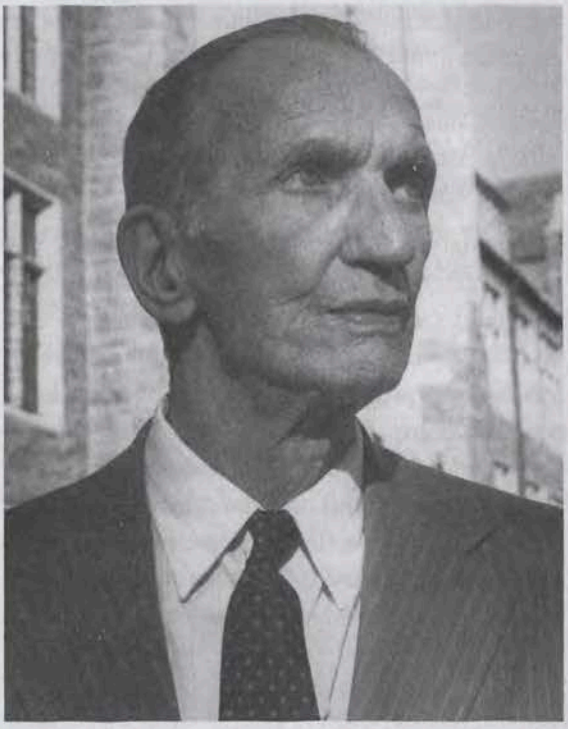

istnień. Nie wracał jednak do tych wydarzeń przez całe dekady, twierdząc – być może nie do końca szczerze – że cały czas obowiązywała go w tej sprawie przysięga milczenia. W Ameryce ułożył sobie również życie osobiste – po dwuletnim nieudanym małżeństwie z córką południowoamerykańskiego dyplomaty Karski związał się w 1965 roku z tancerką i choreografką Polą Nireńską, jak się zdaje – jego wielką miłością, podziwianą jeszcze na scenach w przedwojennej Polsce. Niewątpliwie osiągnął osobisty i zawodowy sukces… i być może stałby się jednym z wielu anonimowych w kraju „zamerykanizowanych" Polaków, którym się udało, gdyby nie spotkanie z Cludem Lanzmannem.

Odkrywanie Karskiego

Francuski reżyser, szukając w 1977 roku bohaterów do – jak się później okazało –swojego przełomowego filmu o Zagładzie Żydów, przypomniał sobie książkę *The Story of a Secret State*. Początkowo Karski opierał się, nie chcąc wracać do trudnych wspomnień. Lanzmann miał podobno użyć wtedy argumentu, iż ten ma przed śmiercią obowiązek opowiedzenia prawdy… I rzeczywiście, film, a właściwie dziewięciogodzinna filmowa epopeja z istotnym udziałem legendarnego emisariusza Polski Podziemnej, stał się jednym z najważniejszych dokumentów przypominających światu tragedię Holocaustu, wstrząsającym świadectwem okrucieństwa nazistów i obojętności świa-

ta. Nim jednak film ten został po raz pierwszy pokazany widowni w 1985 roku, do Karskiego zgłosił się Elie Wiesel, jeden z przywódców Rady Pamięci Holocaustu, z zaproszeniem do Waszyngtonu na Międzynarodową Konferencję Wybawców (1981 r.). Wtedy chyba Karski po raz pierwszy publicznie odważył się wyrazić swoje przesłanie – nie była to już bowiem czysta relacja z tego, co widział w warszawskim getcie czy w obozie koncentracyjnym w Izbicy, ale raczej pełne znaczeń i nabrzmiałe długą i z gruntu moralną refleksją orędzie zawierające tak świadectwo, jak i oskarżenie oraz ostrzeżenie. Karski mówił wtedy: „Wielu z was było świadkami żydowskiej gehenny. To jednak mnie Bóg zlecił, abym nie tylko zobaczył, ale abym mówił i pisał w czasie wojny, kiedy – jak mi się wówczas zdawało – mogło to odnieść jakiś skutek. Nie odniosło… Nie mogę również powiedzieć zgromadzonym o moim wiele lat trwającym zdumieniu, gdy po wojnie wyjaśniano, że rządy, przywódcy, naukowcy, pisarze nie wiedzieli, co się działo z Żydami. To kłamstwo, że nie wiedzieli. Mam prawo wołać «kłamstwo!», bo wiem, ile raportów złożyłem, ile osób powiadomiłem oprócz amerykańskiego prezydenta i ministrów angielskich. O rozmiarach Holocaustu, o Żydach mordowanych w getcie, wożonych w wagonach z niegaszonym wapnem, opowiadałem Herbertowi Georgowi Wellsowi i Arthurowi Koestlerowi, wydawcom takim jak Allen Lane z londyńskiego Penguina czy pani Ogden Reed z «New York Herald Tribune»".

To właśnie wtedy dobitnie objawiło się drugie oblicze bohaterstwa Karskiego. W czasie wojny wykazał się heroizmem w swojej odwadze i wierności, w niezłomnej postawie wobec tortur i gotowości na śmierć. Przed publicznością waszyngtońskiej konferencji Jan Karski był już jednak bohaterem nieco innym, dojrzalszym – emisariuszem prawdy i świadkiem sumienia. Tym, który nie tylko widział tragedię narodu żydowskiego, ale i tym, który głęboko się z pokrzywdzonymi identyfikował. „Tak jak rodzina obecnej na sali mojej żony [Poli Nireńskiej – przyp. M.K.], która wyginęła w gettach albo obozach koncentracyjnych i piecach krematoryjnych, tak wszyscy wymordowani Żydzi stali się moją rodziną. Ale ja jestem chrześcijańskim Żydem. Jestem praktykującym katolikiem. Moja wiara każe mi mówić, że ludzkość popełniła drugi grzech pierworodny, dopuszczając do Zagłady, z nakazu czy zaniedbania, z samorzutnej niewiedzy lub nieczułości, z egoizmu czy hipokryzji, czy też zimnego wyrachowania. Ten grzech będzie prześladował ludzkość. Prześladuje i mnie…" – mówił w dalszej części swojego wystąpienia.

Z czasem wieści o Karskim zaczęły również napływać do kraju. W 1987 roku Krzysztof Kozłowski przeprowadził ze starym już wtedy profesorem Georgtown University wywiad dla „Tygodnika Powszechnego". Okazał się on zresztą pierwszą istotną wzmianką o tym bohaterze w polskiej prasie. Już po transformacji ustrojowej w 1989 roku zaczęliśmy zdawać sobie sprawę, że był on w istocie jednym z największych Polaków i największych ambasadorów Polski w XX wieku. Powstały pierwsze większe publikacje o tej postaci, m.in. *Misja ostatniej nadziei* Jerzego Korczaka. Dopiero jednak w ostatnich latach doczekaliśmy się naprawdę solidnych biografii

Karskiego: fabularyzowaną opowieść o nim poczynili E. Thomas Wood i Stanisław M. Jankowski (*Karski – opowieść o emisariuszu*, wydanie polskie 1996) oraz Stanisław M. Jankowski (*Karski. Raporty tajnego emisariusza*, 2009), rzetelną naukową biografię napisał prof. Andrzej Żbikowski (*Karski*, 2011), a ostatnio opublikowano cytowane w tym tekście wypowiedzi Karskiego, pochodzące z wywiadów udzielonych Maciejowi Wierzyńskiemu w latach 1995–1997 (*Emisariusz – własnymi słowami*, 2012).

Z książek tych wyłania się już obraz człowieka zdystansowanego do „sprawy polskiej" – Karski pod koniec życia wypowiadał się często bez ogródek również o swoich własnych dokonaniach, nie ukrywając zasadniczo trudnych spraw. Już sama jego misja emisariusza Polski Podziemnej, pod przysięgą przekazującego informacje z okupowanego kraju rządowi londyńskiemu, była przyczyną wielu nieporozumień i dezinformacji. Zbyt dobrze ten odważny człowiek zdawał sobie sprawę ze swej roli; nie był przecież politykiem ani mężem stanu. Jego predyspozycje – fotograficzna pamięć i znajomość języków – sprawiały, że świetnie nadawał się do swojej arcytrudnej roli. Nie był jednak, jak czasem chciano by go widzieć, „kreatorem" polityki, a jedynie jej „narzędziem". Emisariusz wspominał dość groteskową awanturę, którą urządził mu gen. Władysław Sikorski w 1943 roku. Ówczesnemu premierowi wydawało się, że Karski próbuje w Londynie politykować. Każdemu bowiem z londyńskich przedstawicieli najważniejszych ugrupowań w kraju, socjalistom, narodowcom i ludowcom, raportował o miażdżącym poparciu, jakim cieszy się każde z tych stronnictw w okupowanej Polsce. Oczywiście awantura była absolutnie niesłuszna, Karski był bowiem jedynie „przekaźnikiem" powtarzającym słowo w słowo to, co pod przysięgą kazali mu zapamiętać liderzy partii w Polsce (a każdemu z nich zależało na pokazaniu się z jak najlepszej strony).

W charakterystyczny dla siebie „antybohaterski" sposób deprecjonował również rolę, jaką odegrały jego osobiste spotkania z Edenem i Rooseveltem, twierdząc, że na obu się skompromitował, przy Edenie zbyt nachalnie ubiegając się o audiencję u Churchilla, przy Roosevelcie zaś uniżonością niespotykaną w amerykańskiej kulturze politycznej. (Karski miał „wycofywać" się z gabinetu prezydenta, idąc w półukłonie twarzą do gospodarza. Zupełnie jakby wychodził od króla – ku uciesze zresztą samego Roosevelta i ambasadora Ciechanowskiego). Oczywiście te anegdoty były być może jedynie obroną przed „mitologizowaniem" jego wojennej misji, był bowiem Karski człowiekiem niezwykle trzeźwo myślącym, świetnie zdającym sobie sprawę z gorzkiego i ponurego faktu, iż w gruncie rzeczy heroizm Polski Podziemnej nie przyczynił się znacząco do rozstrzygnięcia losów wojny, że w gruncie rzeczy niewiele jemu samemu udało się zdziałać. W wieku 82 lat pytał: „a gdyby nie było polskiego ruchu podziemnego lub gdyby miał mniejszą skalę, co by się wtedy działo? Nie mam wątpliwości: alianci i tak by wojnę wygrali. Wojna bez naszego udziału nie byłaby dłuższa ani o jeden dzień. Wojnę wygrali alianci, bo zbudowali dziesiątki tysięcy okrętów, bombowców, czołgów. One wygrały wojnę, a nie ruch podziemny. Czy warto było ponosić tyle strat...?".

Dziedzictwo

Wydaje się, że pytanie o dziedzictwo Jana Karskiego jest cały czas bardzo aktualne. Współgrało w tym człowieku bardzo wiele czasem pozornych, a czasem oczywistych sprzeczności. Ten do końca głęboko wierzący katolik i polski patriota zawsze czuł bliskość i sympatię do narodu żydowskiego. Jego heroiczna i bohaterska postawa współgrała jednocześnie z niezwykle trzeźwym oglądem sytuacji – Jan Nowak-Jeziorański mówi o nim, iż zawsze „myślał w sposób zimny, prawie cyniczny". Nie było w nim też ani krzty ofiarnictwa czy ideologicznego zacietrzewienia. W jednej z jego najintymniejszych wypowiedzi publicznych wspominał o najtrudniejszych momentach w gestapowskim więzieniu, gdy już zdecydował się na samobójstwo: „Zastanawiałem się czasem, o czym myśleli ludzie, kiedy umierali za jakieś ideały. Wydawało mi się wówczas, że z pewnością absorbowały ich wówczas rozważania na temat sprawy, za którą oddali życie. Teraz wiedziałem, że jest inaczej. Czułem jedynie nienawiść – i obrzydzenie, które górowało nad wszystkim, nawet nad bólem fizycznym i nad nienawiścią. Ogarnął mnie bezdenny smutek, że muszę umrzeć tak nędzną anonimową śmiercią, jak rozdeptany robak. Ani rodzina, ani przyjaciele nigdy nie dowiedzą się, gdzie zostałem pochowany [...] Pomyślałem o matce, o dzieciństwie, studiach i nadziejach na przyszłość".

Z pewnością można biografię Karskiego czytać dziś na wiele sposobów: był bohaterem drugiej wojny światowej, był świadkiem sumienia, był też z całą pewnością niezwykle mądrym i oryginalnym człowiekiem. Dwa lata, które dzielą nas od rocznicy jego setnych urodzin, to świetna okazja, żeby przyjrzeć się bliżej Karskiemu. A także uczcić fakt, iż to właśnie atmosfera wielokulturowej Łodzi, w której urodził się w 1914 roku jako Jan Kozielewski, przyczyniła się do ukształtowania tak niezwykłej i heroicznej biografii.

Marcin Kieruzel

Korzystałem z:

1. Stanisław M. Jankowski, *Karski: raporty tajnego emisariusza*, Poznań 2009.
2. Andrzej Żbikowski, *Karski*, Warszawa 2011.
3. Jan Karski, Maciej Wierzyński, *Emisariusz. Własnymi słowami*, PWN, Warszawa 2012.
4. www.muzeum-lodz.pl

Dwuletniemu cyklowi obchodów setnej rocznicy urodzin Jana Karskiego patronuje Muzeum Historii Polski. Na stronie: www.jankarski.org znajduje się internetowa baza projektu *Jan Karski. Niedokończona misja*. Autorzy projektu udostępnili również imponującą wirtualną wycieczkę po biografii Jana Karskiego, znajdującą się na stronach Google Cultural Institute pod adresem: www.google.com/culturalinstitute.

Roman Modzelewski w 100 rocznicę urodzin

Kreator wielu form

Szkoda, że największe, najbardziej wymowne wystawy artyści miewają często dopiero po śmierci. Czasem musi upłynąć nawet wiele lat, aby zrozumiano, że warto znaleźć godne miejsce ekspozycyjne, odpowiednie środki finansowe, zaangażować kilku kuratorów i wydać dobry katalog artyście, któremu za życia tego skąpiono albo uważano, że może nie warto, bo na to sobie jeszcze nie zasłużył. Albo też sam nie zabiegał wystarczająco energicznie, aby uruchomić wszystkie mechanizmy prowadzące do urządzenia indywidualnego pokazu. Artyści na ogół sami zabiegają o wystawy, a wtedy stają się zwykle kornymi petentami galerii, muzeów i różnych mecenasów sztuki. A że nie wszystkim taka rola odpowiada, nie ma więc co się dziwić, że twórcze życie wielu wartych publicznego wylansowania ludzi sztuki znane jest niewielkiemu kręgowi znajomych, współpracowników i – co najwyżej – kilku krytykom sztuki. A na dodatek artyści, którzy ze sztuki nie żyją, utrzymując się np. z pracy dydaktycznej, po kilku latach wymuszonej nieobecności na wystawach zaczynają mieć wątpliwości, czy w ogóle warto podejmować niemałe wysiłki organizacyjne, aby pokazać coś, co może przejść bez echa.

To jest właśnie przypadek Romana Modzelewskiego. Był na pewno zdolnym artystą plastykiem, wykazując wielokierunkową inwencję twórczą, ale za życia doczekał się tylko dwóch wystaw indywidualnych. Znajdował się już zresztą wtedy w podeszłym wieku i jest to zapewne dziwne, kiedy w taki sposób ujawnia publicznie swój dorobek twórczy ponad osiemdziesięcioletni były wieloletni rektor artystycznej uczelni. Uczelni, która za jego długiej rektorskiej kadencji wydała dyplomy jedenastu rocznikom absolwentów.

Modzelewski był z wykształcenia malarzem, ale od początku ciągnęło go do sztuki użytkowej. Chociaż studiował tylko malarstwo, już w latach 30. XX wieku jako student warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych utrzymywał się z projektowania i wykonywania ozdobnych krat, kandelabrów, świeczników i innych przedmiotów metaloplastyki. Współpracował wtedy blisko z Henrykiem Grunwaldem, „prawdziwym wirtuozem w zakresie metaloplastyki", jak określili go Adam Bochnak i Kazimierz Buczkowski, autorzy opracowania poświęconego rzemiosłu artystycznemu w Polsce. Była to owocna

współpraca. Wiadomo, że w 1937 roku Modzelewski uczestniczył w międzynarodowej wystawie sztuki i techniki w Paryżu. Zdaniem krytyka sztuki Janusza K. Głowackiego wiązało się to z organizacją i projektowaniem polskiego pawilonu tej wielkiej, prestiżowej imprezy, a udział w niej Modzelewskiego miał związek ze znanym w okresie międzywojennym architektem Bohdanem Pniewskim, autorem projektu tego pawilonu.

Sztuką użytkową zajmował się i później, także podczas wojny, kiedy znalazł się w Lwowie. W Łodzi można zetknąć się z ważnym projektem artysty – jest to metaloplastyczna brama wejściowa Mauzoleum w Radogoszczu. Z blachy i innych elementów powstała świetna kompozycja, będąca przykładem połączenia abstrakcyjnych, ale niepozbawionych symboliki form materii i prześwitów z funkcją użytkową. Ten zrealizowany projekt ma pół wieku i mało kto kojarzy dziś nazwisko Modzelewskiego z efektownym dziełem sztuki zdobniczej mijanym przez setki osób przemieszczających się codziennie ulicą Zgierską.

kultura

Dzisiaj jednak, patrząc na dorobek projektowy Romana Modzelewskiego jako twórcy oryginalnych wzorów użytkowych, wypada zwrócić uwagę na jego meble. Już w 1957 roku na II Ogólnopolskiej Wystawie Architektury i Wnętrz pokazał krzesła z giętej sklejki – niezwykle piękne w kształcie plastycznym i jednocześnie funkcjonalne. Projekt zyskał wprawdzie nagrodę, ale pozostał prototypem, zarządzany centralnie przemysł nie wdrożył go bowiem do produkcji. Mimo to artysta eksperymentował dalej, wzbogacając swoje pomysły dizajnerskie o inne tworzywa. W tych eksperymentach musiał pokonywać różne przeszkody, ponieważ w Polsce „realnego socjalizmu" dostęp do nowoczesnych tworzyw sztucznych był bardzo ograniczony, a właściwie w sposób rynkowy nie istniał. Modzelewskiemu zaś marzyło się zaprojektowanie i zbudowanie fotela mającego kształt organiczny – bez kanciastych obrysów, bez cienia prostej linii. To było możliwe tylko przy zastosowaniu takiego tworzywa, które umożliwiłoby utworzenie obłej, płynnej formy łączącej najlepsze właściwości ergonomiczne mebla z wolną rzeźbiarską bryłą. „W wyniku samodzielnie podjętych we własnej pracowni prac nad nowym materiałem – pisze historyk wzornictwa dr Krystyna Łuczak-Surówka – w roku 1958 Roman Modzelewski zrealizował fotel o siedzisku uformowanym z żywicy syntetycznej zbrojonej szklaną matą. Fotel – jeden z dwóch pierwszych w Polsce mebli z tego tworzywa – zaskakuje nie tylko nowatorstwem zastosowanej technologii, ale przede wszystkim wypracowaną w tworzywie, w pełni zamkniętą, organiczną formą. Czyni to ten projekt wyjątkowym nie tylko w historii polskiego, ale i światowego wzornictwa. Siedzisko RM58 wraz z podłokietnikami jest jednorodną formą pozbawioną linii prostych. Obłe kształty stworzyły nie tylko interesujący efekt plastyczny, ale i wygodny w użytkowaniu mebel, dopasowany do ludzkiego ciała".

W PRL oryginalny wzór użytkowy nie musiał być pożądanym pomysłem, na który oczekiwali decydenci zatwierdzający prototypy do produkcji. Mimo że Modzelewski opatentował swój projekt w 1961 roku, nie mógł przebrnąć bariery obojętności urzędniczej. Fotelem zainteresował się natomiast wielki francuski wizjoner

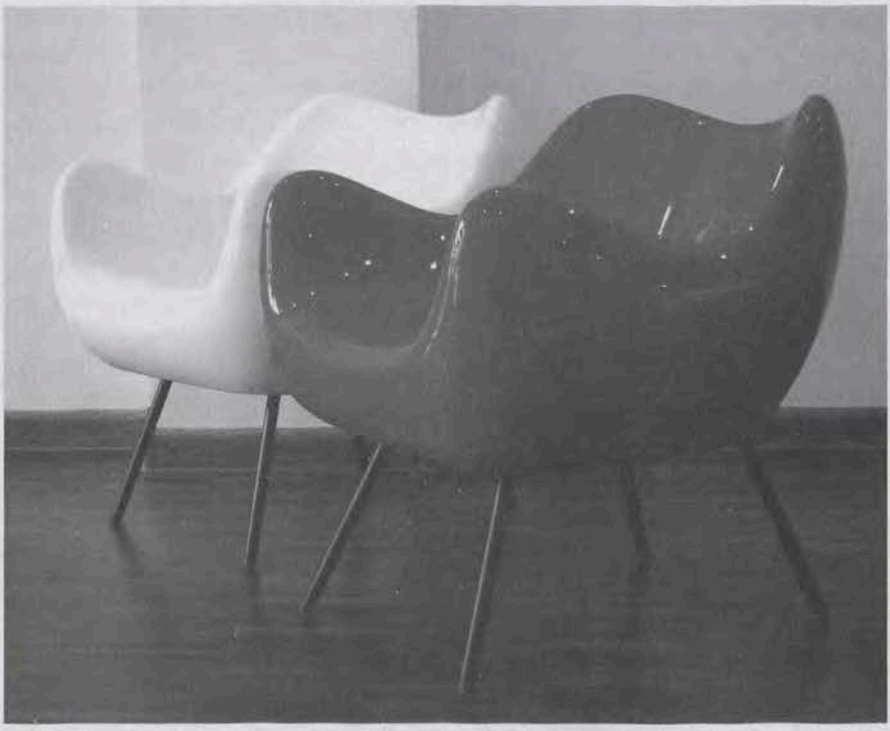

architektury Le Corbusier, który chciał nabyć prawo do wytwarzania tego oryginalnego mebla. Fotel RM58 znalazłby się dzięki temu w najlepszych wnętrzach na Zachodzie, ale w realiach PRL sprzedanie wzoru za granicę, choć prawnie możliwe, okazało się z urzędniczej przekory niewykonalne. W ten sposób prototyp pozostał w pracowni artysty, który zniechęcony do dalszych prac projektowych nad eksperymentalnymi modelami mebli zajął się projektowaniem i budową jachtów. Dla własnej przyjemności.

Może wydać się niepojęte, że w wydanym w 1971 roku poważnym albumie *Rzemiosło artystyczne w Polsce* nie ma najmniejszej wzmianki o fotelu RM58. Można w nim natomiast znaleźć fotografię wiklinowego fotela autorstwa Władysława Wołkowskiego – przykład wyjątkowo rażącej niefunkcjonalności, określający zresztą na pierwszy rzut oka bezużyteczność tego projektu do jakiegokolwiek wdrożenia. Wygląda to na groteskowy dysonans, kiedy ogląda się monumentalną wystawę Romana Modzelewskiego, którą zdobią rewelacyjne projekty mebli sprzed pół wieku. Dopiero dzisiaj znaleźli się chętni podjęcia się ich produkcji. Prekursorski fotel RM58, prawdziwa ikona tej wystawy, to już nie samotny fantom wybitnego dizajnera, ale powielony w wielu egzemplarzach piękny estetycznie i niezwykle wygodny mebel.

Zorganizowana przez Miejską Galerię Sztuki monumentalna wystawa twórczego dorobku artysty – w setną rocznicę urodzin i piętnaście lat po jego śmierci – zatytułowana została *Spectrum*. To dobre hasło, bo pokazuje istotnie szero-

Fotele RM 58, 1958, laminat epoksydowy, metal, fot. archiwum Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi

kie spektrum zainteresowań Modzelewskiego jako artysty nietracącego chyba nigdy z pola widzenia użytkowej roli sztuki w życiu. Czasem były to eksperymenty formalne, czasem spełnienie osobistych marzeń, jak choćby koncentracja zapewne dużej energii dla stworzenia nowego typu jachtów. W ten sposób Modzelewski chałupniczymi metodami zbudował pierwszy Polsce jacht z tworzywa sztucznego. Wykonana w 1967 roku na Wydziale Rzeźby Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych jednostka pływająca spełniała dwojaką rolę: była popisem technologicznym, a jednocześnie ukazywała doskonałą estetycznie formę, będąc na dobrą sprawę swego rodzaju rzeźbą, choć o jednoznacznie praktycznym przeznaczeniu. Projekt jachtu „Biały" – wykonany zresztą tylko w trzech egzemplarzach – mógł budzić w tamtych czasach zachwyt nad iście synergicznym połączeniem nowej technologii z wizualną kreacją. Tyle że w biednych i zgrzebnych czasach PRL okresu Gomułki lśniący bielą jacht wykonany bez użycia drewna musiał wydawać się zjawiskiem z innego, lepszego świata. W rządzonym narzuconą ideologią ubogim kraju, w którym konsumpcyjnym marzeniem był najtańszy motocykl, przeznaczony do rekreacyjnej żeglugi po jeziorach jacht mógł się wydawać nadmierną fantazją. Ale gdyby jego seryjnej produkcji podjęła się choćby jakaś ówczesna spółdzielnia pracy, „Biały" mógłby stać się przedmiotem dobrego eksportu do bardziej zamożnych krajów. Tyle że wtedy nikt takimi kategoriami nie myślał, bo planowaniem produkcji na eksport zajmowała się centralnie Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej z siedzibą w Moskwie, która rozdzielała zadania ekonomiczne poszczególnym państwom tzw. demokracji ludowej. Produkcja jachtów nawet po stosunkowo niewysokich kosztach wyglądała więc wtedy na utopię nieprzystającą do rzeczywistości.

To się nie mogło wtedy udać i się nie udało, chociaż Modzelewski nie poprzestał na tym jednym modelu jachtu. W latach 1974-1975 zaprojektował i wykonał z żywicy poliestrowej „Amulet" – tańszą od „Białego" wersję łodzi żaglowej. Powstało dwanaście tych jachtów, których kadłuby wykonane zostały w chwilowo wówczas adaptowanych na ten cel pomieszczeniach gospodarczych budującej się przy ul. Wojska Polskiego uczelni. Projektowanie jachtów było pasją tego artysty, a ich mozolne wykonywanie udowodnianiem, że pomysły wychodzące daleko ponad przeciętność nie są iluzją, ale rzetelnym twórczym programowaniem. Na początku lat 80. artysta opracował jeszcze projekt jachtu pełnomorskiego „Talizman". Miał on być wykonany z włókna węglowego, ale nie było już możliwości takiej realizacji własnymi siłami. W 1982 roku został Modzelewski emerytem, a dysponując niewielkimi pieniędzmi, nie był w stanie pokryć kosztów wykonania „Talizmana". Tym bardziej zresztą, że Polska czasów Jaruzelskiego była pustynią zaopatrzeniową, a zgromadzenie materiałów do budowy jachtu było niewykonalne. Pozostał więc tylko projekt, który może kogoś jeszcze zainteresuje, bo choć mija 30 lat od jego powstania, nie stracił waloru atrakcyjności dla ewentualnego wykonawcy.

Roman Modzelewski był niewątpliwie wybitnym projektantem wzorów użytkowych. Pozostawał jednak w Łodzi niejako na uboczu tej dziedziny sztuki,

ponieważ łódzkie wzornictwo zostało zdominowane przez włókiennictwo i taki wąski profil przygotowywania artystów projektantów został narzucony administracyjnie Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych po 1950 roku. Kiedy w 1945 roku powstawała ta łódzka uczelnia, miała zgodnie z opracowaną przez Władysława Strzemińskiego ideą kształcić plastyków tak, aby potrafili tworzyć profesjonalne wzornictwo dla szerokiego spektrum branż. Było więc w programie nauczania także miejsce na projektowanie mebli, małej architektury, sprzętu oświetleniowego i zapewne jeszcze innych trójwymiarowych wzorów użytkowych. Po decyzjach ograniczających pole kształcenia oprócz włókiennictwa w łódzkiej uczelni pozostała jeszcze biżuteria, której projektowaniem w niewielkim zakresie i tylko epizodycznie także zajmował się Modzelewski. Być może, że gdyby nie to ograniczenie, Roman Modzelewski, kształcąc studentów w dziedzinach bliższych swoim zainteresowaniom, zainicjowałby powstanie nowej idei wzoru użytkowego bądź choćby rozpoznawalnego stylu nowoczesnego meblarstwa. A zapewne i sam jako wiodący pedagog stworzyłby więcej autorskich projektów w tej dziedzinie.

Trzeba jednak wrócić do dyscypliny, której był wierny przez wszystkie lata swojej twórczości. Modzelewski był malarzem i dopiero przy okazji dużej ekspozycji można było poznać różne etapy jego twórczości. Także ewolucję, jaką przechodził. Jako wychowanek warszawskiej ASP, uczelni raczej konserwatywnej, przez kilkanaście lat uprawiał malarstwo utrzymane w tradycji polskiego koloryzmu – w jakiejś mierze realistyczne i bardzo odległe od tego, co proponowali artyści z kręgu grupy „a.r." i Władysława Strzemińskiego, którzy nadali łódzkiej orientacji artystycznej znamię miasta awangardy.

Roman Modzelewski – *Spectrum*, wernisaż wystawy, fot. archiwum Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi

Osiadając w Łodzi w 1945 roku, Modzelewski nie znał w ogóle tej specyfiki łódzkiej sztuki. Zaczął ją dopiero poznawać, kiedy w murach uczelni plastycznej zetknął się ze Strzemińskim i pozostającym pod jego wpływem Stefanem Wegnerem. Jak sam pisał: „Moje malarstwo wtedy (1946 r.) było pod wpływem impresjonizmu, od którego zresztą starałem się odchodzić [...] Wpadłem wtedy na pomysł tematu o charakterze ekstremalnym: malowania słońca z natury. To nie był już nieruchomy model czy kadr wycięty z krajobrazu. Na słońce nie można długo patrzeć. Jego kształt staje się szybko nieuchwytny, drgający. Dodatkowo zacierają ogląd narastające coraz to nowe kolory i kształty [...] Obraz robi się coraz bardziej skomplikowany". Jest to ciekawa informacja, bo okazuje się, że dobrze dziś znane i opisane przez krytyków, filozofów estetyki i historyków sztuki obrazy solarystyczne Władysława Strzemińskiego nie były jego autonomicznym pomysłem, ale powstały niejako z inspiracji młodszego kolegi. Bo pokazane na wystawie Modzelewskiego obrazy z cyklu *Słońce* powstały w latach 1946-1948. Natomiast swoje słoneczne *Powidoki* Strzemiński namalował w latach 1948-1949. *Słońca* Modzelewskiego z 1946 roku są popisem ciekawego malarstwa abstrakcyjnego. Ale powstała w 1948 roku kompozycja *Słońce III* w układzie i dynamice barwnych plam bliska jest jednemu z *Powidoków* Strzemińskiego także namalowanego w tym roku. Nie wiadomo dziś, czego to zbliżenie w sposobie budowania obrazu dowodzi. Być może był to wynik jakiejś wspólnej dyskusji nad przetwarzaniem na płaszczyźnie obrazu wrażenia wywołanego patrzeniem na słońce, a może jednak efekt jakiegoś wpływu sposobu widzenia bardziej dojrzałego artysty.

Malarstwo Modzelewskiego, tak jak je zaprezentowała wystawa Miejskiej Galerii Sztuki, było raczej niejednorodne. Artysta czerpał inspiracje i motywy z przynajmniej kilku zasobów stylistycznych. Pomijając wcześniejsze prace (pejzaże, martwe natury, portrety) oraz utrzymane w duchu socrealistycznym dwa obrazy – w tym jeden, namalowany w 1954 roku, którego współautorem jest Stanisław Fijałkowski – Modzelewski w swojej dojrzałej twórczości oscylował między malarstwem materii a jakąś kontynuacją myśli konstruktywistycznej. Oscylował, a może po prostu się wahał, nie mając przekonania do swoich wyborów stylistycznych. Widać, że szukał rożnych języków dla czystej sztuki, którą uprawiał nieprzerwanie i niezależnie od absorbujących zajęć na uczelni i pewnie równie pracochłonnych prac projektowych.

Na pytanie, czy dopracował się jako malarz własnego stylu, można odpowiedzieć – tylko do jakiegoś stopnia. Niewątpliwie poszukiwał z różnym skutkiem indywidualnego języka artystycznej wypowiedzi. Czasami był temu bliższy, a czasem tworzył obrazy, które na pierwszy rzut oka można byłoby przypisać komuś innemu. Widać, że tworząc, nie zawsze bywał konsekwentny, ale wynikało to zapewne z niezadowolenia z osiągniętych efektów. Choć trudno odmówić jego abstrakcyjnym kompozycjom estetycznej efektowności, to jako artysta o wysokim poziomie samowiedzy czuł zapewne ciężar odpowiedzialności za dzieło, które po ukończeniu budziło krytyczne wątpliwości samego autora. Pewnie dlatego wystawiał tak mało i tak rzadko, bo

ociągając się przez lata ze zorganizowaniem indywidualnej wystawy, szukał zapewne tego poczucia pewności, że oto stworzył własny, nieporównywalny do kogokolwiek innego styl artystyczny. Tę pewność zapewne odsuwał intelektualnie uwarunkowany autokrytycyzm artysty. „Wytwarzanie się indywidualnego stylu artysty – uważa estetyk Zofia Rosińska – podobnie jak rozwój tzw. stylów wielkich, jest także oparte na stałej artykulacji własnych, niewyartykułowanych form głębinowych. Stale towarzyszące uczucie niezadowolenia zmusza artystę do ponawiania wysiłków i nowych prób artykułowania z nadzieją, że następnym razem efekt będzie lepszy. Niestety, mechanizmy uczestniczące w tworzeniu są zawsze takie same. Proces wtórnego opracowania pojawia się nieuchronnie w momencie spojrzenia na dzieło, w tym także w momencie patrzenia nań przez samego artystę. Zarazem jednak coś, co jest źródłem braku pełnej satysfakcji z tworzenia, jest jednocześnie źródłem pojawiania się nowych form, nowych dzieł".

Zadziwiające w tym kontekście są dwie małe kompozycje abstrakcyjne. Jedna jest w tonacji zielonej, druga ciemnobłękitnej, właściwie granatowej. Ich dynamikę budują dyskretne rozbryzgi czerwonej farby. Obrazy te nie mają tytułów ani innego oznaczenia, a datowane są w przybliżeniu na rok 1950, co oznacza, że były malowane do „głębokiej szuflady". Był to już bowiem okres narastania brutalnej polityki kulturalnej, eliminującej z publicznego funkcjonowania artystów niepodporządkowujących się normom socrealizmu. Zadziwia w tych niewielkich obrazach olejnych namalowanych na papierze – których styl można pewnie niezbyt celnie włączyć do malarstwa gestu – wielka lapidarność użytych środków wyrazu, a jednocześnie ich wysokiej klasy estetyczna uroda.

Nie wiadomo dziś, dlaczego tego nurtu Modzelewski już nie kontynuował, kiedy po 1955 roku twórcy mogli wrócić publicznie do uprawiania sztuki abstrakcyjnej. Modzelewski ją wprawdzie uprawiał, i to dość intensywnie, ale już w zupełnie innej postaci. U progu lat 60. XX wieku tworzył obrazy bliższe sztuce materii. Potem, oddając się całkowicie abstrakcji geometrycznej, wtopił się w szerszy nurt tego malarstwa popularny od lat 70. także wśród innych twórców związanych z łódzką uczelnią plastyczną, a przez to znacznie mniej oryginalny niż owe dwa obrazki z początku lat 50. Szkoda, że już do takiej sztuki nigdy nie wrócił.

Gustaw Romanowski

Cytaty w tekście pochodzą z:

- katalogu wystawy *Roman Modzelewski – Spectrum* (Miejska Galeria Sztuki w Łodzi, 19 października-25 listopada 2012 r.). Idea wystawy: Elżbieta Fuchs i Wera Modzelewska. Kuratorzy: Małgorzata Dziegielewska, Janusz K. Głowacki, Krystyna Łuczak-Surówka;
- książki Zofii Rosińskiej, *Psychologiczne myślenie o sztuce*, PWN, Warszawa 1985.

fot. Martyna Nowosiad – dzięki uprzejmości Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi

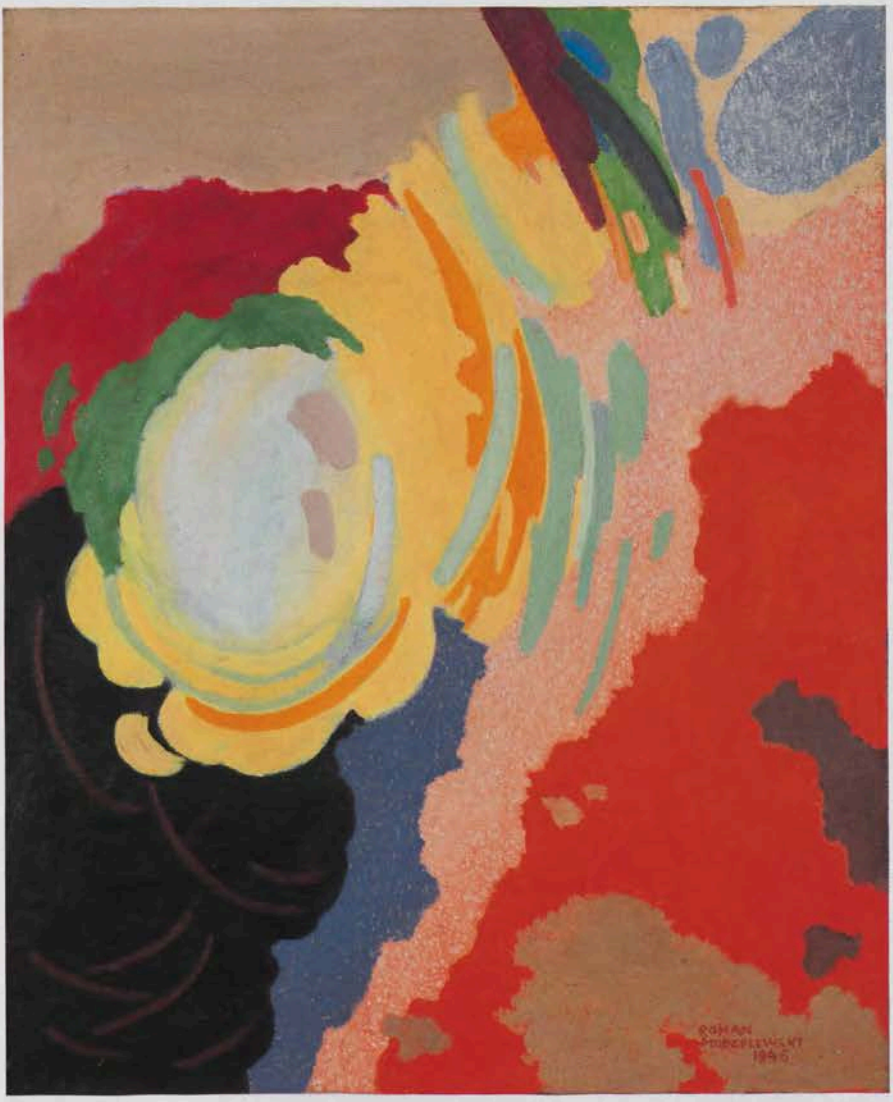

Roman Modzelewski, *Obraz nr 6, Słońce II*, 1946, olej, płótno,
własność Muzeum Miasta Łodzi

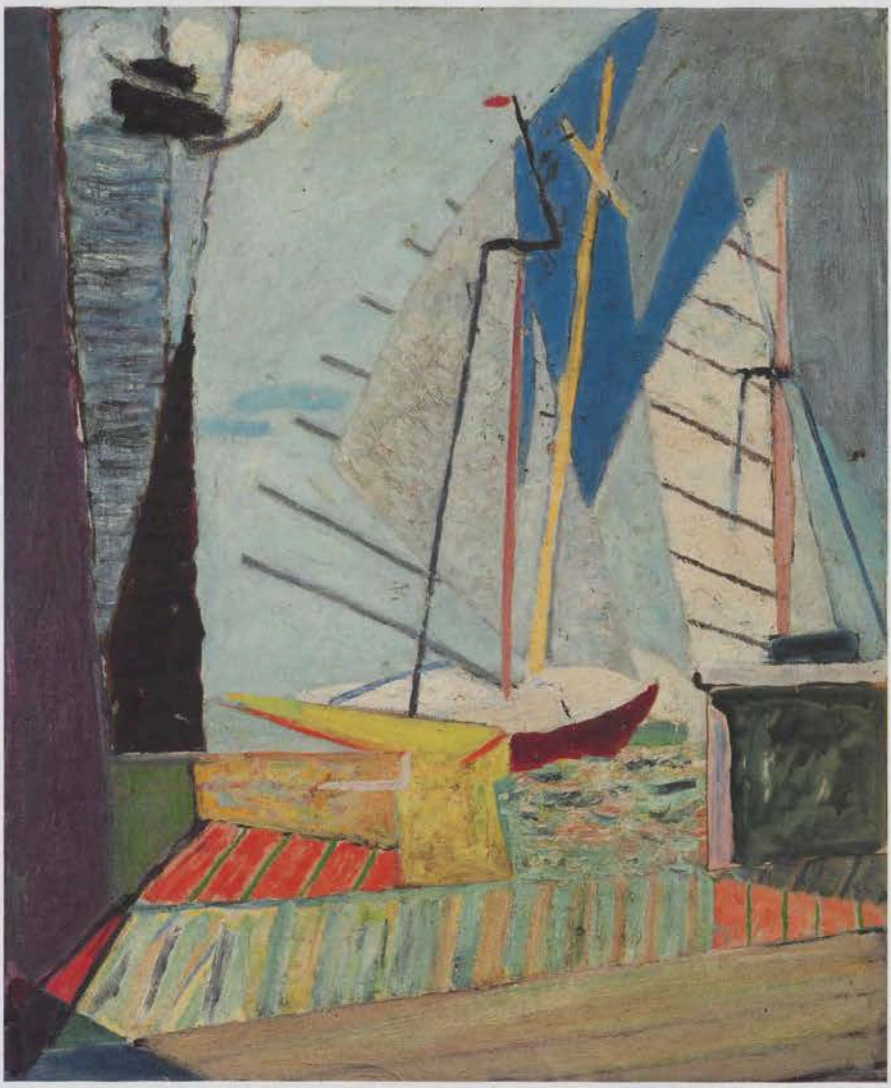

Roman Modzelewski, *Żagle*, n. d. (ok. 1947), olej, papier, płótno

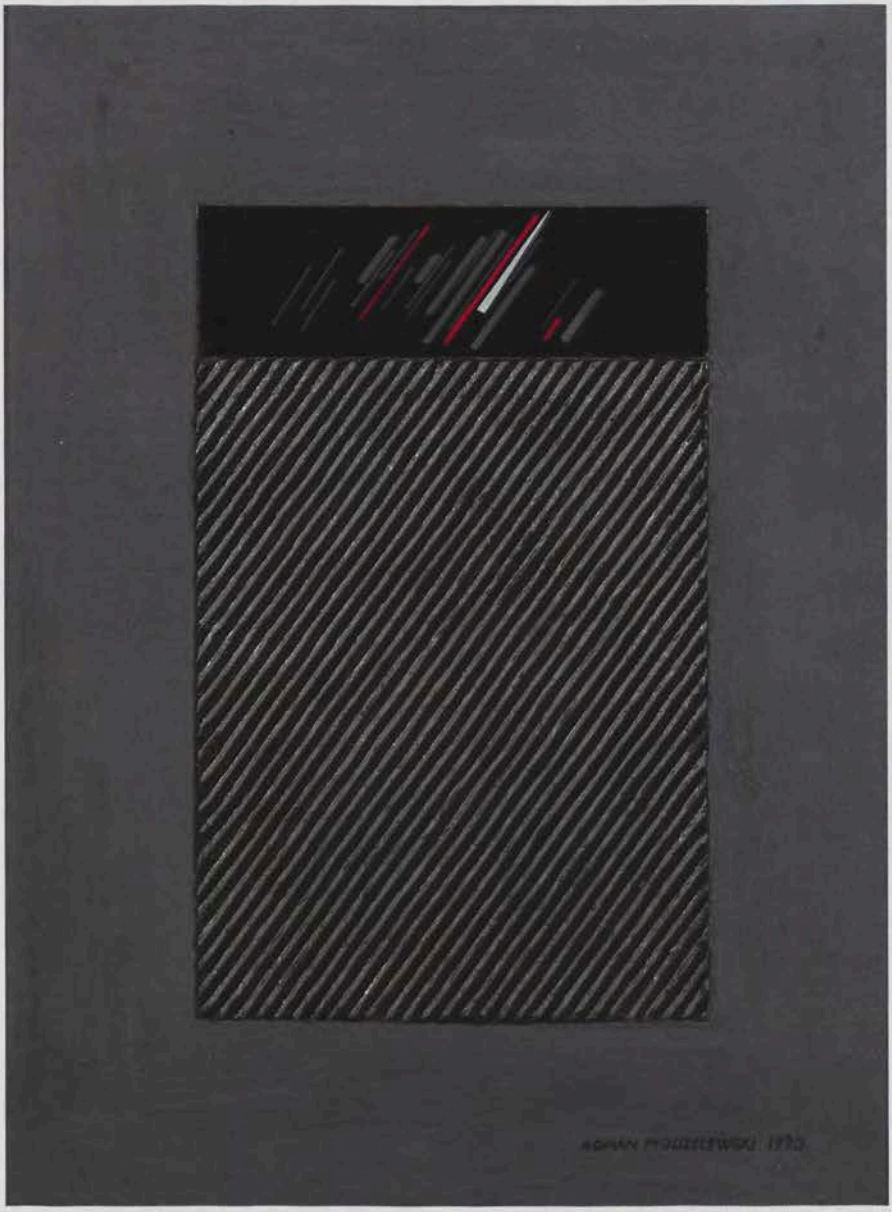

Roman Modzelewski, *Kompozycja*, 1990, technika własna, płyta pilśniowa

Roman Modzelewski, *Krzesło*,
1956, sklejka, metal

Roman Modzelewski, *Fotel RM 58*,
1958, laminat epoksydowy, metal

Roman Modzelewski, *Fotel RM 57*,
1957, tapicerka, metal

Roman Modzelewski, *Fotel RM 56*,
1956, sklejka, metal

Stanisław Fijałkowski, *Przesłanie III*, 2012, olej, płótno

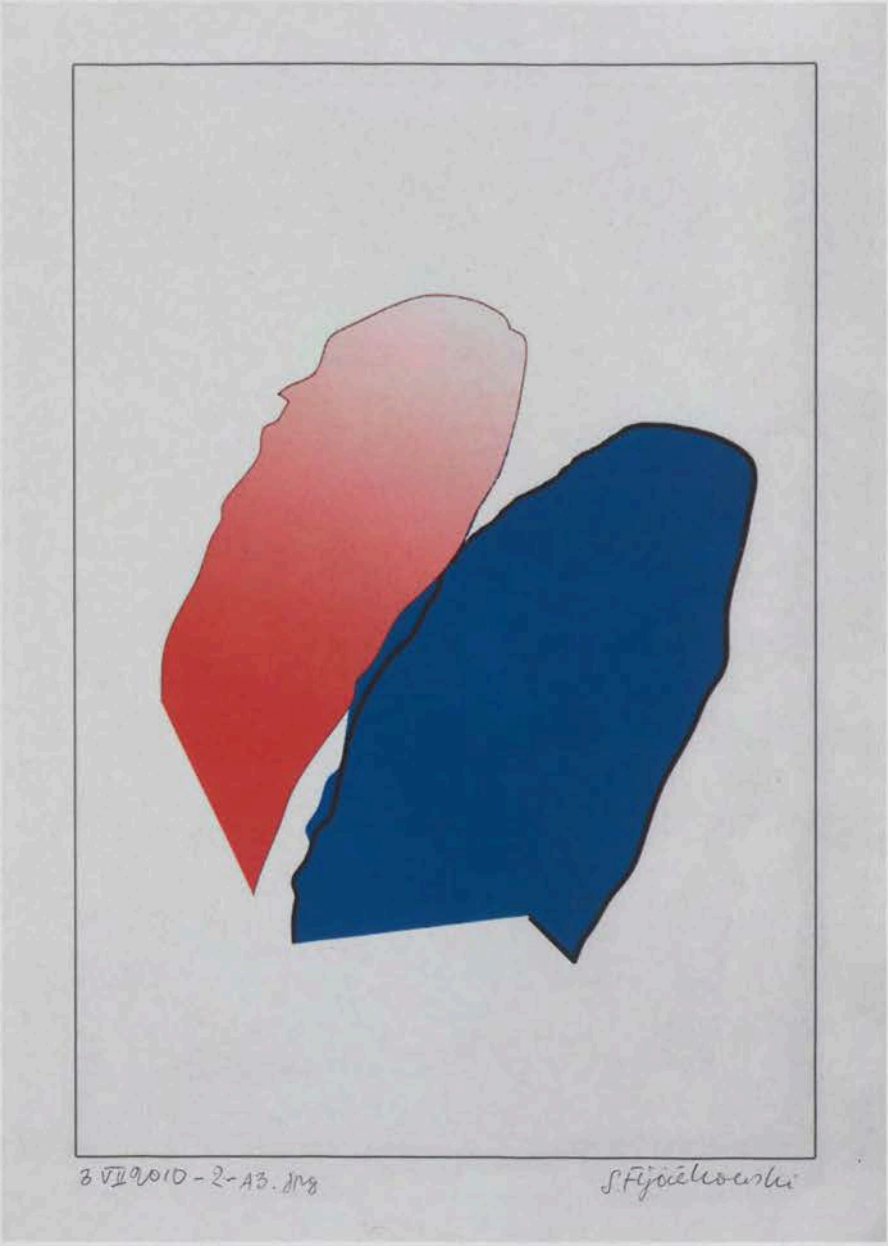

Stanisław Fijałkowski, *3 VII 2012-2*, 2010, druk cyfrowy, papier

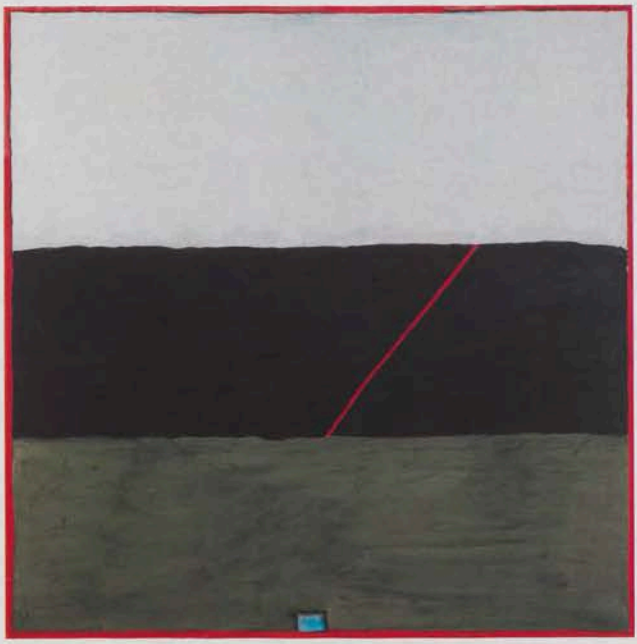

Stanislaw Fijałkowski, *Zupełnie nowa autostrada VI*, 2007, akryl, płótno

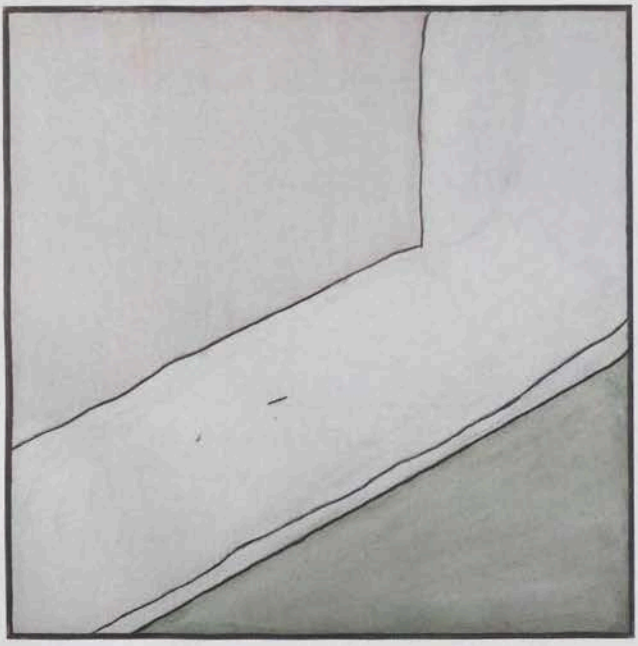

Stanislaw Fijałkowski, *Zupełnie nowa autostrada I*, 2007, akryl, węgiel, płótno

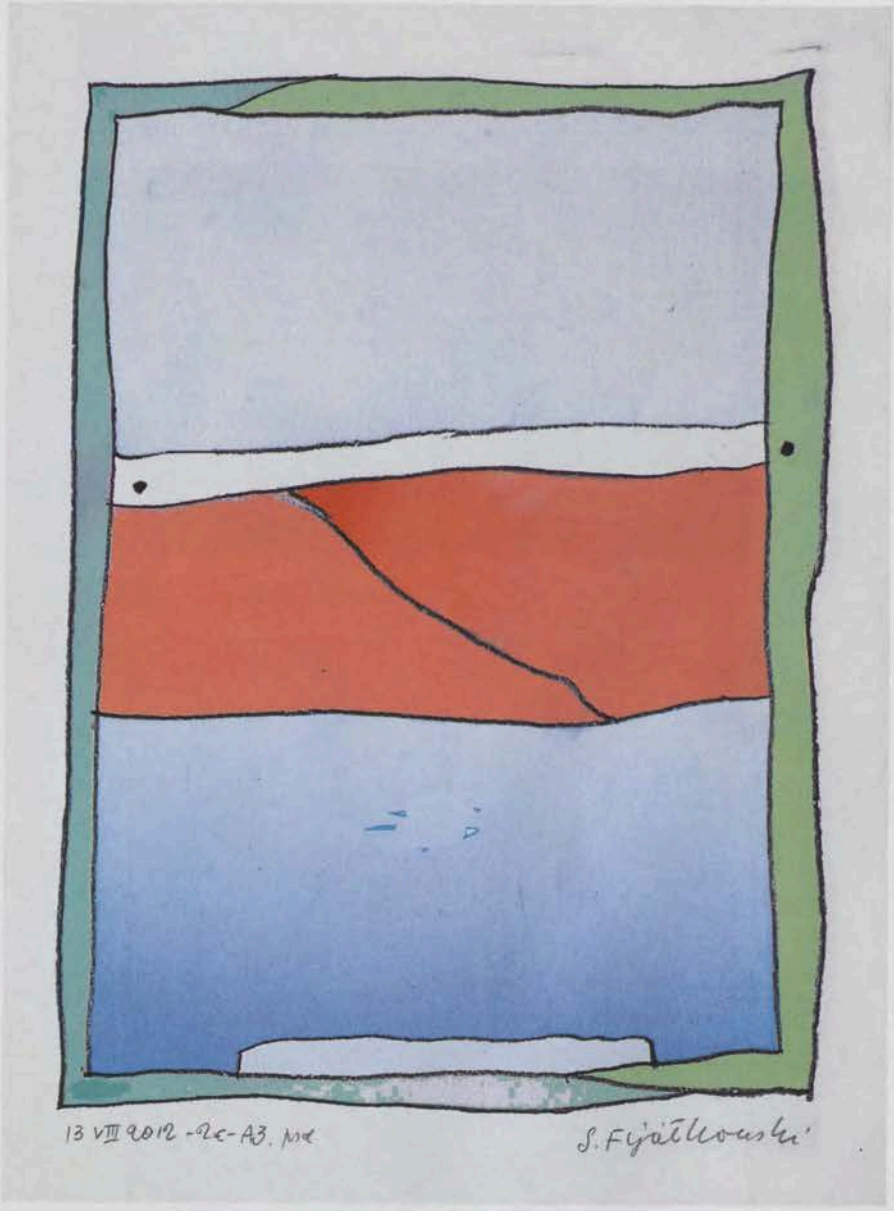

Stanisław Fijałkowski, *13 VIII 2012-2c*, druk cyfrowy, papier

Fot. dzięki uprzejmości Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi

90 lat Stanisława Fijałkowskiego

Między sztuką, życiem i nauką

Stanisław Fijałkowski skończył 90 lat. Urodzony u początków II Rzeczpospolitej, w 1922 roku, na Wołyniu, domowi rodzinnemu i tamtemu krajobrazowi zawdzięcza wrażliwość na muzykę, barwy i kształty oraz – jak sam to nazywa – światło mistyczne, które odkrywa w swoich obrazach. Zdołbunów, Kiwerce, Łuck – mała ojczyzna dzieciństwa i młodości być może pojawia się w aurze niektórych jego prac, ale nigdy chyba nie została nazwana. To świat oddalony nie tylko o przestrzeń historyczną, której nikt nie pokona, ale też świat – w perspektywie niezwykle pracowitego życia artysty – ostatecznie zbędny.

Fijałkowski – malarz, grafik, pedagog, teoretyk sztuki, intelektualista. Jest artystą o niezwykle głębokiej samoświadomości uprawianej sztuki. Wielokrotnie sam się o niej wypowiadał, dokonując rozległych analiz dotyczących filozofii tworzenia, sensów ukrytych w obrazach, istoty metafizyki obecnej w akcie twórczym. Mówił o symbolach i ich wartości w procesie organizacji płaszczyzny płótna lub planszy graficznej, o Władysławie Strzemińskim, którego był uczniem, i o Carlu Gustawie Jungu, szwajcarskim psychologu, którego pisma przyswoił w młodości i uznał, że teoria archetypu ma istotny wpływ na sposób myślenia o dziele sztuki.

Fijałkowski – erudyta, wnikliwy znawca kultury europejskiej, ale i wielu innych, których symbole potrafi nazwać i zanalizować, udowadnia swoją postawą, że lansowany od czasów Renesansu wzór artysty-uczonego *(doctus pictor)* jest możliwy także współcześnie, wbrew coraz bardziej zróżnicowanym specjalizacjom dzielącym profesje na odizolowane od siebie fragmenty umiejętności i wiedzy.

Stanisław Fijałkowski,
fot. dzięki uprzejmości Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi

Fijałkowski – pedagog, którym został, nim uzyskał w 1951 roku dyplom ukończenia Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych (dzisiaj Akademii Sztuk Pięknych im. W. Strzemińskiego). Wieloletni profesor, dziekan Wydziału Grafiki i przez pewien czas prorektor tej uczelni. Wykształcił kilka pokoleń adeptów sztuki, niektórym zaszczepiając pasje rozwiązywania problemów artystycznych w sposób twórczy i odpowiedzialny. Doktor honoris causa swojej macierzystej uczelni.

Fijałkowski – tłumacz. Poświęcił czas, który mógłby wykorzystać na własną twórczość, aby przetłumaczyć z języka niemieckiego dwie bardzo ważne dla rozumienia sztuki abstrakcyjnej książki Wasyla Kandyńskiego, prekursora tej sztuki. Dzięki niemu *Punkt i linia* ukazała się w 1986 roku, a *O duchowości w sztuce* dziesięć lat później. Przetłumaczył także książkę innego ważnego dla zrozumienia sztuki awangardowej XX wieku artysty – Kazimierza Malewicza *Świat bezprzedmiotowy*.

Autorytet Stanisława Fijałkowskiego budowała nie tylko jego sztuka – w zasadzie elitarna i wieloznaczna, choć wizualnie przejrzysta i przez to pozornie prosta. Na autorytet złożyły się także wszystkie inne dokonania tego artysty i erudyty, a przy tym skromnego człowieka. To zaszczyt dla Łodzi, że jest on jej obywatelem.

Warto więc przypomnieć, jak mówi o swojej twórczości, o kulturze, o ludzkich postawach, przyjaźniach artystycznych i o szansach życia w Łodzi – tych wygranych, jak tych i niewykorzystanych.

O Strzemińskim:

> Wyszedłem ze szkoły Strzemińskiego, który nauczył mnie precyzji budowania obrazu, odpowiedzialności za formę i szacunku wobec racjonalnych motywów działalności twórczej. Tym zasadom pozostałem wierny do dziś. Zdałem sobie jednak sprawę, że w sztuce ważne są nie tylko przesłanki racjonalne, wytłumaczalne. Iść dalej w kierunku, który wskazywał Strzemiński niewątpliwie szczytowymi osiągnięciami unizmu, było niepodobna, bo dalej mogło być tylko dalsze lub bliższe powtarzanie. Z okresu moich studiów wiem, że również Strzemiński doceniał wagę pewnych elementów, które nie dają się wyjaśnić, wytłumaczyć, obliczyć. Mój temperament nie narzucał mi jednak sekciarskiego stosunku nawet do tak wielkiego Nauczyciela, jakim był Strzemiński.
>
> [...] Wkrótce jednak zabrakło Strzemińskiego, a ja zrozumiałem, że kontynuowanie tego co robił Strzemiński, po II wojnie światowej, po naszych doświadczeniach, po Holokauście i końcu pewnego świata, nie ma najmniejszego sensu. Trzeba znaleźć własną odpowiedź na rzeczywistość, w której się żyje, nie tracąc możliwie niczego z dorobku sztuki nowoczesnej sprzed wojny – czyli także dorobku Strzemińskiego. Przez kolegów byłem uważany za odstępcę [...] Tej linii nie kontynuowałem, chociaż uważam się za jego ucznia. Dał mi najwięcej na początku mojego życia artystycznego [...]

W tym miejscu szczególnie dla mnie inspirujące okazały się prace Carla Gustawa Junga na temat symboli, mitów, nieświadomości indywidualnej, kolektywnej. Psychoanaliza, której wpływ jest tak bardzo widoczny w twórczości surrealistów, otworzyła przede mną możliwość spotęgowania procesów twórczej wyobraźni.

O Teresie Tyszkiewiczowej:

Na obliczu łódzkiego środowiska zaważyły dwie osobowości: Władysław Strzemiński i Teresa Tyszkiewiczowa. Intelektualista, zaprogramowany racjonalista i intuicjonistka, bardzo wrażliwa na podszepty nieświadomości i nieoczekiwaną nowość. Strzemiński z pamiętnym uśmiechem mówił o niej wyraziście: „intuicjonistka". Brzmiało to jak definitywna ocena, która w naszych oczach pogrążała ją kompletnie. Byłem chyba jedynym w naszej grupie, skupionej wokół mistrza, którego ta ocena do końca nie przekonywała [...]

Jednak w miarę jak poznawałem się z Tyszkiewiczową, coraz bardziej mnie ona interesowała. Wpłynęło na to pewnie i powstanie w Łodzi „Piątego koła", grupy artystycznej, w której byliśmy z Leszkiem Rózgą, Andrzejem Łobodzińskim i jeszcze kilkoma osobami różnej proweniencji – artystami pracującymi głową lub sercem i intuicją [...]

Jestem szczęśliwy, że łączyły mnie bliskie więzi nie tylko ze Strzemińskim, że Teresa Tyszkiewiczowa zaszczyciła mnie swą przyjaźnią [...] Strzemińskiemu i Tyszkiewiczowej zawdzięczam bardzo wiele cennych natchnień, inspiracji intelektualnych i artystycznych [...]

O początkach przygody z malarstwem:

Krótko przed wojną, miałem wtedy 13 lub 14 lat, moja nauczycielka rysunku w łuckim gimnazjum [...] pożyczyła mi swoje olejne farby, tekturkę oraz pędzelki i ustawiwszy martwą naturę z papugą kazała malować. Przypominam też sobie, że i w domu w wołyńskich Kiwercach dużo starszy ode mnie chłopiec z sąsiedztwa, malujący widoczki na ukośnie ściętej brzozie, pokazał mi, jak oszczędnie posługiwać się olejną farbą. Zapamiętałem sobie uwagę, że nie trzeba smarować całego nieba [...] lecz raczej zostawić nań czyste miejsce – łatwiej jest pracować, kiedy farba nie miesza się z leżącą pod spodem. Było to moje pierwsze doświadczenie techniczne, naiwne próby [...]

Początki mojej własnej kariery malarskiej związane są z pejzażami malowanymi na plenerach, martwymi naturami, portretami. Strzemiński powiedział mi kiedyś, że malarz powinien w dziedzinie formy jak najdalej wysforować się do przodu, po czym cofną się i w pogłębiony sposób to doświadczenie powtórzyć [...]

O pracowni:

W roku 1956 otrzymałem prawdziwą pracownię malarską na VIII piętrze nowo wybudowanego domu przy ulicy Zachodniej. Była to w mieście jedna z pierwszych oddanych artystom do użytku i nie bardzo wiem, dlaczego mnie to szczęście spotkało, ponieważ nie miałem żadnych znajomości. Prośbę o przydział pracowni złożyłem dużo wcześniej, kiedy nikt nie przypuszczał, że będą je budować. Napisałem ją dlatego, że oczekiwaliśmy narodzin dziecka, a mieszkaliśmy w jednym sublokatorskim pokoju z kuchnią. Podanie przeleżało w związku plastyków i bez moich specjalnych starań wyciągnięto je z szuflady, kiedy niespodziewanie stało się aktualne. [...] W rok później otrzymaliśmy nieduże mieszkanie (49 m2) w nowo wybudowanym bloku, po przeciwnej stronie tej samej ulicy. To umożliwiło mi przebywanie w niej we wszystkich wolnych od zajęć na uczelni chwilach.

Gdyby nie tak blisko położona pracownia, nie byłbym w stanie tak dużo malować, nie miałbym gdzie trzymać obrazów, zapasów farb i papierów, nie miałbym gdzie postawić drukarskiej prasy ani przechowywać odbitych grafik [...] Starałem się dobrze ją wykorzystać, bo kosztowała sporo i stale drożała. Kiedyś przyciśnięty trudnościami finansowymi złożyłem w miejskim Wydziale Kultury propozycję przyjęcia przez zarząd miasta 12 moich obrazów rocznie w zamian za zwolnienie z czynszu. Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi... Dziś jestem z tego zadowolony [...]

O intuicji:

Moje malarstwo opiera się na intuicji i do ludzkiej intuicji się odwołuje. To zobowiązuje do szczególnej rozwagi, umiaru i ostrożności. Intuicje są bowiem niewymierne – zdając się na nie łatwiej popełnić błąd niż wtedy, kiedy zdajemy się wyłącznie na rozum. Mogą być intuicje dobre i złe; o tym decyduje dopiero końcowy rezultat w skończonym dziele sztuki – kiedy intuicja artysty spotyka się z intuicją odbiorcy. Ale drogi artysty i odbiorcy nie muszą się spotkać koniecznie w tym samym miejscu, bo dziełem wyrosłym na intuicji rządzi wieloznaczność, a rygory wieloznaczności są przecież luźne i pojemne [...]

Lektura Junga stała się dla mnie drogą do zdobycia pewnej świadomości związku pomiędzy naszym racjonalnym myśleniem a intuicją czy też nieświadomością, a także rożnymi typami życia duchowego, które nie dadzą się zbyt łatwo zwerbalizować. Było mi to potrzebne również do tego, żeby zrozumieć na czym polega – także w malarstwie – stałe przebywanie na granicy pomiędzy dwiema przeciwstawnymi sytuacjami [...]

O łódzkiej uczelni plastycznej:

Miałem szczęście trafić do ciekawej szkoły artystycznej. Teraz zdaję sobie sprawę, że w gruncie rzeczy jej program był wynikiem rozlicznych kompromisów pomiędzy postimpresjonistycznym akademizmem a modernizmem. Większość profesorów hołdowała tradycji wywodzącej się z warszawskiej i krakowskiej akademii [...] jednakże na wydziale grafiki, gdzie spore wpływy miał Strzemiński i grupa członków przedwojennego awangardowego Związku Plastyków w Łodzi, program dydaktyczny miał ambicje przeniesienia do Polski koncepcji i doświadczeń sowieckich WCHUTEMAS-ów oraz niemieckiego Bauhausu, swego czasu najbardziej postępowych szkół artystycznych na świecie. Strzemiński i Wegner mieli zresztą także własne doświadczenia pedagogiczne jeszcze sprzed wojny.

Koncepcje dydaktyczne Strzemińskiego i Malewicza w jakimś stopniu opierały się o założenia teoretyczne wypracowane na początku XX wieku przez Henryka Wölflina. Twierdził on, że artysta jest ograniczony przez sytuację historyczną, której nie jest w stanie przekroczyć. [...] Szkoła w Łodzi w swym założeniu miała ściśle współpracować z polskim przemysłem włókienniczym, skoncentrowanym głównie w tym mieście, a jej absolwenci powinni po studiach znaleźć pracę jako projektanci przemysłowi. Była to jedyna w Polsce wyższa szkoła artystyczna otwarcie zorientowana na sztukę przemysłową, jak również na funkcjonalizm [...]

Ten sięgający w przyszłość program stracił swą początkową dynamikę wraz z odejściem Strzemińskiego i Wegnera, z nastaniem socrealizmu. Zwietrzał z upływem czasu i dziś w niczym nie przypomina nowoczesnej koncepcji Strzemińskiego – struktura uczelni stała się anachroniczna także wobec całkowitej zmiany oblicza przemysłowej Łodzi. Z upadkiem dawnej szkoły środowisko zostało pozbawione jednego z ważniejszych źródeł swej duchowości [...]

O studiach:

Ze studiów wyniosłem przekonanie, że dzielenie sztuki na specjalizacje – malarskie, graficzne, projektowe – nie ma większego sensu, źródła inspiracji artystycznej leżą w szeroko pojętym duchowym zaangażowaniu człowieka i jego wierności powołaniu. Cokolwiek zatem będę robił, winieniem być oddany sztuce i ideałom życia prawdziwego, przyzwoitego. Postanowiłem nigdy nie wiązać się z żadną organizacją, żadną partią i żadnym człowiekiem, który by miał na celu zdobycie władzy, zrobienie kariery. Podjąłem też decyzję ograniczenia do minimum zarabiania przy pomocy sztuki użytkowej, prowadzącej do uzależnienia się od cudzych gustów. Wolałem pracę pedagogiczną, marnie płatną, lecz

przynoszącą ogromną satysfakcję moralną, jeżeli traktuje się ją jako służbę ogólnemu dobru i młodemu pokoleniu następców.

O odbiorcy dzieła sztuki:

Odbiorca to niezależny, żywy człowiek wyposażony we własną i – oby to było regułą – nieujarzmioną szablonem i stereotypem wyobraźnię, a ja jako twórca w uruchomieniu żywej, twórczej wyobraźni widzę ważną rolę sztuki. Wyobraźnia jest potrzebna każdemu człowiekowi i wszędzie, w każdej dziedzinie ludzkiego działania, ale nigdzie tak, jak w sztuce wyobraźnia ma szansę wyzwolić się w sposób czysty i nieskrępowany. I w tym chyba, między innymi, realizuje się postulat wolności jednostki ludzkiej, będącej podmiotem czystej wyobraźni. W innych dziedzinach życia potrzebna jest wyobraźnia ukierunkowana na określony wynik, określoną użyteczność. W sztuce musi być ukierunkowana, wystarczy jedynie nadanie jej takiego napięcia i takiego funkcjonowania, ażeby mogły się przy tym wyzwolić własne, najbliższe sobie treści i emocje.

W ten sposób dzieło sztuki staje się dla odbiorcy bodźcem zewnętrznym, uruchamiającym jego autonomiczną wyobraźnię z własnymi niepowtarzalnymi cechami i z własnym wewnętrznym oglądem rzeczywistości. Uruchomienie u widza intensywnego przeżycia poprzez wyobraźnię – z siebie samego, ze swoich osobistych przeżyć, doświadczeń, a nawet kompleksów – to, między innymi, jedno z ważnych zadań, które sobie jako twórca stawiam [...]

O muzyce:

Ciągle jednak wydaje mi się, że gdyby nie wojna, pewnie nie zostałbym malarzem, a być może nie stać by mnie było na jakiekolwiek studia. Gdyby życie od młodości potoczyło się inaczej i miałbym odpowiednie warunki, żeby wybierać, zostałbym kompozytorem. Pamiętam, że byłem wrażliwy na harmonie dźwięków i doskonale przypominam sobie rozśpiewaną wieś wołyńską, gdzie upłynęło moje dzieciństwo – szczególnie melodyjnie, na głosy, śpiewali żniwiarze wracający z pola. Może zatem mógłbym zostać muzykiem, gdybym we właściwym czasie rozpoczął naukę gry na jakimś instrumencie. Gdy wojna skończyła się, byłem już na to za stary, miałem prawie 22 lata. Nie mogąc odbyć studiów muzycznych, nigdy nie przestałem interesować się muzyką jako amator. Próbowałem nawet nauczyć się gry na flecie prostym. Do dziś zdarza mi się, że zasypiając, komponuję w wyobraźni i dobrze słyszę wewnętrznym uchem fragmenty wspaniałych symfonii i koncertów, które wobec braku nowoczesnego warsztatu muzycznego posiadają formę na wskroś romantyczną. Muzyka bardziej przemawia do uczucia, przez co mnie, może naiwnemu, wy-

daje się łatwiejsza od malarstwa posługującego się formą wymagającą większego dystansu do własnych emocji. Myślę też, że muzyka jest w sposób naturalny abstrakcyjna, z wyjątkiem muzyki programowej niczego nie ilustruje – warstwa abstrakcyjna malarstwa nie jest tak oczywista, leży głębiej, trudniej do niej dotrzeć, stale narzucają się jego ilustracyjne możliwości.

O smutnych paradoksach:

Dalsze dramatyczne losy Strzemińskiego, wyrzucenie z uczelni przez komunistów, jego tragiczny koniec – były dla nas przykładem artystycznego bohaterstwa. Kiedy z Antonim Starczewskim odwiedziliśmy go leżącego na łożu śmierci, wiedziałem, że rozmawiam z męczennikiem. Strzemiński zmarł na gruźlicę w jednym ze szpitali na Chojnach mimo prób ratowania go kuracją Rimifonem przysłanym przez Juliana Przybosia, który był jakiś czas ambasadorem w Szwajcarii. [...] Zapytany przeze mnie o samopoczucie i wynik kuracji zrobił ręką gest zrywania więzów z życiem. Rozmawiał z nami o wakacyjnym plenerze i na jego prośbę naszkicowałem na podsuniętej kartce papieru schemat namalowanego przeze mnie pejzażu (obraz ofiarowałem swojej żonie w prezencie ślubnym). Na tej samej kartce, po drugiej stronie, znalazł się jego własny rysunek i ta kartka była przez wiele lat w posiadaniu mego przyjaciela Antoniego Starczewskiego. W kilka dni później byłem na pogrzebie Strzemińskiego. Złożyliśmy się na wydrukowanie klepsydry, a inną wydrukował Stefan Wegner. Stosunki między nim a Strzemińskim były wtedy bardzo napięte, ponieważ Wegner należał do partii i był członkiem szkolnej Egzekutywy, która bez sprzeciwu zaakceptowała usunięcie Strzemińskiego jako formalisty z uczelni, czego zażądał nasz minister Sokorski. Wegner (i inni towarzysze) miał widać nadzieję, iż godząc się na wyrzucenie Strzemińskiego sam uniknie tego losu, w czym bardzo pobłądził. Partia nie doczekała nawet do końca roku akademickiego i parę miesięcy okresu wymówienia Wegner musiał przepracować jako urzędnik magistratu. Wrócił wprawdzie do uczelni zaraz po odwilży 1956 roku, był w niej do swej śmierci w 1965 roku, nie odegrał już jednak roli podobnej do Strzemińskiego. Kilka dni przed śmiercią Strzemińskiego Wegner odwiedził go w szpitalu i powiedział nam, że pogodzili się. Był na pogrzebie [...]

O replikach:

Nie umiem kopiować i nigdy nie starałem się nauczyć tej sztuki. Kiedy zachodziła potrzeba, robiłem repliki moich obrazów. Gdy ktoś chciał kupić obraz, którego wolałem nie sprzedawać, namawiałem go na replikę i przeważnie dochodziło do transakcji. Kiedyś sprzedałem za granicę obraz wcześniej bezskutecznie proponowany w darze łódzkiemu

muzeum – uwarunkowałem to urządzeniem akademii ku czci Strzemińskiego w 25. rocznicę jego śmierci; muzeum nie urządziło akademii, a poniewczasie zdecydowało się go kupić i nie mając już innej możliwości, kupiło replikę. Niektóre obrazy miały większe powodzenie i były replikowane dwa albo i trzy razy. Lubię malować repliki, ponieważ są to prace niejako na zamówienie, a więc przywracające normalną sytuację rynkową, jednocześnie nie krępowany koniecznością kopiowania mogę swobodnie zainicjować autentyczny proces powstawania nowego dzieła [...]

Odszukał, wybrał i opracował:
Gustaw Romanowski

Wybrane cytaty z wypowiedzi, wywiadów i tekstów Stanisława Fijałkowskiego pochodzą z następujących pozycji:

- *Stanisław Fijałkowski*, opracował Gustaw Romanowski, „Osnowa", *Sztuka tworzenia* 1978;
- Stanisław Fijałkowski, *Działania symboliczne. Ze S. Fijałkowskim rozmawia Zbigniew Taranienko*, „Projekt", nr 6/1989;
- Stanisław Fijałkowski, *Lata nauki i warsztat*, opracowanie Janusz K. Głowacki i Grzegorz Musiał, Galeria 86, 2002;
- Zbigniew Taranienko, *Alchemia obrazu. Rozmowy ze Stanisławem Fijałkowskim*, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2012.

łodzianie

Wojciech Słodkowski (1951-2012)
Wojtek
Iwona Śledzińska-Katarasińska
str. 119

Bohdan Mościcki (1922-1985)
Przypomnienie reżysera
Krystyna Krygier
str. 121

Wojciech Słodkowski (1951-2012)

Wojtek

Większość napisałaby – Słodek. Ale ja uświadomiłam sobie, że właściwie nigdy tak się do Niego nie zwracałam. Nie ma więc co zmieniać. Był Wojtkiem i niech tak już zostanie. Trochę mijaliśmy się w latach 1980-1981. „Solidarność z Gdańskiem" – raczej podziemne niż „naziemne" pismo, które współredagował, strzegło, i słusznie, swoich tajemnic, a cała oficjalna brać dziennikarska była dla tamtego środowiska na razie elementem trochę niepewnym. Tak na żywo spotkaliśmy się w Marchlewskim. Już nie pamiętam, czy przy negocjacjach włókniarskich, czy może wcześniej... W każdym razie spotkaliśmy się w Solidarności.

Był – jak oni wszyscy z pokolenia 30-latków działających w Solidarności – niczym ogień i woda. Jak na polonistę i dziennikarza przystało, walczył słowem i głową. Ale w każdej chwili gotów był pójść na barykady. Chociaż KSS KOR, z którym się związał, barykad budować nie chciał.

Potem był stan wojenny. Wpadł w lutym 1982 r., z więzienia wyszedł po półtora roku, zyskując na mocy amnestii skrócenie wyroku o połowę.

Znów się mijaliśmy, choć już dokładnie na tej samej drodze. On – wówczas współpracownik „Biuletynu Łódzkiego", ja – nieco innych na powielaczu odbijanych tytułów, ale znów nas łączyła Solidarność. Tłamszona, deptana i wpędzana do podziemia, ale jak nigdy prawdziwa.

To, że na początku roku 1990 znalazł się w tworzonym od zera zespole łódzkiego oddziału „Gazety Wyborczej", było naturalną koleją losu. Kto jak nie On? Przyznaję – odetchnęłam. Był zawodowcem, ale z tym podziemnym sznytem,

który temu zupełnie nowemu dziennikarstwu był potrzebny jak powietrze. Został sekretarzem redakcji. Właściwie na jego głowie pozostawialiśmy los każdego wydania. Zdążymy – nie zdążymy. Wyjdzie – nie wyjdzie… Bywało różnie, bo „Gazeta Łódzka" (to pierwotny tytuł, który kiedyś udało mi się wytargować u Heleny Łuczywo) to była w pierwszych miesiącach jakaś niewiarygodna partyzantka. No i stało się, co stać się musiało – kosmiczna katastrofa. Materiał pewnego dnia nie dotarł do drukarni. Choć opanowaliśmy sytuację i gazeta się ukazała, Wojtek miał poczucie, że coś musi zmienić. Czas było wydorośleć i porzucić podziemny sznyt. Za to, że wówczas Mu się udało, ceniłam i cenię Go najbardziej.

Zmieniał potem redakcje, by ostatecznie związać się z łódzkim oddziałem Telewizji Polskiej. I jak zwykle gotów był za tę telewizję iść na barykady. Coś o tym wiem. Kiedyś o mało nie zlinczował mnie (słowem – rzecz jasna) na wizji, upominając się o prawo i pieniądze dla publicznego nadawcy. Nie przebierał w słowach, choć z reguły były to słowa cenzuralne. Taki był do końca. Walczył o każdą sprawę, każdego człowieka, każdą ideę, w którą wierzył. Skakał głową w dół, nie sprawdzając, czy woda jest w basenie. Widocznie miał szczęście, bo z reguły była.

Zapalał się, gdy mówił o swoich studentach z Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej. Gdyby Mu do końca wierzyć, to musieli studiować tam sami geniusze. A przynajmniej potencjalni geniusze dziennikarstwa. Skądinąd wiadomo, że miłość była obopólna. Te Jego dzieci – jak mówił – gotowe były pójść za Nim w ogień. Tego nie wymagał. Wystarczyło, by zdradzali podobną Jemu pasję i ciekawość świata.

Wojtek był niewiarygodnie dumny ze swoich synów. Nie było to ojcowskie zaślepienie. On był dumny, że poszli w Jego ślady, że wybrali Jego zawód, że są w tym zawodzie dobrzy.

Co jeszcze można napisać? Chyba nic, bo nie ma słów, które by Go zastąpiły. Wystarczy, że 1 listopada 2013 roku stawimy się tłumnie na Starym Cmentarzu przy ulicy Ogrodowej z puszkami w dłoni, pamiętając, że to On zaraził nas ideą corocznej kwesty na ratowanie zabytków najstarszej łódzkiej nekropolii.

I jeśli można sobie pozwolić na myśl bliską herezji, to właśnie taka przyszła mi do głowy: umarł tak, jak chciał, w biegu, właściwie podczas kwesty…

Iwona Śledzińska-Katarasińska
– dziennikarka,
od 1991 r. posłanka na Sejm RP

Bohdan Mościcki (1922-1985)

Przypomnienie reżysera

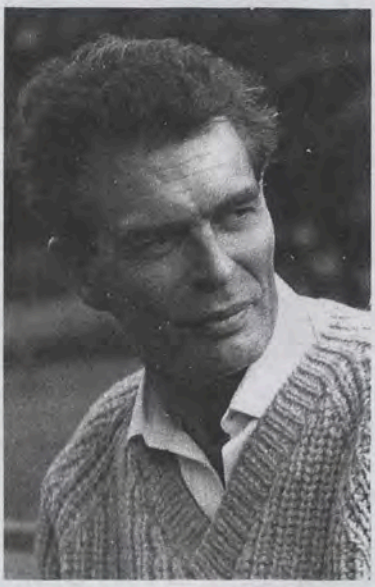

Analizując czasy studiów i wspominając ludzi, których spotkałam w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi w latach 1946-1951, przypomniałam sobie Bohdana Mościckiego, który później został jednym z ważniejszych polskich dokumentalistów filmowych. Wówczas, jak na studenta szkoły artystycznej o niebanalnej także aparycji, wyróżniał się on ogromną skromnością w sposobie bycia. To było raczej nietypowe i zwracało uwagę. W pracowni, gdzie rysowaliśmy i malowaliśmy, sztalugi nasze i kilkorga do dzisiaj bliskich mi przyjaciół stały tuż obok siebie. Powodowała to ciasnota lokalu, ale dzięki temu wymiana zdań na różne tematy była bardzo ułatwiona, a poglądy na sztukę mogliśmy wymieniać na bieżąco. Obserwowaliśmy też, jak przy sztalugach, przy których spędzaliśmy wiele godzin, tworzą się sympatie, powstają zalążki bliskich sobie par.

Z Bohdanem Mościckim sympatyzowała wówczas nasza najpiękniejsza koleżanka z roku, zwana przez nas „Rudą", a ich wzajemne zainteresowanie uważaliśmy za fakt niezwykle udany i naturalny. Ku naszemu rozczarowaniu jednak losy tych dwojga potoczyły się zupełnie inaczej. Natomiast kontakty z Bohdanem, a później i z jego żoną, utrzymywaliśmy również długo po studiach. Osobą wiążącą nas był Władysław Strzemiński, nasz profesor, którego darzyliśmy wielkim podziwem. Był dla nas, młodych ludzi, autorytetem i jednocześnie mentorem i legendą, choć nie zawsze w porę podążaliśmy za jego analitycznymi rozważaniami. Także ówczesne malarstwo Mościckiego było jakby odbiciem jego powściągliwych manier – bardzo spokojne, stonowane w doborze kolorów i trudne do stylistycznego przy-

porządkowania, choćby nawet tylko do jakiegoś trendu znanego nam z historii sztuki. Widać było, że w sztuce plastycznej nie upatrywał jedynej drogi własnego artystycznego rozwoju.

Życiorys Bohdana Mościckiego był niesłychanie barwny, ale nie na czasy lat 40. i 50. XX wieku. Urodził się 13 grudnia 1922 roku w Jałowiczach, w powiecie dubnowskim na Wołyniu. Jego dziadek był rodzonym bratem prezydenta II RP Ignacego Mościckiego, wcześniej znanego uczonego i profesora chemii. Mościccy byli starą rodziną szlachecką, która zasłużyła się na wielu polach działania. Używali herbu Ślepowron.

Szkołę średnią Bohdan ukończył tuż przed drugą wojną światową. W czasie okupacji był żołnierzem AK i nosił pseudonim „Pirat". Uważano go za bardzo odważnego i bojowego, aż do ryzykanctwa. O tej jego niezwykłej postawie bojowej mówi m.in. Antoni Stanek w książce *Gdzie Karpat drogi*. Pod koniec wojny Mościcki – jak wielu partyzantów z Wołynia – został wcielony do jakiegoś oddziału II Armii Ludowego Wojska Polskiego. W potyczce z wrogiem został ranny w nogę; kulał i będąc już na uczelni, leczył się nadal w szpitalu wojskowym. Sam wówczas pisał wspomnienia z czasów walk partyzanckich zatytułowane *Pamiętniki partyzanckie*. Za walkę

w okresie okupacji został odznaczony Krzyżem Walecznych. Po latach otrzymał także Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Z takim życiorysem Mościcki zaczął studiować w PWSSP w Łodzi. Od 1946 roku uczelnia ta, kierowana przez artystę malarza Leona Ormezowskiego, poza tzw. kursem ogólnym posiadała Wydziały Plastyki Przestrzennej oraz Włókienniczy, a w roku następnym przybył Wydział Filmu, Fotografii i Scenografii. Być może program tego ostatniego wydziału wzbudził w Bohdanie chęć uprawiania sztuki filmowej. Po dwóch latach studiów w PWSSP przeniósł się do organizującej się właśnie Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej z siedzibą przy ul. Targowej. Tak się złożyło, że prof. Strzemiński wykładał również w uczelni filmowej, więc wcześniejsze kontakty profesora ze studentem mogły być kontynuowane.

W tym czasie, aż do swej śmierci, która nastąpiła 26 grudnia 1952 roku, Władysław Strzemiński pisał *Teorię widzenia*. Książka ta miała tłumaczyć i uzasadniać, w jaki sposób powstają elementy wizualne składające się na dzieło sztuki plastycznej i sprowadzające się do relatywizmu widzenia. Relatywizmu będącego rezultatem bezpośredniej reakcji wzroku atakowanego światłem (słońcem), prowadzącej do optycznej zmiany kształtu przedmiotu. Problematyka ta była szeroko analizowana na wykładach z historii sztuki w obydwu uczelniach (PWSSP i PWSF). Tu po raz pierwszy jako studenci usłyszeliśmy o tzw. „kluczu kompozycyjnym", wskazującym najważniejsze miejsce w obrazie, a tzw. „powidoki", o których mówił i które realizował jako malarz Strzemiński – upraszczane i często wulgaryzowane przez wielu znawców sztuki – okazywały się wyrafinowaną projekcją koloru i kształtu przeniesioną na płótno. Myślę, że rozmowy Mościckiego ze Strzemińskim na tematy historii sztuki, tak różne od sposobu tradycyjnego uniwersyteckiego przedstawiania tych zagadnień, miały duży wpływ na późniejszą twórczość realizatorską i teoretyczną reżysera.

Miałam okazję zapoznać się z maszynopisem książki Bohdana Mościckiego pt. *Labirynt sztuki*. Poruszone tam zagadnienia dotyczą nie tylko powstawania filmów, ale również bardzo szerokich problemów występujących w sztukach wizualnych. Warto przytoczyć choćby niektóre tytuły z piętnastu rozdziałów składających się na całość książki: *Teoria widzenia i odczuwania, Prowokacja, Złoty podział, Szereg wynalazków perspektywy, Konsonanty w filmie* i *Montaż przedmiotów*. Książka ta nie została dotąd niestety wydana. Myślę, że z dużą szkodą dla teorii filmu i sztuki w ogóle.

Bohdan pisywał też wiele artykułów na tematy warsztatowe filmu. Niektóre z nich opublikowano na łamach „Kamery". Warto zwrócić uwagę na artykuł napisany w 20-lecie pracy reżyserskiej i operatorskiej. Nosi on tytuł *Alchemia sztuki i klucz matematyczny*. Są to głównie wspomnieniowe rozważania z działalności twórczej autora blisko pięćdziesięciu filmów oświatowych i dokumentalnych zrealizowanych od 1950 roku w Wytwórni Filmów Oświatowych przy Kilińskiego 210. W artykule tym Mościcki polemizuje z krytykami filmowymi i naukowcami, analizując ich oceny

i porównując ze stosunkiem przeciętnego widza i tzw. opinii publicznej do twórczości w ogóle. Podważa też sens dominacji fabuły w filmie jako jedynej, najczęściej uznawanej wartości. Polemizuje z wrogami teorii filmu, którzy kwestionują możliwość jej wykorzystania w pracy twórczej filmowca. Mówi dużo o warsztacie filmowym, próbując ująć go w pewne kanony. Artykuł został zilustrowany tablicą schematów pomocnych w komponowaniu obrazu filmowego. Przy okazji w tekście padają tytuły autorskich filmów Mościckiego zrealizowanych w „Oświatówce". Są to: *ABC malarstwa, ABC architektury, Śladami Piastów Śląskich, Album malarstwa polskiego, Wilanów* oraz *U źródeł sztuki plastycznej.* Tytuły filmów świadczą o zainteresowaniach dokumentalisty, a treść artykułu ukazuje problemy realizowania filmów poświęconych twórczości plastycznej. O sztuce prawdziwej pisze tak: „Sztuka to marzenie, świat wyidealizowany, sprawiedliwy i szlachetny, w którym szanuje się nawet przeciwnika i świętokradztwem byłoby poniżanie go, jak to robi zwykle publicysta".

Warto zwrócić uwagę na lapidarne scharakteryzowanie kanonów, które powinien uwzględniać odpowiedzialny dojrzały twórca:

1. Czas przyszły – fabularna fikcja (poważna, groźna, komiczna).
2. Czas przeszły – obiektywna historia, subiektywna, publicystyka.
3. Czas teraźniejszy – obiektywna nauka, subiektywna oświata, obiektywna teoria sztuki, subiektywna, impresja.

Bohdan Mościcki zmarł 31 grudnia 1985 roku. Zostawił po sobie znaczny dorobek twórczy jako scenarzysta, reżyser i autor zdjęć. Ten dorobek to 81 scenariuszy filmów dokumentalnych i oświatowych. Był reżyserem co najmniej 43

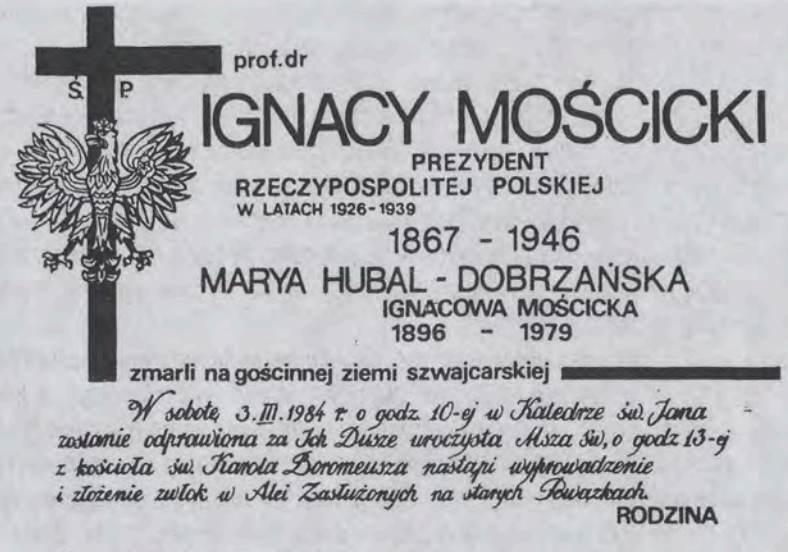
S. P.

prof.dr

IGNACY MOŚCICKI

PREZYDENT
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
W LATACH 1926-1939

1867 - 1946

MARYA HUBAL - DOBRZAŃSKA
IGNACOWA MOŚCICKA
1896 - 1979

zmarli na gościnnej ziemi szwajcarskiej

W sobotę 3.III.1984 r. o godz. 10-ej w Katedrze św. Jana zostanie odprawiona za Ich Dusze uroczysta Msza św., o godz. 13-ej z kościoła św. Karola Boromeusza nastąpi wyprowadzenie i złożenie zwłok w Alei Zasłużonych na starych Powązkach.

RODZINA

Zawiadomienie jest kartą wstępu dla 2 osób

z nich i autorem zdjęć do 32. Znaczna część jego scenariuszy pozostała w maszynopisach albo, co gorsza, uległa już zniszczeniu lub rozproszeniu po śmierci autora i po zmianach organizacyjnych, jakie przeszła w ostatnich dwóch dekadach Wytwórnia Filmów Oświatowych, z którą był związany przez całe twórcze życie. Jego filmów nigdzie już chyba nie zobaczymy. Pozostały gdzieś na półkach ważne obrazy reżysera, ukazujące dzieło i życie polskich twórców tej miary co choćby Józef Chełmoński, Józef Mehoffer, Leon Wyczółkowski czy Władysław Strzemiński. To były filmy o wysokich walorach dydaktycznych. Może gdzieś zachował się jeszcze nakręcony w 1984 roku pacyfistyczny obraz pt. *Tryumf śmierci*, który Mościcki zrealizował wspólnie z żoną Teresą Marcinkowską-Mościcką i który nigdy nie został wyemitowany, np. w telewizji.

Tak właśnie gdzieś na tylnych półkach, w kurzu magazynów ginie dzieło życia niejednego twórcy. Mościcki jest tego przykładem. Trudno uznać, że rekompensatą jest trochę nagród, które otrzymał za swą pracę na kilku festiwalach filmowych. Były to m.in.: Przegląd Filmów o Plastyce – Poznań 1969, VII Przegląd Filmów o Sztuce – Zakopane 74, IV Ogólnopolski Festiwal Filmów Dydaktycznych – Łódź 1977, V Ogólnopolski Festiwal Filmów Dydaktycznych – Łódź 82.

Nie wiem, w jakim stopniu dezaktualizuje się twórczość filmowa. Sądzę jednak, że zarówno dokument, jak i biografia artysty zostają materiałem historycznym przydatnym również w teraźniejszości.

Krystyna Krygier
– architekt, uczennica W. Strzemińskiego

Większość materiałów została mi udostępniona przez żonę Bohdana, Panią Teresę Marcinkowską-Mościcką, za co serdecznie Jej dziękuję (K. Krygier).

recenzje

Kolejna książka o Rumkowskim
Chaim I – Król Zgładzonych
Grzegorz Krzymianowski
str. 129

Był sobie Jazz
Grzegorz Krzymianowski
str. 134

Kolejna książka o Rumkowskim

CHAIM I – KRÓL ZGŁADZONYCH

„Żądają ode mnie, bym własnymi rękami zabijał dzieci mego narodu. Nie pozostaje mi nic innego, jak umrzeć" – napisał Adam Czerniakow, prezes warszawskiego Judenratu, w liście do żony tuż przed samobójczą śmiercią. Po latach Marek Edelman, ostatni przywódca powstania w getcie warszawskim, w tomie rozmów, które przeprowadzili z nim Witold Bereś i Krzysztof Burnetko, ocenił tę decyzję krytycznie: „Śmierć Czerniakowa była nie w porządku – należało umrzeć z fajerwerkiem. Należało umrzeć, wezwawszy przedtem ludzi do walki. On jednak nie powiedział ludziom, dlaczego to robi, i jaki koniec im Niemcy zgotowali".

Przed identycznym dylematem co Czerniakow został postawiony jego łódzki vis-à-vis, Chaim Mordechaj Rumkowski, od którego we wrześniu 1942 r. władze niemieckie zażądały wydania wszystkich dzieci i starców. Przywódca *Litzmannstadt Ghetto* nie poszedł jednak śladami Czerniakowa, wygłosił natomiast swe najbardziej znane i najdramatyczniejsze przemówienie, w którym apelował: „Żądają od nas, abyśmy zrezygnowali z tego, co mamy najlepszego – naszych dzieci i Starszych. [...] W moim wieku, muszę rozłożyć ręce i błagać: Bracia i siostry! Oddajcie mi je! Ojcowie i matki – dajcie mi swoje dzieci!". Wielka Szpera, w której uczestniczyły żydowskie siły porządkowe, zakończyła się wywózką do obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem ponad 15 tys. dzieci poniżej dziesiątego roku życia oraz osób starszych. Dla Edelmana (i dla wielu innych krytyków prezesa łódzkiego getta) stała się dowodem całkowitej moralnej degrengolady Rumkowskiego.

Spory o ocenę działań zarówno tych, którzy stali na czele społeczności żydowskich (bo mowa tu o odrębnych i izolowanych masach, które w miarę upływu czasu miały coraz mniejszą szansę kontaktowania się ze światem zewnętrznym), jak i ogromnej liczby pomniejszych urzędników – pracowników biur sporządzających ewidencje, żydowskich policjantów itp., przybrały na sile zwłaszcza w ostatnim czasie, a to wskutek podniesienia głośnej i bardzo kontrowersyjnej kwestii – roli, jaką sami Żydzi odegrali u boku swych oprawców. Nie jest to wcale problem, który – jak chcieliby krytycy takich poczynań – miałby prowadzić do podzielenia się odpowiedzial-

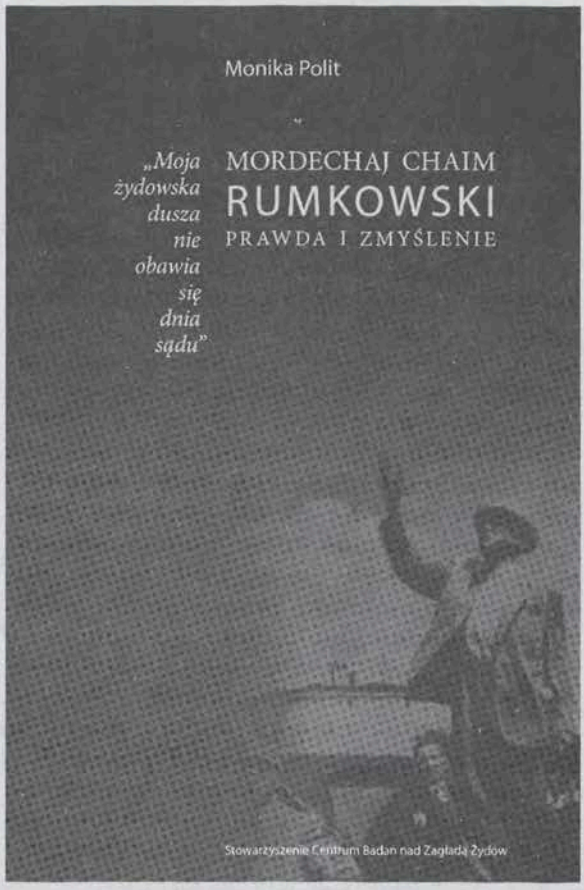

nością z katami za dokonane przez nich zbrodnie. Chyba najlepszym dowodem na to jest fakt, że zajmują się nim również historycy z Izraela. Przykładem może być np. omówiona już w nr 3/59/2012 KMŁ praca *Siódmy milion. Izrael – piętno Zagłady*, w której autor Tom Segev analizuje stosunek Żydów pozaeuropejskich do katastrofy rozgrywającej się na Starym Kontynencie, zarówno wtedy, gdy ta się rozgrywała, jak i już po wojnie, kiedy wysiłek nowo powstałego państwa Izrael skierowany był na wyparcie pamięci o Holocauście.

Chyba najcięższym zarzutem, jakiego używa się wobec żydowskich przywódców oraz posłusznych wykonawców ich zarządzeń, jest teza, że ich działania w dużym stopniu ułatwiły, a nawet po prostu umożliwiły zbrodniarzom przeprowadzenie hekatomby na tak niesłychaną, fabryczną wręcz skalę, że bez „współpracy" administracyjnej i logistycznej ze strony samych Żydów Niemcom nie udałoby się zorganizować równie sprawnego i skutecznego systemu eksterminacji. Jest to kwestia niezwykle dyskusyjna i prawdopodobnie nie do rozstrzygnięcia. Człowiek bowiem nie powi-

nien być stawiany przed nieludzkimi wyborami, które przekraczają ramy jego zdolności rozumowania i moralnej oceny. A taki właśnie był los Żydów przeznaczonych przez nazistów do całkowitego wytępienia. Ludzie ci konfrontowani byli z dylematami, z którymi tradycyjna, czyli skrojona na miarę „normalnych czasów" etyka nie dawała sobie rady. Nic więc dziwnego, że ich decyzje – z perspektywy czasu – wydają się często błędne, naiwne czy po prostu koniunkturalne. Racjonalny dyskurs musi jednak w tym wypadku wziąć pod uwagę całkowicie irracjonalne położenie skazanych na zagładę. Bez tej perspektywy – perspektywy człowieka, który musi zachowywać się nieludzko, by ocalić, a choćby przedłużyć życie swoje lub swojej rodziny – nie może być właściwie mowy o sensownej dyskusji na temat ewentualnej „współodpowiedzialności" ofiar za swój los.

Czarna legenda „króla getta"

Poczynaniom Chaima Mordechaja Rumkowskiego jako prezesa łódzkiego Judenratu, organu nadzorującego działalność getta, szybko, bo jeszcze w czasach pełnienia przezeń tego stanowiska, zaczęła towarzyszyć czarna legenda. „Rumkowski to był obrzydliwy typek. I prawdziwy pomocnik kata" – ocenił prezesa łódzkiego Judenratu cytowany już wcześniej Edelman. Przez wrogów Rumkowski był nazywany Chaimem I, piętnowano jego nieludzką pychę, skłonność do przemocy, a jednym z najcięższych zarzutów były oskarżenia – kolportowane już przed wojną i nigdy autentycznie niezweryfikowane – o pedofilskie skłonności. Zwieńczeniem tego obrazu była opowieść o rzekomych okolicznościach śmierci Prezesa. Wywieziony do Auschwitz ostatnim transportem z łódzkiego getta, miał tam zostać wrzucony żywcem do pieca krematoryjnego przez Żydów z *Sonderkommando*. Historii tej nie potwierdzają jednak żadne źródła, faktycznie bowiem nic nie wiadomo o okolicznościach śmierci Rumkowskiego – oddaje ona jednak poziom nienawiści, którą budził.

Rumkowski nie doczekał się dotychczas solidnej biografii w języku polskim, a jego postać najbardziej znana jest dzięki wizerunkom literackim. To ludzie pióra bowiem, posługując się przy tym różnorodnymi formami wyrazu – od eseju po powieść, przyczynili się w największym stopniu do utrwalenia w powszechnej świadomości obrazu Rumkowskiego jako egocentrycznego, pozbawionego skrupułów potwora, który powstanie łódzkiego getta uznał za szansę na zrobienie kariery. Taki wizerunek Prezesa pierwszy zaprezentował Adolf Rudnicki w napisanym w 1963 r. *Kupcu łódzkim*, a powielił go na przykład Andrzej Bart, który w głośnej *Fabryce muchołapek* z 2008 r. przeprowadził nad Rumkowskim metafizyczny sąd, oraz Steve Sem-Sandberg, podkreślający z kolei pedofilskie skłonności „króla *Litzmannstadt Ghetto*".

„Odkłamywanie" Prezesa

Monika Polit w swojej pracy *Mordechaj Chaim Rumkowski. Prawda i zmyślenie* postanowiła zajrzeć za grubą zasłonę czarnej legendy szefa łódzkiego Judenratu. Jej pracę

trudno byłoby jednak nazwać biografią, choć oczywiście wiele faktów z życia Rumkowskiego prezentuje albo weryfikuje. Zasadniczo autorka skupia się jednak nie tyle na życiu swego bohatera, co jego wizerunku prezentowanym w różnego rodzaju dokumentach – świadectwach, źródłach historycznych, wspomnieniach, a także pracach literackich. Polit dużo wysiłku włożyła w falsyfikację pewnych utartych klisz, które złożyły się na powstanie krytycznego, a często po prostu nienawistnego obrazu Chaima I. Przy czym autorka *Prawdy i zmyślenia* z dystansem odnosi się nie tylko do poglądów wrogów Rumkowskiego, ale – co warte uwagi – weryfikuje również własne opinie, które wygłaszała w przeszłości; kilkakrotnie wspomina o tym, jak z biegiem czasu i wskutek zapoznawania się z nowymi danymi zmieniła się jej ocena działań Prezesa. Można by nawet powiedzieć o zauważalnym w książce tonie pewnej autorskiej sympatii wobec jej bohatera, na pewno zaś próbie potraktowania go z empatią, zrozumienia okoliczności, które skłoniły tego człowieka do takich, a nie innych decyzji.

Posłuszeństwo do śmierci

Z tego między innymi powodu Polit poświęca wiele miejsca przedwojennym losom Prezesa, prezentując jego zaangażowanie społecznikowskie, np. próby stworzenia wzorcowej ochronki dla dzieci. Ów zakład z różnym powodzeniem działał w latach 30. na Helenówku i – przynajmniej teoretycznie – miał być prowadzony wedle wskazówek Janusza Korczaka, słynnego pedagoga, który zrewolucjonizował sposób myślenia o wychowaniu dzieci. W placówce, której szefował Rumkowski, wychowankowie mieli znajdować nie tylko opiekę, ale też uczyć się samodzielności poprzez pracę. Ambicją przyszłego szefa getta było bowiem zorganizowanie w pełni samowystarczalnego zakładu, którego podopieczni sami by się utrzymywali.

Polit podkreśla ten fakt i w nim szuka wytłumaczenia dla późniejszego przekonania Prezesa, że społeczność żydowską ocalić może jedynie całkowite posłuszeństwo wobec niemieckich żądań i wydajna, świetnie zorganizowana produkcja na rzecz okupanta. To temu celowi podporządkowana była cała organizacja getta – miało się ono stać doskonale prosperującą fabryką, w której Żydzi kupują życie za pracę. Owo założenie spotkało się z bezwzględną krytyką nieprzyjaciół Rumkowskiego, faktem jest jednak, że to właśnie z łódzkiego getta ocalało najwięcej osób (około 10 tys.), a nierówności w nim były mniejsze niż w getcie warszawskim, gdzie powszechnej głodowej śmierci towarzyszyło powstawanie małych fortun. Trzeba też pamiętać o pytaniu, jakie zadał Sem-Sandberg w posłowiu do *Biednych ludzi z miasta Łodzi*, szeroko dyskutowanej, wzbudzającej wiele emocji powieści poświęconej *Litzmannstadt Ghetto* – czy ocena Rumkowskiego nie byłaby diametralnie różna, gdyby wybuch Powstania Warszawskiego nie spowodował wstrzymania ofensywy Armii Czerwonej i Niemcy nie mieliby czasu na spokojną likwidację „królestwa Rumkowskiego"?

Polit analizuje, w jaki sposób powstała czarna legenda prezesa łódzkiego Judenratu, udowadniając, że bazuje ona na jednostronnych świadectwach ludzi

pełnych niechęci wobec Rumkowskiego. Autorka krytycznie odnosi się do powielanych w kolejnych pracach kalek myślowych, próbując przeciwstawić im swoją własną wizję i starając się skonstruować nowy, oryginalny i bardziej stonowany portret swego bohatera. W tym celu analizuje źródła, które przetrwały do naszych czasów, listy, petycje czy satyry, których adresatem był Rumkowski, oraz wydawane w getcie „Geto-Cajtung" i „Biuletyn Kroniki Codziennej". Badaczka poświęca też cały rozdział na dokładne omówienie dzieł literackich Rudnickiego, Barta czy Sem-Sandberga. I choć jej perspektywa czytania literatury jest perspektywą historyka, a więc nie bierze pod uwagę autonomii dzieła literackiego i skupia się jedynie na nieścisłościach historycznych, tym niemniej wysiłek podjęty przez autorkę skłania na spojrzenia na te książki w sposób krytyczny.

Mimo tych walorów pracą Moniki Polit mogą poczuć się rozczarowani wszyscy, którzy spodziewaliby się, że *Prawda i zmyślenie* okaże się pierwszą wydaną w Polsce biografią Rumkowskiego lub chociaż postara się odpowiedzieć na pytanie, kim był ten człowiek, za którym ciągnie się odium nienawiści. Autorka nie tylko nie odpowiada na to pytanie, ale nawet go nie stawia, zadowalając się prezentacją dostępnych jej źródeł przedstawiających postać Prezesa. „Chciałam – tłumaczy Polit swoje zamierzenia – by z tego zestawienia zaświadczonych biograficznych danych i różnorodnych gatunkowo literackich świadectw wyłoniła się postać, o której możemy z jakąś dozą pewności orzekać, że kształtowały ją takie, a nie inny wydarzenia, idee i instytucje". Ostatecznie jednak Polit dochodzi do wniosku dość pospolitego – że historia Prezesa „trudno wpasowuje się w ramy i umyka jednoznaczności ocen". Dlatego do tajemnicy Rumkowskiego *Prawda i zmyślenie* niestety nas nie zbliża.

Grzegorz Krzymianowski
– pisarz, publicysta

Monika Polit, *Mordechaj Chaim Rumkowski. Prawda i zmyślenie*, Stowarzyszenie Centrum Badań nad Zagładą Żydów, Warszawa 2012.

Był sobie Jazz

Przełom lat 40. i 50. to w powojennej historii Polski okres chyba najmroczniejszy, kiedy komunistyczne władze, po skutecznym usunięciu politycznej opozycji, importują ustrojowe wzorce z Moskwy. W kulturze nie dzieje się wcale lepiej niż w innych dziedzinach życia; od 1949 roku zaczyna się kilkuletnia noc socrealizmu, a komunistyczny zamordyzm również w sztuce uchwala się stosownymi edyktami – twórczość artystyczna ma wspomagać wysiłki „ludu pracującego", a wszelkie objawy indywidualizmu traktowane są w najlepszym razie podejrzliwie.

Ale poza zadekretowanym życiem artystycznym istnieje również egzystencja mniej oficjalna lub wprost nieoficjalna, jej drugi obieg, który niewiele ma wspólnego z propagandowymi kalkami. Jedną z dziedzin, w których margines wolności pozostawał stosunkowo szeroki, była muzyka rozrywkowa, dlatego i jej usiłowano przypinać ideologiczne łatki, nieufnie traktując zwłaszcza produkty pochodzące zza Oceanu. Najbardziej podejrzany zaś okazał się jazz, produkt typowo burżuazyjny, który w latach stalinowskich tygodnik „Po prostu" oskarżał o bezideowość i bezduszność. Radość, energia i spontaniczność tej muzyki były dla komunistycznych władz ideologicznie nie do przyjęcia. Nic więc dziwnego, że na odbywającym się w 1948 roku IV Walnym Zgromadzeniu Związku Muzyków Polskich jeden z prelegentów wygłosił mało może sensowną, ale za to doskonale oddającą ducha czasów tyradę: „Jazz to przede wszystkim muzyka zdehumanizowana, tj. taka, która świadomie budowana jako abstrakcja, nie zawiera warstwy wyrazu jako czegoś organicznego, nie stara się o ten wyraz, jest emocjonalna".

Jazz w kilkuletnim okresie polskiego stalinizmu nie był tylko muzyką; symbolizował raczej stosunek do rzeczywistości, był – jak to celnie określił Leopold Tyrmand w *Dzienniku 1954* – „stylem duchowym". W *U brzegów jazzu*, książce poświęconej gatunkowi muzycznemu, którego Tyrmand stał się pierwszym ambasadorem, pisarz zauważył: „Zagadnienie rozlewa się szeroko, obejmuje obszar ogromny, omywa różne dziedziny współczesnej kultury, wiąże się nierozerwalnie z codziennością". W przaśnej, szaro-burej, układanej pod socrealistyczny szablon Polsce Ludowej, ale także później, już po październikowej „odwilży", jazz był bowiem gestem kontestacji, marginesem wolności dla tych wszystkich, którzy tęsknie wyglądali za szczelną granicę oddzielającą socjalistyczną rzeczywistość od jej zachodniego odpowiednika.

W wydanej przez Fundację Wytwórnia książce *To był jazz* Andrzej „Idon" Wojciechowski wraca do tego okresu, przedstawiając warunki, w jakich powstawał i początkowo funkcjonował ruch jazzowy w Polsce. Trudno byłoby znaleźć

świadka bardziej kompetentnego, jako że właśnie Wojciechowski w latach 50. należał do współtwórców grupy Melomani, pierwszego zespołu jazzowego w Polsce, który mimo niespełna dekady działalności dorobił się statusu legendy. Nie jest przypadkiem, że Melomani powstali właśnie w Łodzi. Tuż po wojnie nasze miasto odgrywało bowiem rolę szczególną – z racji bliskości zdewastowanej stolicy i faktu, że ominęły je wojenne zniszczenia, ściągnęła tu cała plejada przyszłych gwiazd. „Łódź była przez te lata rzeczywistą stolicą kultury polskiej" – odnotowuje Wojciechowski.

W roku 1945 działalność wznowił polski oddział YMCA; była to międzynarodowa organizacja, która na fundamencie wartości chrześcijańskich propagowała harmonijny rozwój młodzieży, zarówno duchowy, jak i fizyczny. W Polsce powojennej, która coraz szczelniej domykała swe granice, stała się jednak nade wszystko enklawą wolności, miejscem, w którym można było choćby „dotknąć" zachodniego stylu życia. W Łodzi organizacja swoją siedzibę miała w gmachu przy ul. Moniuszki 4. Tam też odbywały się wieczorki taneczne, na których występowali na przykład Adolf Dymsza, Irena Kwiatkowska czy Stefania Grodzieńska, i tam powstał Klub Melomanów, w którego posiadaniu znalazła się kolekcja amerykańskich płyt. Ani YMCA, ani płyty nie przetrwały niestety długo – działalność organizacji została zawieszona po tym, jak uznano ją za „narzędzie burżuazyjno-faszystowskiego wychowania, popierane przez zagranicznych mocodawców i sanacyjne czynniki rządzące", kolekcja zaś została rozbita młotkiem (!) przez gorliwego komisarza partyjnego, który postanowił uchronić młodzież przed płynącą z tej muzyki nieprawością . Zapobiegliwość urzędnika została wprawdzie odnotowana przez historię, ostatecznie wszak nie zapobiegła powstaniu na przełomie 1950/51 roku Melomanów, założonych przez grupkę młodych muzyków amatorów.

Historia zespołu ściśle wiąże się z łódzką Filmówką, ponieważ jego twórcami byli między innymi studenci tej szkoły, **Witold Sobociński**, operator filmowy, autor zdjęć choćby do *Sanatorium pod klepsydrą* czy *Ziemi obiecanej*, i **Jerzy „Duduś" Matuszkiewicz**, który skomponował muzykę do *Janosika* i *Stawki większej niż życie.* Perkusistą zespołu był zaś plastyk **Antoni Studziński** – późniejszy projektant akcji promocyjnej wyrobów łódzkiej „Wifamy". Pierwotny skład uzupełniali **Andrzej Trzaskowski** – kompozytor i w latach 70. dyrektor Orkiestry Polskiego Radia, **Witold Kujawski** i **Andrzej „Idon" Wojciechowski**, dziennikarz i autor *To był jazz.*

Związki między Melomanami a filmem przyniosły zresztą trwałe efekty, ponieważ zespołowi – i początkom ruchu jazzowego w Polsce – poświęcono kilka filmów. Pierwszym z nich był nakręcony na fali październikowej „odwilży" dokument Andrzeja Brzozowskiego *Rozmowy jazzowe*, prezentujący młodą scenę jazzową w Polsce. Na nakręcenie dłuższej fabuły inspirowanej funkcjonowaniem grupy zdecydował się też Andrzej Wajda; jego świetni *Niewinni czarodzieje* to jednak nie tyle historia Melomanów, co kwintesencja atmosfery, którą współtworzyła muzyka jazzowa w Polsce – charakterystycznego połączenia witalizmu i melancholii, klimatów rodem z egzystencjalizmu i młodzieńczej potrzeby użycia. Hołdem dla Melomanów był jednak przede wszystkim nakręcony w 1981 roku film Feliksa Falka *Był jazz* (co bardzo cha-

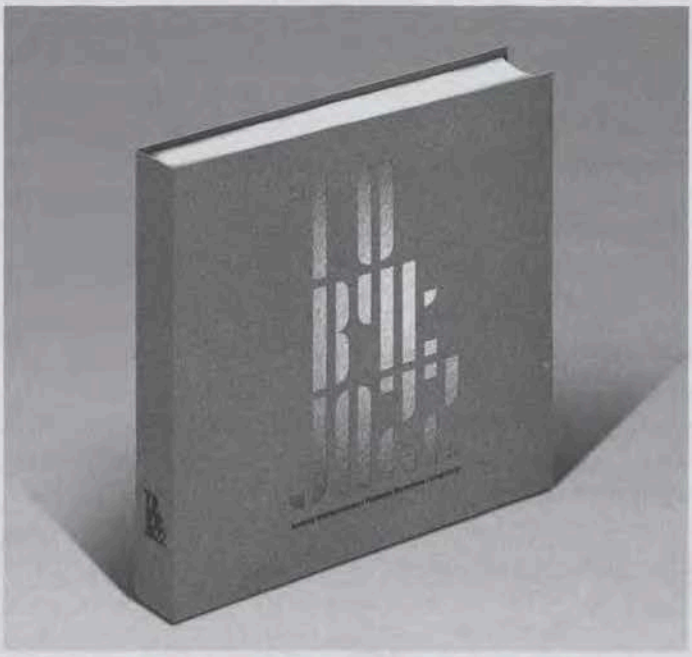

rakterystyczne, po wprowadzeniu stanu wojennego obraz został zakazany i na kilka lat stał się tak zwanym „półkownikiem").

Mimo że Melomanów tworzyli muzycy amatorzy, błyskawicznie zdobyli dużą popularność. Dla swych rówieśników – i nie tylko rówieśników – nie byli przecież tylko grupą muzyczną, ale nade wszystko symbolem stosunku do socjalistycznej rzeczywistości, czego potwierdzeniem jest uwaga Wojciechowskiego: „Muzyka jazzowa w Łodzi to temat, nad którym powinni zastanowić się socjologowie, a może nawet politologowie". Stefan Kisielewski zaś wspominał: „to było nawet na początku wcale nie muzyczne, lecz jakieś syntetyczne, jednocześnie ideowe i nastrojowe, psychologiczne i intelektualne zarazem odprężenie i podniecenie". Melomani grali w knajpach i w prywatnych mieszkaniach, a dzięki przychylności władz Szkoły Filmowej także na balach odbywających się w jej budynku (to właśnie w sali projekcyjnej Filmówki odbył się pierwszy koncert jazzowy w Łodzi), balach, które z racji ekscesów z udziałem członków zespołu przeszły zresztą do legendy.

Ekscentryczne obyczaje były jedną z cech całej formacji, która z jazzu uczyniła sobie znak rozpoznawczy. Wzorem dla młodych kontestatorów był Leopold Tyrmand, który miał w zwyczaju nosić się w sposób nieprzystający obywatelowi socjalistycznego państwa. Do legendy przeszły przede wszystkim najsłynniejsze w historii Polski skarpety, którymi autor *Złego* wprost epatował, skarpety w czerwono-zielono-pomarańczowo-czarne paski, które – o paradoksie! – pochodziły z Moskwy. Wprawdzie na zdjęciach muzycy tworzący Melomanów wyglądają – zwłaszcza z obec-

nej perspektywy – na świetnie ułożonych chłopców, którzy właśnie udają się na imieniny do bardzo konserwatywnej ciotki, ale i oni wyróżniali się mocno na tle garderobianej mizerii tamtych lat. Wojciechowski wspomina o żółtych szalikach, które nosili, tłumacząc jednak ten fakt nie tyle buntowniczym zacięciem członków zespołu, co przyczynami ekonomicznymi: „Nosiliśmy żółte szaliki, ponieważ w sklepie były najtańsze. Jaki robotnik ubrałby się w żółty szalik do pracy? W sklepach było ich pełno".

To był jazz nie ma charakteru monografii zespołu, który zapoczątkował jazzowy boom w Polsce; to raczej zbiór barwnych anegdot, przyczynek do historii zespołu, a także rodzaj wprowadzenia w epokę. Lata 50. ukazane są w tej publikacji ze specyficznej perspektywy – brak tu komunistycznej represji, jest za to barwny świat grupy młodych ludzi, którzy starają się ignorować fakt, że rzeczywistość nie przystaje do ich marzeń. To opowieść o zdobywaniu wolności w realiach, które z wolnością nie mają nic wspólnego. I portret pewnej zbiorowości, która „przy dźwiękach jazzu granego w oparach alkoholu i dymu tytoniowego" daje wyraz swej indywidualności. Tłem dla tej historii są owiane legendą łódzkie lokale: Honoratka, miejsce spotkań filmowców, aktorów i tzw. prywatnej inicjatywy, czy restauracja Halka na Moniuszki, gdzie po zamknięciu lokalu odbywały się nieoficjalne *jam session*, na które ściągali ludzie z całej Polski. Książka Wojciechowskiego to więc przede wszystkim ciekawe kompendium spisywanych z pamięci anegdot połączonych z wypowiedziami ludzi, którzy byli świadkami i współuczestnikami początków jazzu w powojennej Polsce.

Trochę więc szkoda, że *To był jazz* jest wydawnictwem wybitnie niszowym, okolicznościowym i zapewne niedługo stanie się na rynku księgarskim „białym krukiem". Jeszcze bardziej zaś szkoda, że przy całej edytorskiej staranności, z jaką książkę wydano, nie została ona solidniej dopracowana – sporo tu bowiem stylistycznych niezgrabności („A jednak oryginalność, jaką byli nasyceni poszczególni członkowie Melomanów spowodowała, iż zespół, będący w swoim najlepszym czasie rozwojowym [...]") czy po prostu błędów interpunkcyjnych (uważny czytelnik zauważy jeden z nich w cytowanym powyżej zdaniu).

Mimo tych usterek zwłaszcza fanom rodzimego jazzu książka Wojciechowskiego powinna przypaść do gustu. Melomani, jak sami członkowie zespołu przyznawali, nie byli muzycznymi wirtuozami (choć trzeba też pamiętać, że mieli na koncie współpracę z Krzysztofem Komedą), ale ich wpływ na polską scenę muzyczną okazał się nieporównywalnie większy niż całego zastępu bardziej biegłych wykonawców – stali się bowiem, być może nawet wbrew swym intencjom, a na pewno nie do końca świadomie, jednym z symboli buntu przeciw epoce, w której komunistyczna doktryna starała się zapanować nad rzeczywistością na sposób totalny.

Grzegorz Krzymianowski
– pisarz, publicysta

Andrzej „Idon" Wojciechowski, *To był jazz*, Fundacja Wytwórni, Łódź 2012.

recenzje

osiedla, domy, ulice...

Ulica Wróblewskiego
Od Landego do Castoramy
Dariusz Kędzierski
str. 141

Dawny Park Kolejowy
Andrzej Jankowski
str. 155

Ulica Wróblewskiego

Od Landego do Castoramy

Dokładnie pełna nazwa tej ulicy brzmi – ulica Generała Walerego Antoniego Wróblewskiego. Dla przypomnienia: Walery Wróblewski urodził się w 1836 roku na Wileńszczyźnie. W 1857 roku jako chorąży w Korpusie Leśnym został mianowany zastępcą kierownika szkoły leśnej w Sokółce, w 1861 roku został zaś jej kierownikiem, jednocześnie awansując na stopień podporucznika. W czasie powstania styczniowego mianowany do stopnia pułkownika został naczelnikiem województwa grodzieńskiego. Ranny w jednej z potyczek przedostał się do Francji. Po wybuchu rewolucji w 1871 roku przyłączył się do komunardów. Mianowany do stopnia generała został dowódcą III Armii. Po klęsce powstania przedostał się do Londynu. Po amnestii dla komunardów wrócił do Francji. W 1895 roku wstąpił do Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich (od 1900 roku odział PPS). Zmarł w 1908 roku. Pochowany został na paryskim cmentarzu Pèrè-Lachaise. W kondukcie pogrzebowym odprowadzało go 5 tys. osób.

Ruiny fabryki Danzingera

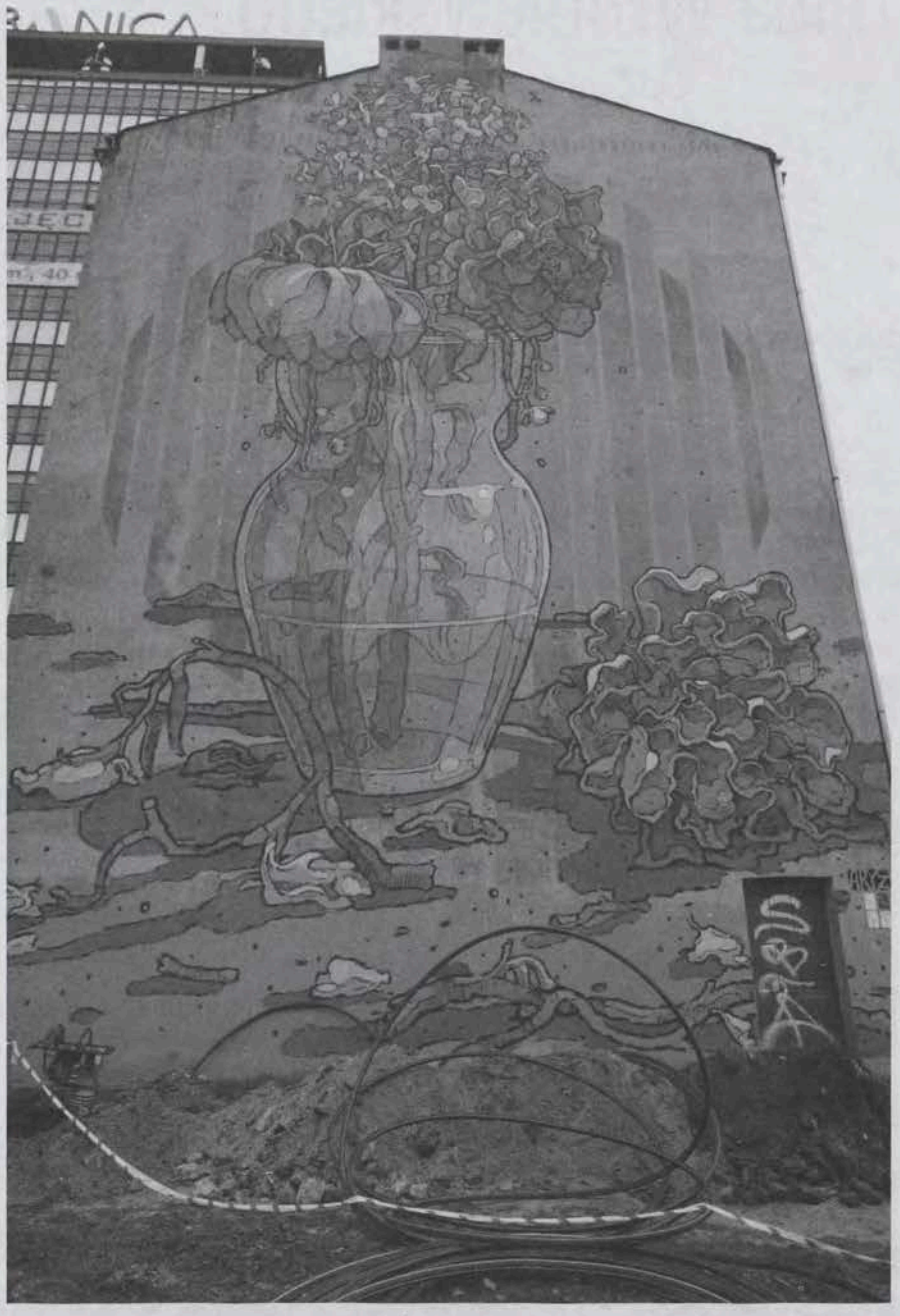

Najpierw był wodny młyn

Zanim patronem tej ulicy został generał Wróblewski – a był to rok 1951 – przez wiele lat była ona ulicą Kątną. Nazwę swą wzięła od osady Kąty, która wchodziła w skład wsi Wólka. Rozległe rolnicze tereny Wólki przeznaczono na potrzeby nowo tworzonej osady rękodzielniczej Łódka. W pierwszej kolejności zasiedlaniu podlegały tereny leżące pomiędzy ulicami Piotrkowską i Wólczańską, obszar otaczający Kątną natomiast przeznaczono na wypas bydła. Ale nie tylko, znajdowały się tu bowiem bogate złoża torfu, który był eksploatowany na opał i do napędu pierwszych maszyn parowych, w tym maszyn fabryki przemysłowca Ludwika Geyera.

W 1826 roku Kąty stały się własnością Marcina Lamusa, który otrzymał te tereny w zamian za przekazaną miastu osadę młyńską Lamus, w południowej części obecnej ulicy Targowej, gdzie miasto planowało stworzyć posiadło wodno-fabryczne. W następnych latach Kąty podzielono na cztery części, które z kolei kilkakrotnie zmieniały właścicieli.

Zabudowa ulicy Kątnej była więc tylko kwestią czasu. Ze względu na obfitość występujących tu wód był to atrakcyjny obszar pod budowę nowych fabryk. Pierwszy tym miejscem zainteresował się Dawid Lande, kupiec z Kalisza, który już wcześniej prowadził w Łodzi skład przędzy, ale nosił się również z zamiarem wybudowania fabryki. Lande miał jednak kłopot, ponieważ był pochodzenia żydowskiego, a w tamtym czasie Żydom nie wolno było osiedlać się w nowo zakładanych osadach przemysłowych. Dlatego wcześniej musiał ubiegać się o specjalne pozwolenie, które uzyskał, aby móc zamieszkać poza rewirem przeznaczonym dla ludności żydowskiej.

str. 3 | Ruiny fabryki Danzingera

Wełna, bawełna

W 1846 roku Dawid Lande kupił na samym początku ulicy Kątnej trzymorgową działkę, na której wystawił dwupiętrowy budynek przędzalni, skład bawełny i dom mieszkalny. Fabrykę zasilała maszyna parowa o mocy 30 KM, początkowo opalana drewnem, a następnie wydobywanym nieopodal torfem. Była to druga pod względem wielkości, po Geyerowskiej, przędzalnia w Łodzi.

Niestety, kryzys bawełniany z 1861 roku, spowodowany wojną secesyjną w Ameryce, zmusił właściciela fabryki do zatrzymania produkcji. Po ponownym jej uruchomieniu zakład nie przynosił spodziewanych zysków i w 1863 roku ogłoszono bankructwo. Zakłady przeszły w ręce fabrykanta E. Lochsteina, który z kolei w 1878 roku sprzedał fabrykę Karolowi Scheiblerowi za 80 tys. rubli. W budynku tym Scheibler urządził szwalnię na 840 krosien. Zarówno mieszczącą się tu poprzednio szwalnię, jak i Scheiblerowską przędzalnię potocznie nazywano „Tivoli", prawdopodobnie od ogródka piwnego i ogrodu spacerowego, który wcześniej znajdował się w tym miejscu.

W latach 70. ubiegłego wieku ten stary budynek był wykorzystywany jako magazyn farb, lakierów i wyrobów z tworzyw sztucznych przedsiębiorstwa „Chemia". W 1984 wybuchł w tym miejscu pożar, spłonęły drewniane belki stropów, a to, co zostało, nadawało się już tylko do rozbiórki. Obecnie w tym miejscu znajduje się niezabudowany plac. Na samym rogu z ulicą Wólczańską zachowały się jeszcze dwa domy familijne, w okresie międzywojennym mieściła się tu Kasa Chorych, a po wojnie swoje siedziby miały tu różne instytucje związane z opieką społeczną.

Po przeciwnej stronie ulicy, przy Urzędzie Skarbowym, znajduje się teren, na którym farbiarnię wełny otworzył Karl Gottlieb Sänger, kolejnym właścicielem był Salomon Danziger, który uruchomił tu przędzalnię bawełny, a po nim Stanisław Landau i Karol Weile, którzy uruchomili tam przędzalnię wełny zgrzebnej. Od 1913 roku zakład funkcjonował jako spółka akcyjna, cały teren fabryki obejmował dwa hektary. Spółka zatrudniała 500 robotników, a w fabryce ustawionych było 23 tys. wrzecion cienkoprzędnych.

Obecnie prywatny inwestor, który jest właścicielem tego terenu, ma w planach wybudowanie w tym miejscu osiedla mieszkalnego. Architektonicznie budynki mają nawiązywać do łódzkiego modernizmu, czyli do budynków, które powstawały w naszym mieście w okresie międzywojennym. Trudno powiedzieć, kiedy inwestycja ruszy, gdyż była zapowiadana już dwa lata temu.

Była „Fonica"

Idąc dalej, natkniemy się na budynki kiedyś bardzo znanych Łódzkich Zakładów Radiowych „Fonica". Ale zanim zawisł tu szyld z wdzięcznie brzmiącą nazwą „Fonica", najpierw w 1945 roku powstała Łódzka Fabryka Państwowych Zakładów Radio i Teletechnicznych, która jako filia zakładów w Warszawie zajmowała się produkcją telefonów. Trzy lata później, w 1948 roku, zakłady się usamodzielniły i oprócz telefonów rozpoczęły produkcję części do odbiorników radiowych.

W 1954 roku wyprodukowano tu pierwsze gramofony i od tej pory gramofony oraz sprzęt elektroakustyczny powoli stawały się najważniejszym produk-

tem zakładów – w 1957 roku wyroby te stanowiły 40 proc. ogółu produkcji. W tym samym roku przekazano produkcję telefonów do Radomskich Zakładów Telefonicznych, rozpoczęto natomiast wytwarzanie specjalistycznych urządzeń radioakustycznych oraz podzespołów do telewizorów na potrzeby Warszawskich Zakładów Telewizyjnych. W 1958 roku zakład zmienił nazwę na Łódzkie Zakłady Radiowe, aby dwa lata później dorzucić nazwę „Fonica", pod którą funkcjonował już do końca, wprowadzając na rynek kolejne swoje produkty. Między innymi tu wytwarzane były szafy grające eksportowane np. do Finlandii.

W następnych latach zakup licencji od Telefunkena i Thompsona na gramofony i wzmacniacze tranzystorowe znacznie podniósł poziom technologiczny firmy i umożliwił dalsze rozwijanie własnych pomysłów. Wkrótce wyprodukowano pierwsze gramofony klasy Hi-Fi oraz podjęto produkcję własnych wkładek magnetycznych na licencji holenderskiej firmy Tenorel. Zakłady, które zatrudniały ponad tysiąc pracowników, sukcesywnie zwiększały produkcję, która w najlepszych latach wynosiła ponad 300 tys. gramofonów rocznie. Niestety, w 1989 roku nastąpiło dramatyczne załamanie rynków zbytu, a produkcja spadła do tysiąca gramofonów rocznie i dwa lata później, w 1991 roku, zakłady postawiono w stan likwidacji.

Zakłady kupiły firmy z Korei, produkowano tu między innymi zabawki i wyroby biurowe, ale był to już wyraźny regres tego przedsiębiorstwa. Trwał też permanentny spór pracodawców z zakładową Solidarnością, co doprowadziło do zamknięcia i ostatecznej likwidacji zakładów w 2002 roku.

Zbliżamy się do al. Politechniki. Tu, po przeciwnej stronie ulicy, wyłaniają się okazałe kominy i kotły wodne. Rok 1955 to początek budowy Elektrocie-

płowni 2. Pierwsza elektrownia powstała bowiem w Łodzi w 1907 roku przy ulicy Targowej, a rozbudowujące się miasto potrzebowało coraz więcej ciepła i pary technologicznej. Stąd konieczność wybudowania nowej, znacznie większej elektrociepłowni.

Elektrociepłownia

W 1957 roku powstał Zakład Sieci Cieplnej Łódź, a w 1960 roku zarówno EC1, jak i EC2 zostały połączone w Zespół Elektrociepłowni. W 1961 roku w EC2 działało sześć turbozespołów i osiem kotłów, w latach 1972-75 oddano do użytku kotły wodne opalane mazutem.

W 1993 roku Zespół Elektrowni został przekształcony w jednoosobową Spółkę Skarbu Państwa, a w 2005 roku 85 proc. akcji Spółki kupiła spółka Dalkia Polska, pozostałe 15 proc. akcji objęli byli i aktualni pracownicy.

Niestety, los EC2 został przesądzony. Rozpoczął się już proces likwidacji zakładu. Zarząd uznał, że dalsze inwestowanie w zakład jest już ekonomicznie nierentowne, podjęto decyzje o całkowitym zaprzestaniu produkcji do marca 2015 roku.

Funkcję EC2 – głównie chodzi tu o zaopatrzenie w ciepło i parę mieszkańców oraz zakłady Retkini i Karolewa – przejmą EC3 oraz EC4. Oczywiście będzie się to łączyło z koniecznością wybudowania dodatkowych magistrali przesyłowych. Tak więc po EC1 z krajobrazu Łodzi zniknie kolejna elektrociepłownia.

Naprzeciwko EC2, po drugiej stronie ulicy Wróblewskiego, znajdują się tereny, które kiedyś należały do rodziny Hoffrichterów. Reinhardt Hoffrichter był właścicielem drewnianego domu przy Piotrkowskiej 202, gdzie od 1840 roku miał

str. 7 Skrzyżowanie ul. Wróblewskiego i al. Politechniki, widok na EC2

warsztat tkacki – w 1875 roku jego mała tkalnia wyposażona była w jedenaście krosien. Z szesnaściorga dzieci Reinhardta, z których połowa zmarła, firmę przejął syn Karol i to on rozwinął przedsiębiorstwo. W 1893 roku kupił tereny przy ulicy Kątnej 15. W krótkim czasie powstała tu samowystarczalna fabryka z pełnym cyklem produkcyjnym, od surowej bawełny w belach do sztuk materiału. Powstały magazyn bawełny, szarparnia, przędzalnia cienkoprzędna, odpadkowa, tkalnia, bielnik, draparnia, farbiarnia, drukarnia, laboratoria, warsztaty pomocnicze, garaże, wozownia.

W fabryce zamontowanych było 21 tys. wrzecion cienkoprzędnych, a na tkalni 460 krosien. Z maszyn schodziły tkaniny farbowane, bielone, płótna krawieckie, surówka tapicerska i techniczna. Firma miała swoje odziały w Bydgoszczy, Krakowie, Lwowie i Warszawie. Zakłady zatrudniały ponad tysiąc osób, a Hoffrichter zaliczany był do czołówki łódzkich przemysłowców. W czasie okupacji fabrykę przejęli Niemcy i pod nazwą Textilwerke Karl Hoffrichter AG uruchomili produkcję na potrzeby wojska.

Tuż obok fabryki Hoffrichtera, przy ulicy Rembielińskiego, powstały zakłady Gampe i Albrecht. W latach 60. XIX wieku Ludwik Albrecht uruchomił warsztat tkacki przy Piotrkowskiej 204. W 1875 roku produkował tkaniny bawełniane na szesnastu krosnach. Trzy lata później zawiązał spółkę z Józefem Gampe, który w 1850 roku założył małą ręczną drukarnię przy Piotrkowskiej 208. Przed założeniem spółki Gampe stał się właścicielem terenu pod budowę fabryki przy ul. Rembielińskiego.

W 1913 roku powstała spółka pod nazwą Manufaktura Bawełniana Gampe i Albrecht S.A. w Łodzi. Po zakończeniu drugiej wojny światowej nowa władza postanowiła znacjonalizować i połączyć zakłady Gampe i Albrechta z zakładami Hof-

frichtera, tworząc w ten sposób Państwowe Zakłady Przemysłu Bawełnianego nr 6, a następnie Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. S Kunickiego „Maltex".

Część terenów należących do Hoffrichtera, na których była łąka i na których miała powstać willa fabrykanta, po wojnie przeznaczono na miasteczko akademickie i szeroką jezdnię. Obecnie na ponad trzyhektarowej działce po nieistniejących już zakładach Maltex ma powstać nowoczesna galeria handlowa. Cały kompleks ma mieć w sumie 150 tys. m^2.

Fabryka „Starych Francuzów"

Idźmy dalej ulicą Wróblewskiego. Pod numerem 19 znajdowała się tu fabryka powstała na bazie kapitału francuskiego, popularnie zwana przez łodzian fabryką „Starych Francuzów". Faktycznie były to zakłady Allart Leon i Rousseau Spółka Akcyjna Generalna Kompania Przemysłu Przędzalniczego Towarzystwo Anonimowe. Siedziba dyrekcji znajdowała się w Roubaix we Francji. Swoje odziały zakłady miały w Lyonie (Francja) i Bukareszcie (Rumunia). W Polsce zakłady powstały w 1877 roku, na działalność Francuzi przeznaczyli kapitał w wysokości 2 mln 800 tys. rubli i była to bardzo dobra inwestycja. W latach 80. XIX wieku zakłady przy Kątnej dawały 60-80 proc. zysków całego przedsiębiorstwa. W zakładach pracowało 56 tys. wrzecion czesankowych, funkcjonowały w nich drukarnia, farbiarnia, wykończalnia, skręcalnia oraz pralnia. Fabryka była najważniejsza, ale na rozległych terenach zakupionych przez Leona Allarta po obu stronach ulicy Kątnej powstało jeszcze szereg innych obiektów.

Tuż przy zakładach wybudowano cały zespół domów familijnych dla pracowników. Po przeciwnej stronie ulicy Kątnej natomiast wybudowany został

pałacyk dla właściciela fabryki i jest to niewątpliwie jedyny wyróżniający się pod względem architektonicznym budynek na ulicy Wróblewskiego. Dalej, pod numerami 40 i 42, stanęły dwa domy przeznaczone głównie dla zagranicznego personelu administracyjno-technicznego. Budynki otaczał ogród, od ulicy odgradzał je natomiast parkan. Dalej, pod numerami od 44 do 50, stanęły domy dla majstrów i wykwalifikowanych robotników. Były to cztery piętrowe budynki zbudowane na planie prostokąta, na każdej kondygnacji znajdowały się cztery mieszkania. Budynki niczym szczególnym się nie wyróżniały, pozbawione wystroju miały natomiast jedną dosyć szczególną cechę – powtarzający się charakterystyczny układ zdwojonych, wąskich wejść. Żadne inne budynki w mieście nie posiadały takiego rozwiązania, bardzo podobne budynki występują natomiast we Francji i w Belgii. Można zatem założyć, że Allart przeniósł na łódzki grunt standardy stosowane przy budowie domów robotniczych w jego ojczyźnie. W ten sposób powstał zespół fabryczno-mieszkalny, gdzie nie zabrakło również szkoły przyzakładowej oraz ambulatorium, czynny był również sklep.

W czasie okupacji w murach fabryki uruchomiono filę zakładów BMW i produkowano sprzęt wojskowy. Po wojnie powstały tu Państwowe Zakłady Przemysłu Wełnianego nr 4, a od 1952 roku Zakłady Przemysłu Wełnianego im. Gwardii Ludowej, następnie zaś Przędzalnia Czesankowa „Polmerino".

Obecnie na około dziesięciohektarowej działce firma Realty Polska i hiszpańska firma Urbanica, planują wybudowanie ogromnego kompleksu mieszkalnego na około 2 tys. mieszkań. Pierwszy okazały budynek przy samej ulicy już powstał i jest zasiedlany.

Stacja Łódź Karolew

Po pokonaniu skrzyżowania z al. Jana Pawła II oraz minięciu marketów Kaufland i Castorama staniemy przed szerokim, wielotorowym przejazdem kolejowym. Pod koniec XIX wieku rozpoczęły się prace przy budowie kolei obwodowej; chodziło głównie o usprawnienie ruchu towarowego oraz łatwiejsze doprowadzenie bocznic do kluczowych łódzkich zakładów. Kolej obwodowa była dwutorowa, tor wewnętrzny był normalny, zewnętrzny natomiast szeroki, dostosowany do szerokości obowiązującej w carskim imperium. Kolej obwodowa przebiegała przez grunty wsi Zarzew, Dąbrowa, Chojny, Rokicie. Główną stację towarową urządzono na gruntach wsi Zarzew i Karolew – obecnie jest to Łódź Kaliska Towarowa, o czym przypomina napis na budynku, po lewej stronie od ulicy Wróblewskiego. Po prawej stronie natomiast, między rogatkami, w plątaninie torów dostrzeżemy wąską, wyłożoną bazaltową kostką uliczkę. Gdy spojrzymy dokąd ta usytuowana w tak nietypowym miejscu uliczka prowadzi, w pewnym oddaleniu dostrzeżemy zaniedbany budynek. To budynek nieczynnej stacji Łódź Karolew. Budynek stacyjny postawiono w sposób charakterystyczny dla dwóch szerokości torów – wyspowo; po stronie zachodniej znajdowała się grupa torów szerokich, a po wschodniej, normalnych. Sam dworzec wzniesiono z czerwonej cegły, w podobny sposób powstały obiekty towarzyszące, szalet i budynki mieszkalne, dziś już nieistniejące.

Znikające tramwaje

Przechadzając się ulicą Wróblewskiego, nie sposób nie zwrócić uwagi na nawierzchnię tej ulicy. Jest to zarówno bruk, jak i asfalt, a także fragmenty torów tramwajowych. Młodsi łodzianie domyślą się zapewne, że kiedyś po tej ulicy kursował tramwaj – i rzeczywiście tak było. W listopadzie 1928 roku, za prezydentury Bronisława Ziemięckiego, oddano do użytku nowe linie tramwajowe, w tym linię na ulicy Kątnej – od ulicy Wólczańskiej aż do ulicy Proletariackiej, która nosiła wcześniej nazwę Hrabiowska. Ze względu na szczupłość miejsca na krańcówce przy Hrabiowskiej-Proletriackiej nie było klasycznej pętli, lecz najpierw mijanka, a potem trójkąt, który umożliwiał zawracanie. Pierwszym tramwajem, który obsługiwał tę linię, była 14-tka, która dalej jechała Piotrkowską, a swoją drugą krańcówkę miała przy Bałuckim Rynku.

Ostatecznie linia tramwajowa biegnąca ulicą Wróblewskiego na odcinku od Wólczańskiej do al. Politechniki została zamknięta w 2008 roku. Na odcinku od al. Politechniki do ulicy Proletariackiej natomiast jeszcze wcześniej, bo już w roku 1983.

Dariusz Kędzierski
– publicysta, filmowiec

Bibliografia:

1. Jerczyński M., Roszak T., *Szlakiem łódzkiej kolei*, Piątek Trzynastego, Łódź 2003.
2. Skrzydło L., *Rody fabrykanckie*. Cz.2., Oficyna Bibliofilów, Łódź 2000.
3. Jaskólski M., *Stare fabryki Łodzi*, Towarzystwo Opieki nad Zabytkami oddział w Łodzi ZORA, Łódź 1995.
4. Baranowski B., Fijałek J. – red., *Łódź, dzieje miasta*, PWN 1980.
5. Bonisławski R., Podolska J., *Spacerownik łódzki*, Biblioteka Gazety Wyborczej 2008.
6. Pawlak W., *Patrząc na starą fotografię*, Wydawnictwo Łódzkie 1981.
7. Kowalski W., *Leksykon łódzkich fabryk*, Wydawnictwo Literatura, Łódź 1999.
8. http://pl.wikipedia.org/wiki/Walery_Antoni_Wr%C3%B3blewski.
9. http://sazan7.strefa.pl/modernistyczne+kamienice+przy+wroblewskiego.html.
10. http://pl.wikipedia.org/wiki/%C5%81%C3%B3dzkie_Zak%C5%82ady_Radiowe_Fonica.
11. http://pl.wikipedia.org/wiki/Dalkia_%C5%81%C3%B3d%C5%BA.
12. http://mkmlodz.webd.pl/kalendarium/kalendarium19211930.htm.

Fot. Hanna Zubrzycka-Kolińska (BIiKS)

Dawny Park Kolejowy

Dawny Park Kolejowy zwany obecnie parkiem im. Stanisława Moniuszki jest niewielką śródmiejską oazą zieleni. Otoczony ulicami Jana Kilińskiego, Gabriela Narutowicza, Polskiej Organizacji Wojskowej i Składową bardziej może się kojarzyć z dużym, zadrzewionym skwerem. Dla łodzian jest najczęściej parkiem przechodnim, a nieduża powierzchnia, dwa-trzy hektary, sprawia, że droga zajmuje nie więcej niż dziesięć minut. Warto tu dodać, że przed wojną z powodu powojennego poszerzenia ulic Narutowicza i Kilińskiego park był nieznacznie większy.

Park ma obrys zbliżony do prostokąta. Centrum, do którego schodzą się alejki, to okrągły kwietnik. Po dwóch jego stronach, na osi północ-południe są dwa prostokątne partery kwiatowe. Na północnym, wśród kwiatów, na postumencie stoi popiersie Stanisława Moniuszki. Całość ujęta jest dwoma szpalerami niskich drzew. Dalej rosną starsze duże drzewa i skupiny krzewów. Dzięki temu centrum parku jest jasne, słoneczne, a stojące tu liczne ławki zachęcają do odpoczynku. Wzdłuż alejek rosną jesiony, klony zwyczajne, jeden klon polny, dwa dęby szypułkowe i jeden czerwony, lipy krymskie i szerokolistne, graby, robinie akacjowe, kasztanowce, świerk, topola, a nawet jabłoń. Wśród krzewów znajdziemy natomiast suchodrzewy, czarny bez, jaśminowce, tawuły i inne.

Jakub Mowszowicz napisał, że park powstał w czerwcu 1874 roku. Wcześniejsza publikacja pt.: *Księga Pamiątkowa Dziesięciolecia Samorządu Miasta Łodzi 1919-1929* wskazuje datę 1877, co potwierdził też Oskar Kossmann, i ta data wydaje się pewniejsza. W każdym razie był to drugi po ·ródliskach publiczny park Łodzi. Projektantem był architekt miejski Hilary Majewski, a wykonawcą ogrodnik Giernot. Warto tu jeszcze dodać, że park powstał z resztówki lasu rządowego Karkoszka.

Park Kolejowy zwany był też Aleksandrowskim od stojącej w zachodniej jego części cerkwi pod wezwaniem św. Aleksandra Newskiego. Powstała ona w latach 1880-1884 według projektu wspomnianego już Hilarego Majewskiego. Na jej tyłach stoi nieduży zrujnowany budynek. Przed wojną mieściła się tu „Kropla Mleka", a po wojnie, w latach 60., nieduży bar mleczny i sklep nabiałowy. Arnold Mostowicz wspominał jeszcze nazwę w języku jidysz – Koligurtn.

Mimo swojego centralnego położenia park w początkach swojego istnienia nie był ani dobrze zaprojektowany, ani należycie zadbany. Dlatego w późniejszych latach kilkakrotnie go przebudowywano i uzupełniano. Pierwsze raz już w 1897

roku. Przy alejkach ustawiono wtedy 80 ławek, usunięto suche drzewa i dosadzono 250 ozdobnych. Drugi raz w roku 1900. Całość wtedy uporządkowano, zwiększono ilość ławek, urządzono nowe klomby i kwietniki, a wszystkie aleje i ścieżki wysypano... miałem węglowym, później zastąpionym żużlem.

Wspominany już wcześniej profesor Mowszowicz pisał, że cały teren parku ogrodzono wtedy żelaznym parkanem na podmurówce. Ale i ta wiadomość wydaje się nieścisła. Prawdopodobnie takim parkanem otoczono tylko część parku, od strony ul. Widzewskiej (dziś Kilińskiego). Świadczy o tym notatka z 1912 roku z łódzkiego „Rozwoju", w której czytamy m.in.: „Ogród miejski zw. Kolejowym, przy ul. Dzielnej, szpeci nadzwyczaj ulicę tę starym, drewnianym parkanem [...]. Czas [...], aby dla nadania więcej estetycznego wyglądu ulicy Dzielnej, miasto zdobyło się na postawienie parkanu takiego, jakim jest oparkaniony ten ogród od strony cerkwi".

Do tych prac przystąpiono wiosną 1914 roku. Przy okazji postanowiono zmienić i upiększyć sam park. Ówczesny starszy ogrodnik miejski, Julian Grądzki, całość robót wycenił na 17,295 rubli i 32 kop., a w razie posadzenia nowych drzew iglastych koszt miał wynieść równo 20 tys. rubli. Parkan wyceniono na 22 tys. rubli i wkrótce rozpoczęto jego budowę. Kopanie fundamentów ukończono na początku czerwca 1914 roku. Nie udało się ustalić, kiedy zakończono tę budowę. Wiadomo tylko, że w początkach lat 20. cały park był już otoczony „parkanem z żelaznych sztachet, osadzonych na cementowej podmurówce".

Jak z powyższego wynika, ogrodzenie było typowe dla tego typu realizacji. Ozdobne żelazne pręty łączone w prostokątne panele stały na podmurówce wzmocnionej boniowanymi słupami, zamkniętymi od góry gzymsami.

W roku 1916 park ponownie przebudowano, znów według projektu Juliana Grądzkiego. Usunięto część drzew liściastych, zastępując je iglastymi. Trawniki ozdobiono kwiatami, a w zachodniej części urządzono duży plac zabaw i „schron przeciwdeszczowy".

Wygląd parku w początkach lat 20. XX wieku możemy sobie wyobrazić na podstawie opisu wspomnianego już wcześniej Arnolda Mostowicza. Wspominał on, że obok parkanu, wzdłuż ul. Składowej, biegła szeroka alejka, a tuż za parkanem stały domy. „Zieleń w Koligurtn była mało atrakcyjna, przysypana stale szarym pyłem nie tylko z powodu bliskości dworca, ale i dlatego, że alejki ogrodu pokrywała skruszona szlaka."

W 1922 roku pojawił się pomysł wybudowania tu teatru. Powołano więc Komitet Budowy Teatru Miejskiego przy Magistracie miasta Łodzi. Projekt sporządził arch. prof. Czesław Przybylski, a budową miał kierować Dawid Lande.

Projekt zakładał wzniesienie budynku nieco przypominającego Teatr Wielki w Warszawie, który miał zająć środek i południe parku. W związku z tym domy wzdłuż ul. Składowej miały być zburzone. Fasada wychodziłaby na ul. Narutowicza. W środku miały być dwie sale sceniczne, wielka na 1450 osób i kameralna na 550

osób. Główne wejście poprzez kasy i szatnie prowadziłoby do wielkiej sali, a do sali kameralnej boczne, od ul. Skwerowej. Wzdłuż ul. Składowej miał stanąć długi budynek z zapleczem technicznym, salami prób i garderobami dla artystów. Na parterze wielkiej sali mogło zasiąść ponad 500 osób, a w otaczających go lożach – 75. Na pierwszym piętrze zaplanowano17 lóż, a wśród nich eleganckie loże, reprezentacyjną i miejska. Wyżej, na galerii, której kształt miał przypominać klasyczny amfiteatr, zaplanowano ok. 720 miejsc, z podziałem na dwie kategorie cenowe. Scena miała być duża, z zastosowanym systemem szufladkowym. Ciekawostką był pomysł zastąpienia tradycyjnego foyer… palarnią, która miała się znaleźć na całej długości frontu, na pierwszym piętrze budynku. Natomiast rolę foyer miały przejąć korytarze otaczające parter widowni.

Początek prac zaplanowano na sierpień 1924 roku, ale ich nie rozpoczęto. Przyczyną był fakt, że Ministerstwo Robót Publicznych w Warszawie plany teatru zatwierdziło 3 lutego 1925 r. Dlaczego dopiero wtedy? Dlatego, że złożono je w Ministerstwie dopiero 19 listopada 1924 roku.

Aby zdobyć fundusze, ówczesny Wydział Podatkowy, na polecenie Magistratu, opracował projekt dodatkowego 5-procentowego podatku, doliczanego do wszystkich opłat komunalnych i pobieranego od podatków odprowadzanych do kasy państwa. Podatek „teatralny" miał obowiązywać od 1 lipca 1925 roku do 30 czerwca 1929 roku.

Mając tak zabezpieczone finanse, zaczęto gromadzić materiały budowlane. Wykupiono też nieruchomość leżącą przy zbiegu ulic Skwerowej i Składowej (pozostałe parcele między parkiem a ul. Składową są zabudowane do dziś, a stojące tam kamienice zostaną zburzone w związku z budową nowego dworca Łódź Fabryczna). Ale prace szły opornie. Jesienią 1926 roku firma W. Kussak wykopała w parku studnię, a właściwe prace rozpoczęto dopiero w lipcu 1927 roku. Komitet Budowy Teatru ogłosił wtedy przetarg na roboty ziemne, czyli na splantowanie terenu, wykopanie dołu pod fundamenty i wywózkę wykopanej ziemi. Park zamknięto, doły wykopano i… prace wstrzymano aż do sierpnia 1929 roku, kiedy to „wobec niemożności przystąpienia w najbliższych latach do budowy gmachu teatralnego" park po prostu uporządkowano. Urządzono w nim m.in. „miejski plac gier i zabaw dla dzieci". Co ciekawe, taki plac powstał tu już wcześniej, o czym świadczy notatka z 1927 r., w której czytamy: „urządzono boisko dla dzieci, na przestrzeni 100 x 150 mtr.". W czasie prac budowlanych boisko zapewne zlikwidowano, ponieważ trudno wyobrazić sobie sytuację, w której Magistrat zgadza się na istnienie „miejskiego placu gier i zabaw" w sąsiedztwie głębokich wykopów. W każdym razie w parku urządzono boisko, które zimą zamieniano na lodowisko. Ślizgawka była czynna od godz. 13.00 do zmierzchu, a miasto zatrudniło nawet instruktora czuwającego nad bezpieczeństwem bawiących się tu dzieci.

Park po niewykonanej inwestycji wymagał naprawy. Pierwsze prowizoryczne porządki zrobiono już wiosną 1930 roku, a rok później przystąpiono do większej przebudowy według projektu Stefana Rogowicza. Prace rozpoczęto w trzeciej

dekadzie kwietnia 1931 roku. Usunięto część drzew, m.in. robinii, a na ich miejsce posadzono nowe, rzadsze gatunki. W centrum założono dwa partery kwiatowe, które upiększono dużą palmą bananową. Uporządkowano też plac zabaw i obsadzono go drzewami. Teren, na którym miał stanąć teatr, przyłączono do parku, zbudowano kiosk-mleczarnię (na tyłach cerkwi) oraz budki dla dozorców. Pojawił się też pomysł likwidacji ogrodzenia i oświetlenia całego terenu w celu włączenia go w kompleks skwerów i zieleńców projektowanej wtedy dzielnicy Przydworcowej. Miała ona objąć obszar między ulicami Sienkiewicza, Narutowicza, Wierzbową i Przejazd (dziś Tuwima). Planowano zbudować tu gmachy Urzędu Wojewódzkiego, Sądu Okręgowego, teatru, nowego dworca kolejowego oraz Domu Marszałka Piłsudskiego. Ostatecznie wzniesiono jedynie Dom Marszałka. Jest to dzisiejszy Łódzki Dom Kultury.

W 1933 roku, ok. 20 sierpnia, skończono rozbierać stary, masywny parkan. Rok później cały teren oświetlono 40 lampami. Od tego czasu park nie uległ już większym zmianom.

Warto jeszcze się zastanowić, gdzie urządzano place dla dzieci. Pierwsza wzmianka o boisku pojawia się przy okazji przebudowy parku w 1916 roku (patrz s. 2). Wtedy był on w zachodnim krańcu, czyli w okolicach ul. Kilińskiego, która wtedy była węższa niż dzisiaj. Czy mógł być to narożnik ulic Kilińskiego i Składowej? Wydaje się, że nie, ponieważ teren między parkiem a ul. Składową był zabudowany kamienicami. Pozostaje więc narożnik ulic Kilińskiego i Narutowicza. Teren był ogrodzony i nie sąsiadował bezpośrednio z żadnymi budynkami mieszkalnymi, więc boisko, czy też plac gier i zabaw, mogło być właśnie tam. Natomiast w 1932 roku przeniesiono go za cerkiew. Dziś jest tam wyasfaltowany placyk otoczony drzewami i krzewami, z niedużą abstrakcyjną rzeźbą, metalowym stolikiem z ławeczką i ruiną kiosku „Kropli mleka", za którą stoi majestatyczna cerkiew św. Aleksandra.

W czasie okupacji nazwę parku zmieniono na Bahnhofspark, otaczających go ulic zaś na Schlageterstrasse (Narutowicza), Braunauer Strasse (POW), Lagerstrasse (Składowa) i Buschlinie (Kilińskiego). Dostępny był tylko dla Niemców. Po wojnie wrócono do nazw przedwojennych, z wyjątkiem ulicy POW, która zaczęła nosić imię Armii Ludowej.

Na początku lat 50. XX wieku zaplanowano wyburzenie kamienic stojących przy ulicy Składowej. Zachowało się nawet pismo datowane na 20 lutego 1951 roku zaświadczające, że oba budynki mają być wyburzone dla powiększenia parku, ale wtedy do tego nie doszło. Za to 9 czerwca tego roku w dawnym kiosku „Kropli Mleka" zaczęto sprzedawać mleko, kefir i lody. Sześć lat później park podłączono do miejskiej sieci wodociągowej.

Ale najważniejszym powojennym wydarzeniem było odsłonięcie popiersia Stanisława Moniuszki i nadanie parkowi imienia kompozytora. Otóż 18 września 1963 roku rozpoczęto budowę fundamentów pomnika. Nazwę Park im. Stanisława Moniuszki nadano w sobotę, 27 września, a dzień później, o godz. 11.00, uroczy-

ście odsłonięto popiersie kompozytora. Autorami byli łódzcy artyści rzeźbiarze Elwira i Jerzy Mazurczykowie, a odsłonięcia dokonał Roman Kaczmarek, przewodniczący Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi. Popiersie jest odlane w brązie. Stoi na prostopadłościennym granitowym cokole z napisem w trzech rzędach: „STANISŁAWOWI MONIUSZCE / ŁODZIANIE / 1963".

Początkowo pomnik stał frontem do parku, ale po protestach łodzian w 1975 roku odwrócono go frontem do ulicy Narutowicza. Warto tu jeszcze dodać, że budowa została sfinansowana ze składek mieszkańców.

W parku jest jeszcze druga rzeźba. Wspominana wyżej, nieduża, niepozorna, stojąca wśród zieleni na tyłach cerkwi. Łódzki rzeźbiarz Andrzej Jocz przypuszcza, że autorem mógł być Stefan Wegner (1901-1965). Stoi więc co najmniej od pierwszej połowy lat 60. XX wieku. Ma organiczną, płynną formę. Wykonana jest z betonu i podobnie jak wiele innych łódzkich rzeźb parkowych wymaga zabezpieczenia i konserwacji.

W latach 80. prace w parku ograniczono do bieżących napraw alejek, ławek i zieleni. W latach 1994-95 częściowo otoczono go niskim murkiem, a w roku 2000 przeprowadzono pielęgnację najstarszych drzew. W 2006 roku pojawiła się wiadomość, że park, w związku z budową nowego dworca Fabrycznego ma na siedem lat przestać istnieć, a następnie ma być odtworzony. Szczęśliwie na razie park istnieje, oby jak najdłużej.

Z historią Parku im. St. Moniuszki wiąże się kilka ciekawostek. Jedna z nich to projekt umieszczania na słupach otaczającego go parkanu reklam świetlnych. Otóż w 1930 roku Magistrat wydzierżawił je inż. J. Hamerowi, który miał się zająć zorganizowaniem całego przedsięwzięcia. Pojawiły się nawet odpowiednie ogłoszenia w prasie, np.: „Reklamy świetlne w Parku Kolejowym – na mocy koncesji wydanej przez Magistrat m. Łodzi urządzamy reklamy świetlne na słupach miejskiego parkanu otaczającego Ogród Kolejowy od strony ul. Narutowicza, Kilińskiego i Skwerowej". Inicjatywa jednak nie wypaliła, a miasto „wobec niewywiązania się przez dzierżawcę z przyjętych obowiązków" w czerwcu 1931 roku umowę rozwiązało.

Drugą są migawki z tego parku pojawiające się w filmie pt. *Skłamałam* z 1937 roku. Główne role zagrali Jadwiga Smosarska i Eugeniusz Bodo. Na ujęciach widać jasne, szerokie alejki, ładnie utrzymaną zieleń, malowaną na biało drewnianą ławkę, spacerujących ludzi. Pokazano też scenę zraszania trawnika, gdzie woda za pomocą ręcznej pompy wypływała z beczkowozu stojącego na tle dworca.

Trzecią był eksperyment fonoakustycznego przepłaszania ptaków. Otóż 17,18 i 19 września 1979 roku, w godzinach wieczornych, z trzech zainstalowanych na samochodach megafonów wyemitowano krzyki przerażonego szpaka i sójki. Wszystko po to, żeby przepędzić z parku przeszło sto tysięcy szpaków, kawek i gawronów. Było to pierwsze zastosowanie tej metody w dużym mieście i zakończyło się sukcesem.

Czwartą jest obecność zasypanego wejścia do schronu przeciwlotniczego[72]. Znajduje się we wschodniej części. Z daleka wygląda jak niski pagórek. Dopiero z bliska widać, że z gruntu wystają niskie betonowe belki układające się w kształt prostokąta.

Dzisiaj Park im. St. Moniuszki jest, jak napisano na początku artykułu, przede wszystkim parkiem przechodnim. Nie imponuje wielkością, starodrzewem czy szczególnymi gatunkami drzew i krzewów. Ot, typowy, nieduży śródmiejski park. Ale on też ma swoją historię, o której warto pamiętać.

Andrzej Jankowski
– historyk sztuki

Bibliografia:

1. C. Jaworska-Maćkowiak, T. Maćkowiak, *Pomniki łódzkie. Historia w brązie i kamieniu*, UMŁ, Łódź 2008
2. A. Kaniewska (oprac.), *Najstarsze łódzkie parki*, www.lodz.ap.gov.pl/parki.html.
3. O. Kossmann, *Zabudowanie miasta Łodzi pod względem krajobrazowym*, „Czasopismo Przyrodnicze", zesz. 5-6, 1931.
4. W. Leyberg, *Łódź przyszłości*, „Dziennik Zarządu miasta Łodzi", nr 11, 15.11.1938.
5. A. Mostowicz, *Łódź, moja zakazana miłość*, Oficyna Bibliofilów, Łódź 1999.
6. *Parki Łodzi*, red. J. Mowszowicz, Łódzkie Towarzystwo Naukowe, Łódź 1962.
7. J. Podolska, R. Bonisławski, *Spacerownik*, Biblioteka Gazety Wyborczej, Łódź 2008.
8. *Zadrzewienie miasta*, [w:] *Księga Pamiątkowa Dziesięciolecia Samorządu Miasta Łodzi. 1919-1929*, wydana Nakładem Magistratu Łódzkiego, 1930.
9. *Park im. S. Moniuszki*, www.historycznie.uni.lodz.pl/parki.htm.
10. *Kropla Mleka*, „Dziennik Zarządu m. Łodzi", nr 5, 15.05.1933.
11. *Ogród kolejowy*, „Rozwój", nr 107, 10.05.1900.
12. *O parkan ogrodu kolejowego*, „Rozwój", nr 166, z dn. 23.07.1912.
13. (a) *Przekształcenie ogrodu*, „Rozwój", nr 80, 08.04.1914.
14. (i) *Z komitetu plantacyjnego*, „Rozwój", nr 94, 25.04.1914 .
15. (a) *Z parku kolejowego*, „Rozwój", nr 124, 03.06.1914.
16. „Panorama Ilustrowana Tygodniowa", 20.08.1933.
17. *Budowa Teatru Miejskiego w Łodzi*, „Dziennik Zarządu m. Łodzi", nr 24 (400), 14.06.1927.
18. „Architektura i Budownictwo", nr 8-9-10, 1936.
19. *Jak będzie wyglądał nowy gmach teatralny?*, „Dziennik Zarządu m. Łodzi", nr 33 (256), 12.08.1924.

20. *Protokół posiedzenia Sekcji Budowlanej Komitetu Budowy Teatru Miejskiego*, „Dziennik Zarządu m. Łodzi", nr 45 (268) z 04.11.1924.
21. *Zatwierdzenie planów Teatru Miejskiego*, „Dziennik Zarządu m Łodzi", nr 7 (283),17.02.1925.
22. *Plany Teatru łódzkiego*, „Dziennik Zarządu m. Łodzi" nr 49 (272), 02.12.1924.
23. *Podatek na budowę Teatru Miejskiego*, „Dziennik Zarządu m. Łodzi", nr 19 (294), 12.05.1925.
24. *Z komitetu budowy Teatru*, „Dziennik Zarządu m. Łodzi", nr 41 (316), 13.10.1925.
25. *Sprawa budowy Teatru w Łodzi*, „Dziennik Zarządu m. Łodzi", nr 45 (372), 08.11.1926.
26. *Posiedzenie Komitetu Budowy Teatru*, „Dziennik Zarządu m. Łodzi", nr 12 (388), 22.03.1927.
27. *Ogłoszenie*, „Dziennik Zarządu m. Łodzi", nr 28 (404), 12.07.1927.
28. (W), *Uporządkowanie parku kolejowego*, „Rozwój", nr 217, 07.08.1929 .
29. *Sprawozdanie z robót publicznych prowadzonych przez Wydział Gospodarczy Magistratu m. Łodzi w latach 1924, 1925 i 1926*, „Dziennik Zarządu m. Łodzi", nr 34 (409), 23.08.1927.
30. *Frekwencja na miejskich placach gier i zabaw dla dzieci*, „Dziennik Zarządu m. Łodzi", nr 34 (514), 20.08.1929.
31. *Sporty zimowe na miejskich placach gier i zabaw*, „Dziennik Zarządu m. Łodzi", nr 51 (530), 17.12.1929.
32. *Otwarcie ślizgawki miejskiej*, „Dziennik Zarządu m. Łodzi", nr 53 (532), 31.12.1929.
33. *Prace i plany na najbliższą przyszłość Wydziału Plantacji Miejskich*, „Dziennik Zarządu m. Łodzi", nr 35 (568), 02.09.1930.
34. *Park kolejowy zostanie zrekonstruowany*, „Republika ilustrowana", nr 106, 19.04.1931.
35. *Prace w parkach miejskich*, „Dziennik Łódzki", nr 94, 05.04.1932.
36. St. Rogowicz, *Ogrodnictwo miejskie w Łodzi*, [w:] *Księga jubileuszowa 1907-XXV-1932*, Centralny Polski Związek Ogrodników Oddział w Łodzi, Łódź 1932.
37. *Konkurs na plan zabudowy dzielnicy przy dworcu kolejowym Łódź Fabryczna*, „Dziennik Łódzki", nr 89, 31.03.1932.
38. *Plan prac w parkach miejskich na r.b.*, „Dziennik Zarządu m. Łodzi", nr 15 (651), 12.04.1932.
39. *Z miejskich placów gier i zabaw*, „Dziennik Zarządu miasta Łodzi", nr 9, 15.09.1934.
40. „Ilustrowana Republika", nr 124, 25.05.1932.
41. *Rozpoczęto już budowę pomnika Moniuszki*, „Express Ilustrowany", nr 220 (2098), 19.09.1963.
42. (m), *W niedzielę odsłonięcie pomnika Moniuszki*, „Express Ilustrowany", nr 228 (2106), 28-29.09.1963.

43. *Park im. Stanisława Moniuszki*, ekonastawieni.pl/index.php?option=com_content&view= article&id=521:park-im-stanislawa-moniuszki&catid=162&itemid=481.
44. (hal), *„Śladami ofiarności łodzian"*, „Express Ilustrowany", nr 227 (2105), 27.09.1963.
45. za: www.przyroda.uml.lodz.pl/moniu.htm.
46. *Park im. Stanisława Moniuszki*, ekonastawieni.pl/index.php?option=com_content&view= article&id=521:park-im-stanislawa-moniuszki&catid=162&itemid=481.
47. *Reklamy świetlne w Parku Kolejowym*, „Ilustrowana Republika", nr 143, 26.05.1930.
48. *W trosce o zdrowie i tężyznę fizyczną młodego pokolenia. Ogrody Jordanowskie i miejskie place zabaw dla dzieci w granicach m. Łodzi*, „Dziennik Zarządu m. Łodzi", nr 23 (607), 09.06.1931.
49. *Skłamałam*, reż. Mieczysław Krawicz, prod. Warszawskie Towarzystwo Filmowe, 1937.
50. *Reklamy świetlne w Parku Kolejowym*, „Ilustrowana Republika", nr 143 (właśc.142), 26.05.1930.
51. *(Uchwała Magistratu) Nr 399 z dnia 9 maja 1931 roku*, „Dziennik Zarządu m. Łodzi" nr 23 (607), 09.06.1931.
52. (kas.), *Krzyk grozy szpaków wypłoszy ptactwo w Parku im. Moniuszki?*, „Dziennik Popularny" nr 206 (9382), 13.09.1979.
53. (kt) *Krzyk grozy szpaka i sójki przepłoszył sto tysięcy ptaków z Parku im. Moniuszki*, „Dziennik Popularny", nr 210 (9386), 18.09.1979.
54. (kt.) *Nie ma już ptaków w Parku Moniuszki*, „Dziennik Popularny", nr 213 (9389), 21.09.1979.
55. *Łódzkie schrony przeciwlotnicze*, www.lodzmilitaria.dbv.pl.

Z łódzkiego raptularza

PAŹDZIERNIK 2012

1 października

→ 100 000 łódzkich studentów rozpoczęło rok akademicki w Łodzi. Mimo niżu demograficznego uczelnie w naszym mieście nie odnotowały spadku liczby studentów. Jedynie na Uniwersytecie Medycznym na studiach płatnych przyjęto 15-20 procent mniej osób niż w roku ubiegłym. Wszystkie szkoły wyższe wprowadziły nowe kierunki studiów, często na zamówienie przyszłych pracodawców.

→ Łódzka Agencja Rozwoju Regionalnego przystąpiła do organizacji wyjazdów na targi do Indii. Jako pierwsze zgłosiły się dwie firmy produkujące słodycze: Gusto z Działoszyna i Zakład Cukierniczy Marek Bladowski ze Zduńskiej Woli.

→ Eureka to nazwa projektu opracowanego przez Politechnikę Łódzką i firmę informatyczną Transition Technologies S.A. Projekt służy wyszukiwaniu technologii dostępnych w ośrodkach badawczych województwa.

→ W dwóch łódzkich gimnazjach po raz pierwszy w Polsce rozpoczęto lekcje związane z edukacją seksualną. Zajęcia prowadzą edukatorki z fundacji „Jaskółka". Zajęcia opłaca Urząd Miasta.

→ Teatr Muzyczny otworzył nowy sezon dziwowiskiem kabaretowym Grupy Rafała Kmity pt. *Jeszcze nie pora nam spać*. Zespołowi towarzyszą orkiestra, balet i chór.

2 października

→ Z inicjatywy Ali Koussana, doradcy prezydent Hanny Zdanowskiej w sprawach ulicy Piotrkowskiej, na ulicy przed nieestetycznymi witrynami pojawiły się dziewczyny z plakatem „Brzydka witryna". Takie ostrzeżenia dla właścicieli wystaw były stosowane przez dwa tygodnie.

→ W konkursie Urzędu Miasta na najciekawszy film zachęcający do podejmowania studiów w Łodzi zwyciężyli Dominika Grabarczyk i Ernest Cendrowski. Laureaci otrzymali bezpłatne zakwaterowanie w kawalerkach przez najbliższy rok akade-

micki. Pozostali laureaci dostali pralki, zmywarki, notebooki oraz opłacony czynsz za pokoje w akademikach. W konkursie wzięło udział 21 studentów.

4 października

→ Łódzka Filmówka rozpoczęła nowy rok akademicki z 569 studentami. Wśród nich jest 20 obcokrajowców. Nowy rektor Mariusz Grzegorzek przypominał, że na legendę szkoły znanej w świecie filmowym w Polsce i za granicą pracują zarówno wykładowcy, jak i studenci. Apelował, aby nie zmarnowali szansy, jaką dają im studia.

5 października

→ Coraz większym zainteresowaniem cieszy się Międzynarodowy Festiwal Komiksu i Gier organizowany od 23 lat przez Stowarzyszenie Twórców „Contur". Na tegoroczny festiwal zgłosiło się kilkudziesięciu autorów z całego świata. W programie przewidziano warsztaty, targi, giełdy, wystawy i spotkania z artystami. Miejscem festiwalu będzie Łódzki Dom Kultury i wieżowiec Textilimpexu.

→ Marszałek województwa łódzkiego Witold Stępień zainaugurował nowy rok kulturalny 2012/1013. Tradycyjnie przy tej okazji wręczono twórcom kultury nagrody i odznaczenia. Złoty Krzyż Zasługi otrzymał Marcel Szytenchelm. Srebrny medal Zasłużony Kulturze Gloria Artis otrzymał Jarosław Suchan, dyrektor Muzeum Sztuki w Łodzi, Brązową Glorię Artis wręczono Andrzejowi Wichrowskiemu, aktorowi Teatru S. Jaracza. Nagrodę Specjalną „Regio Kultura" otrzymało Muzeum Sztuki w Łodzi. Minister kultury i dziedzictwa narodowego przyznał 14 osobom Odznaki „Zasłużony dla kultury polskiej", a marszałek województwa nagrody w kategoriach „Osobowości" oraz za „Całokształt działalności".

7 października

→ Katarzyna Kasprzyk, nauczycielka 130 Szkoły Podstawowej w Łodzi, została nominowana do tytułu Nauczyciela Roku 2012. Konkurs organizuje od 13 lat Tygodnik „Głos Nauczycielski" pod patronatem Ministerstwa Edukacji. Tytuł ten jest wręczany 15 października na Zamku Królewskim.

8 października

→ Przy ulicy Rokicińskiej w Łodzi otworzono sklep Biedronki nr 2000 w Polsce. Z powodu znacznych obniżek cen przed sklepem utworzyła się gigantyczna kolejka. Klienci szturmowali wejście już od niedzieli wieczór.

→ Homili nowego łódzkiego metropolity abp Marka Jędraszewskiego można wysłuchać i obejrzeć w internecie. Na pomysł elektronicznej dokumentacji wpadł red. Łukasz Głowacki, dziennikarz diecezjalnego Radia Plus.

11 października

→ Łukasz Rojewski, właściciel pubu Biblioteka, zachęcał łodzian w maju do pisania listów do przyszłych pokoleń. Listy pisały osoby w różnym wieku, różnej płci i zawodów. Wrzucali je do skrzynek ustawionych w pubie, Bibliotece im. Piłsudskiego i XXI LO. Wczoraj listy zostały zamknięte w kapsule czasu. Po dziesięciu latach będą otwarte i przeczytane. Kilka listów za zgodą autorów opublikowano w „Gazecie Wyborczej" w dniu 12 października.

10 października

→ Janusz Janyst, recenzent muzyczny, wykładowca Akademii Muzycznej, popularyzator muzyki, promował w Muzeum Miasta swoją nową książkę *Łódzka strefa Polihymnii. Z zapisków bywalca*, wydaną w wydawnictwie ASTRA. Podczas spotkania wystąpił nowo powstały jazzowy Typhoon String Quartet.

→ Poleski Ośrodek Sztuki zorganizował spotkanie literacko-historyczne z udziałem Marcina Zaremby, historyka, pracownika naukowego Uniwersytetu Warszawskiego, autora książki *Wielka trwoga*. Prowadził je Andrzej Czyżewski z łódzkiego oddziału IPN.

→ W Małej Literackiej w Teatrze Nowym z czytelnikami spotkał się Andrzej Stasiuk. Spotkanie poświęcono najnowszej książce pisarza *Grochów*, opowiadającej o śmierci i umieraniu we współczesnym świecie.

10 października

→ 65 lat skończył w tym roku Se-Ma-For. Z okazji jubileuszu zorganizowano kilkudniowy festiwal. W czwartek przy Muzeum Bajki otwarto Muzeum Animacji, w którym będzie można bawić się i tworzyć. Każdy dzień festiwalu zorganizowano z myślą o innych grupach wiekowych: przedszkolakach, uczniach i dorosłych, którzy będą mogli obejrzeć animowane filmy i spotkać się z twórcami, m.in. ze Zbigniewem Rybczyńskim. Przybędzie też nowy pomnik w Parku Sienkiewicza – ulubionego przez dzieci Plastusia, bohatera stworzonego przez Marię Kownacką i przeniesionego na ekran przez studio SE-Ma-For. Pomnik zaprojektowali Magdalena Walczak i Marcin M. Mielczarek.

14 października

→ 200 delegatów z całej Polski przyjechało do Łodzi na II Kongres Ruchów Miejskich. Uczestnicy powołali Ministerstwo Miast i obradowali nad polityką miejską rządu. Uwagi i postulaty przekazali ministrowi rozwoju regionalnego.

→ Jacek Grudzień z TVP w Łodzi zwyciężył w konkursie Honor Academicus na najlepsze publikacje o nauce i szkolnictwie wyższym, a zwłaszcza za cykl „Łódź kreatywna". Konkurs organizowany jest od kilku lat przez łódzkie uczelnie publiczne.

16 października

→ Na scenie Teatru Nowego wystąpił Państwowy Teatr Dramatyczny im. Gribojedowa ze Smoleńska. Teatr wystawił komedię Aleksandra Ostrowskiego *Prawda to rzecz dobra, ale szczęście lepsza* w reżyserii Witalija Barkowskiego i dramat Martina McDonagha *Królowa Piękności z Leenane* w reżyserii Olega Kuzmiszczewa. Spektakle grano w języku rosyjskim.

→ Staraniem Konsulatu Honorowego Republiki Austrii w Łodzi rozpoczęły się XV Jubileuszowe „Dni Austrii". Zainaugutował je koncert w Pałacu Biedermanna zespołu „Arcus Ensamble Wien". Impreza trwała do 19 października. A w jej ramach m.in. otwarto wystawy obrazów i fotografii, odbył się też spektakl teatralny w Teatrze im. S. Jaracza.

17 października

→ Radni łódzcy przyłączyli się do akcji „Gazety Wyborczej" KSIĄŻKOBRANIE i podczas ostatniej sesji przekazali przeszło sto egzemplarzy, które zostaną przekazane do bibliotek w łódzkich szkołach.

→ W Centralnym Muzeum Włókiennictwa otwarto wystawę *Plakaty i obiekty* Michała Batorego. Artysta pochodzi z Łodzi, w 1987 roku wyjechał do Paryża, gdzie mieszka do tej pory i gdzie zrobił międzynarodową karierę.

→ Do zakaźnego szpitala im. Biegańskiego w Łodzi zgłosili się pierwsi pacjenci chorzy na tzw. „gorączkę bostońską". Kilka miesięcy temu choroba wystąpiła w Bostonie w USA. Łódzcy chorzy musieli się nią zarazić od turystów ze Stanów. Choroba ma lekki przebieg.

→ W Atlasie Sztuki otwarto wystawę *Front Wschodni*, na której można było zobaczyć prace awangardowych twórców z różnych okresów, m.in. Karola Hillera, Gerharda Jűrgena Bluma Kwiatkowskiego, Zbigniewa Rybczyńskiego oraz grupy Jung Idysz. Kuratorem wystawy i pomysłodawcą był Józef Robakowski.

19 października

→ W pasażu Schillera rozpoczął się trzydniowy Festiwal Kinetycznej Sztuki Światła „Light Move Festival". Widzowie mogli obejrzeć laserowe pokazy i wizualizacje muzyki w wykonaniu Macieja Walczaka, Wojciecha Lemańskiego, Krzysztofa Sztekmillera i Atsuhiro Ito z Japonii.

→ Mariusz Pilawski, założyciel i dyrektor Teatru Małego, na jubileusz 390-lecia pracy twórczej wybrał spektakl *Emigranci* S. Mrożka. Jubileuszowe spotkanie odbyło się w siedzibie teatru w Manufakturze.

→ W ramach Łódź Design Festiwal Art & Design Society, Allmendinger, Akademia Architektury oraz Kredyt Bank zorganizowały w budynku University Business Park GTC SA wystawę plakatu *TYPO ŁÓDZ*. Widzowie mogli obejrzeć przeszło 150 plakatów, głównie łódzkich twórców.

→ Politycy PIS uczcili drugą rocznicę śmierci Marka Rosiaka, pracownika biura PIS w Łodzi zamordowanego przez Ryszarda´Czubę. Wzięli udział we mszy św. w kościele o.o. jezuitów i złożyli kwiaty przed tablicą pamiątkową na ścianie budynku partii.

20 października

→ 30 lat temu powołano samorząd radców prawnych. Okręgowa Izba Radców Prawnych zrzesza 1500 radców z Łodzi oraz z dawnych województw skierniewickiego, piotrkowskiego i sieradzkiego. Radcy prawni od 2004 roku otworzyli szeroko swoją korporację dla adeptów tego zawodu.

→ Teatr Powszechny otworzył małą scenę. Na widowni znajdzie się miejsce dla 200 widzów. Na premierowy spektakl wybrano *Spiski* wg powieści Wojciecha Kuczoka w reżyserii Jerzego Jana Połońskiego i Jarosława Stańka.

21 października

→ Teatr Piccolo otworzył sezon przedstawieniem *Nić Ariadny* w reżyserii Włodzimierza Wdowczyka. Przedstawienie adresowane jest do uczniów ostatnich klas szkół podstawowych i gimnazjów.

23 października

→ W kawiarni Mała Literacka w Teatrze Nowym odbyło się spotkanie z Justyną Sobolewską, krytyczką literacką i dziennikarką, połączone z promocją jej *Książki o czytaniu*.

26 października

→ Urzędnicy łódzkich sądów protestowali przeciwko niskim zarobkom. Ponieważ sędziom i urzędnikom sądowym nie wolno strajkować, większość z nich wzięła tego dnia urlop na żądanie.

→ Laureatką 23 edycji Konkursu im. Strzemińskiego „Projekt 2012" została Dorota Sokołowska, studentka IV r. ASP za projekty biżuterii i akcesoriów stołowych (nagroda Rektora ASP). Nagrodę marszałka województwa łódzkiego uzyskał dziesięcioosobowy zespół projektowy Design in. Nagrodę prezydenta Łodzi otrzymała Alicja Maliszewska. Przyznano także 11 nagród fundowanych przez ogólnopolskie organizacje i firmy.

→ W galerii Biura Promocji UMŁ otwarto wystawę zdjęć Wiktora Jekimenki. Fotografie wyświetlano także na ścianie redakcji „Gazety Wyborczej" w godzinach wieczornych. 250 zdjęć Jekimenki, dokumentujących historię pierwszej łódzkiej elektrowni i miasta, przekazała miastu Dalkia. Fotografie odkrył w latach 80. Andrzej Boroń, wieloletni dyrektor EC-1. Zbiór obejmuje 2 tys. szklanych negatywów.

27 października

→ Krzysztof Herdzin, muzyk jazzowy, wykładowca AM w Bydgoszczy, kompozytor, dyrygent, otrzymał tytuł „Artysty Roku 2011" przyznany przez Łódzkie Stowarzyszenie Melomani. Za najbardziej obiecującego młodego artystę uznano Adama Bałdycha. Statuetkę za całokształt działalności otrzymał Program 2 Telewizji Polskiej. Nagrodę Prezydent Miasta Łodzi dla najlepszego łódzkiego jazzmana otrzymał perkusista Przemysław Kuczyński. Krytykiem – Dziennikarzem Roku 2011 został Stanisław Danielewicz. Nagrodę Telewizji Polskiej za płytę roku otrzymał kwintet Wojciecha Mazolewskiego. Nagroda Polskiego Radia Łódź „Jazzowa Perła Roku" trafiła do dziennikarzy Radia Łódź Jana Targowskiego, Macieja Jaworskiego i Michała Padkowskiego za audycję „Jazz przed północą". Autorem przyznawanych statuetek jest Mariusz Rodanowicz. Nagrody wręczono podczas XX Wielkiej Gali Jazzowej z udziałem jazzowych sław.

28 października

→ 600 osób z całej Polski zgłosiło się do III Półmaratonu Szakala dookoła Lasu Łagiewnickiego. Bieg organizował klub Szakale Bałut, Urząd Miasta Łodzi i MOSiR. Śnieg na trasie i strome stoki utrudniały wyścig, tym większe dowody uznania należą się uczestnikom.

29 października

→ W Ośrodku Propagandy Sztuki otwarto wystawę pod tytułem *„Roman Modzelewski (1912-1997). Spektrum"* poświeconą twórczości wybitnego artysty i projektanta, długoletniego rektora PWSSP w Łodzi.

30 października

→ Pracownicy Poczty Polskiej spotkali się w Teatrze Nowym na regionalnych obchodach Dnia Łącznościowca. Powstała w 1558 roku Poczta Polska znajduje się obecnie w trudnej sytuacji, elektroniczne media zastępują coraz częściej tradycyjne listy i przekazy pocztowe. Pocztowcy starają się znaleźć nowe formy usług. Z okazji święta zasłużeni, długoletni pracownicy otrzymali odznaczenia państwowe i związkowe.

Personalia:

4 października

→ Ryszard Topola, dyrektor Ogrodu Zoologicznego w Łodzi złożył rezygnację. Powodem jest oddanie Ogrodu pod Zarząd Zieleni Miejskiej z czym nie zgodził się dyrektor. Ryszard Topola jest zoologiem i uznanym w Europie specjalistą w zakresie hodowli gatunków ginących. Pełni funkcję szefa Rady Dyrektorów Polskich Ogrodów Zoologicznych. W wyniku reorganizacji szefową sekcji Zoo Zarządu Zieleni Miejskiej została Magdalena Janiszewska, dotychczasowa dyrektorka działu dydaktycznego tej instytucji.

18 października

→ Jacek Saryusz-Wolski, europoseł PO z Łodzi, został wybrany po raz trzeci na wiceprzewodniczącego Europejskiej Partii Ludowej (EPL). Partia zrzesza 74 partie członkowskie z 40 państw naszego kontynentu.

Odeszli:

7 października

→ Aleksander Ford jr. – absolwent łódzkiej Filmówki, aktor, reżyser, animator kultury. Od lat związany z kulturą Łodzi. Współpracował z organizatorami Festiwalu Czterech Kultur, Muzeum Kinematografii, redakcją „Tygla kultury". Uhonorowany Odznaką „Za zasługi dla Miasta Łodzi", niezwykle serdeczny, życzliwy innym człowiek.

16 października

→ Andrzej Cygański – prof. dr hab., nestor analityków polskich, związany z Wydziałem Chemicznym Politechniki Łódzkiej od 1952 roku. Wybitny naukowiec, wychowawca wielu pokoleń chemików analityków, autor podręczników. Uhonorowany wysokimi odznaczeniami państwowymi.

17 października

→ Tadeusz Chmielewski – uznany pianista, prof. Akademii Muzycznej im. Grażyny i Kiejstuta Bacewiczów w Łodzi, w której przez 25 lat kierował Katedrą Fortepianu. W latach 1991-2001 Prezes Towarzystwa im. Fryderyka Chopina. Był organizatorem i jurorem wielu międzynarodowych konkursów pianistycznych, honorowym prezesem Europejskiego Stowarzyszenia Pianistów Pedagogów.

23 października

→ Maria Elżbieta Strelcow-Bączyk – sędzia wizytator Sądu Apelacyjnego w Łodzi, znakomity znawca prawa cywilnego, wychowawca wielu pokoleń aplikantów sądowych.

LISTOPAD 2012

1 listopada

→ Podczas 18 kwesty na Starym Cmentarzu zebrano 88 116 zł. Dzięki datkom odratowano od ruiny już 109 zabytkowych grobów. Pieniądze zbierali parlamentarzyści, przedstawiciele samorządu, dziennikarze i artyści.

2 listopada

→ Rozpoczął się XVI Festiwal Kultury Chrześcijańskiej organizowany przez ks. Waldemara Sondkę. Tym razem położono na teatr i muzykę. Program objął spektakle znanych teatrów, m.in. Powszechnego i Współczesnego z Warszawy oraz Teatru Sztuk z Wrocławia. Z koncertami wystąpili m.in. Zespół Jana Garbarka z Norwegii, Anna Szałapak, Stanisława Celińska, żeński chór z Bułgarii i Trebunie Tutki z Zakopanego. W sumie odbyło się 30 wydarzeń artystycznych udostępnionych za darmo łodzianom.

4 listopada

→ Stanisław Fijałkowski, wybitny artysta, malarz, uczeń Strzemińskiego, Wegnera i Modzelewskiego, pedagog, profesor ASP w Łodzi, obchodził 90 urodziny. Z tej okazji w Atlasie Sztuki odbyło się spotkanie z profesorem, które poprowadziła prof. Maria Poprzęcka z Uniwersytetu Warszawskiego. Podczas jubileuszu promowano książkę Zbigniewa Taranienki *Alchemia obrazu. Rozmowy ze Stanisławem Fijałkowskim.*

5 listopada

→ Jerzy Janowicz, 21-letni tenisista z Łodzi, po dojściu do finału turnieju ATP World Tour Masters w Paryżu, wrócił do Łodzi w glorii bohatera. Awansował na 26 miejsce na światowej liście tenisistów. Utalentowany chłopak pochodzi z rodziny sportowców. Rodzice czynnie uprawiali sport. 7 listopada Janowicz został uroczyście powitany w Miejskim Klubie Tenisowym, którego jest zawodnikiem. Wśród gości była także prezydent Łodzi Hanna Zdanowska.13 listopada tenisista skończył 22 lata.

6 listopada

→ Koncern ABB w Łodzi wmurował akt erekcyjny pod budowę kolejnej fabryki. Fabryka zostanie zbudowana od podstaw i będzie produkowała uzwojenia transformatorowe. Znajdzie w niej zatrudnienie 140 osób.

→ Prof. Noriko Mizura, rektor uniwersytetu JOSAL w Japonii, i prof. Włodzimierz Nykiel, rektor Uniwersytetu Łódzkiego, podpisali umowę o współpracy naukowej między reprezentowanymi przez siebie uczelniami.

7 listopada

→ Rozpoczęło się 5 Europejskie Forum Gospodarcze organizowane przez Urząd Marszałkowski w Łodzi. Wzięła w nim udział rekordowa liczba 3 tys. uczestników. W programie znalazły się dyskusje, wykłady, sesje plenarne i warsztaty. Podpisywano także umowy. Tradycyjnie już wręczono Nagrody Gospodarcze Województwa Łódzkiego.

→ Uniwersytet Łódzki otrzymał fundusze z Unii Europejskiej na remont dawnego Wydziału Chemii przy ulicy Narutowicza 68. W gmachu zostanie umieszczony rektorat, a w obecnym budynku rektoratu przy ulicy Narutowicza 65 znajdzie się Wydział Studiów Międzynarodowych i Politologii UŁ.

9 listopada

→ Rozpoczął się IX Międzynarodowy Festiwal i Konkurs Indywidualności Muzycznych Tansman 2012. Na inaugurację wybrano kompozycję Tasmana *Prorok Izajasz, Psalmy* w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej i Chóru Filharmonii Łódzkiej pod dyrekcja Daniela Raiskina, partię solową śpiewał Rafał Bartmiński – tenor. W programie znalazły się również premiery światowe: dzieła Krystofa Maratka *Vabeni – Vaclav Havel in memoriam* oraz spektakl multimedialny *Muzyka naszych czasów*. Po raz pierwszy odbył się przegląd filmów z muzyką kompozytora.

→ Od 9 do 16 listopada trwało Forum Kina Europejskiego. Przegląd otworzył film Władysława Pasikowskiego *Pokłosie*. Widzowie będą mieli okazję zobaczyć inne polskie filmy, m.in. *Mój rower* Piotra Trzaskalskiego i *Zabić bobra* Jana Jakuba Kolskiego. Jury z Agnieszką Holland na czele przyznało tytuł Najlepszego Debiutu Europejskiego filmowi *Boy eating the birds food* w reżyserii E. Lygizosa z Grecji. Gość festiwalu Andriej Konczałowski został uhonorowany Złotym Glanem. Nagrody kina Charlie otrzymali: Piotr Szulkin, Ulrich Seidl, Piotr Trzaskalski i Michał Urbaniak. Nagrodę im. Andrzeja Munka za najbardziej interesujący debiut reżyserski i operatorski otrzymali w tym roku Magdalena Gubala i Szymon Uliasz za reżyserię filmu *Ścinki* oraz Jakub Kijowski za zdjęcia do filmu *Sekret*.

→ 9 listopada w Kościele Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny przy placu Kościelnym odbył się Koncert Muzyki Sakralnej. Zaprezentowano utwory od Renesansu do współczesności, od Mikołaja Gomółki i Wacława z Szamotuł po Wojciecha Kilara i Henryka Mikołaja Góreckiego. Pomysłodawcą i autorem programu Koncertu jest Waldemar Sutryk, który także przygotował i poprowadził Chór Teatru Wielkiego.

→ Koncertowy listopad to prezent dla łodzian od Teatru Wielkiego.

→ Drugi prezent Teatru dla łodzian to Koncert Pamięci Łódzkich Artystów w Archikatedrze Łódzkiej. 17 listopada Chór i Orkiestra pod dyrekcją Rubena Silvy wykonali *Requiem (c-moll i d-moll)* Luigi Cherubiniego. Patronat nad koncertem objął Metropolita Łódzki ks. arcybiskup Marek Jędraszewski. Wstęp na oba koncerty był bezpłatny.

10 listopada

→ Teatr Studyjny wystąpił z premierą *Shopping and Fucking* Marka Ravenhilla w reżyserii Grzegorza Wiśniewskiego. W spektaklu grali studenci Wydziału Aktorskiego łódzkiej Filmówki.

→ *Łódzka KPN od PRL do Niepodległości* to tytuł książki pod redakcją Marka Michalika, działacza KPN, obecnie radnego m. Łodzi, i dr Karola Chylaka, historyka. Promocja książki odbyła się w Łodzi z udziałem Leszka Moczulskiego, założyciela tej historycznej partii honorowego przewodniczącego KPN.

→ Z okazji Święta Niepodległości Rada Miejska przyznała odznaki „Za zasługi dla Miasta Łodzi". Otrzymali je: Sławomir Fijałkowski, Anna Jaros, Jacek Jędrzejczak, Witold Kasperkiewicz, Wiesław Kubik, Małgorzata Leyko, Jerzy Michalski, Ryszard Rogulski, Bogdan Tuszyński i Andrzej Wyciszkiewicz.

→ Władze Łodzi podpisały umowę na projekt restauracji, klubu, placu zabaw i przestrzeni publicznej na Księżym Młynie. Część mieszkań będzie przekształcona w lokale użytkowe i wynajęta artystom w drodze konkursu.

11 listopada

→ Obchody Święta Niepodległości rozpoczęto mszą świętą w intencji Ojczyzny, którą celebrował w Archikatedrze ks. arcybiskup Marek Jędraszewski. Obecni byli prezydent Łodzi Hanna Zdanowska, Marszałek Województwa Witold Stępień i wojewoda Jolanta Chełmińska. Po mszy św. zapalono znicz na grobie Nieznanego Żołnierza, odczytano apel poległych i oddano salwę honorową. Następnie uczestnicy uroczystości udali się pod pomnik Marszałka J. Piłsudskiego. Łodzianie mieli okazję do radosnego świętowania podczas pikniku w Manufakturze oraz szansę obserwować historyczną rekonstrukcję wydarzeń w dawnych koszarach 28 Pułku Strzelców Kaniowskich.

12 listopada

→ Wojewódzki konserwator zabytków wydał decyzję o wpisaniu do rejestru dziesięciu nieruchomości. Są to m.in. budynki przy ul. Jaracza 47a i 49 w otoczeniu Teatru Wielkiego, kamienica Jakuba Landy przy pl. Komuny Paryskiej 3 i zajezdnia na Brusie.

→ W Domu Literatury otwarto wystawę malarstwa pt. *Piotr Turek – przygwożdżony*. Wystawa jest częścią XXIII Festiwalu Mediów Człowiek w Zagrożeniu.

→ Fundacja ulicy Piotrkowskiej po raz szósty rozstrzygnęła konkurs fotograficzny o tematyce miejskiej. Do konkursu zgłosiło się 118 osób. I nagrodę otrzymała Marta Roża za cykl *Promised Lodz*. W kategorii do lat 16 najlepsze zdjęcia wykonał Jakub Milczarek.

→ Kawiarnia Literacka Teatru Nowego zaprosiła na jubileusz teatru połączony z 200 rocznicą urodzin Zygmunta Krasińskiego. W programie znalazła się wystawa: *Dwie łódzkie Nie-Boskie; ostatnia przed wojną i pierwsza po wojnie*, wykład prof. Anny Kuligowskiej-Korzeniewskiej *Kto się boi Nie-boskiej Komedii?* oraz koncert muzyki Grażyny Bacewicz w wykonaniu niedawno powołanej Orkiestry Symfonicznej Teatru Nowego w Łodzi pod dyrekcją Piotra Piątkowskiego.

13 listopada

→ Prof. Leszek Balcerowicz w siedzibie Fundacji Rozwoju Przedsiębiorczości wygłosił wykład pt. *Co dalej z euro?* Profesor omawiał przyczyny kryzysu oraz analizował związki gospodarki z polityką.

14 listopada

→ Prezydent Hanna Zdanowska zaprezentowała projekt budżetu na 2013 r. Mieszkańcy mogli zapoznać się z jego założeniami nie tylko na stronie internetowej UMŁ, ale również na Facebooku i Twitterze. Wedle założeń projektu w nadchodzącym roku Łódź wyda na inwestycje rekordową sumę 1 mld 200 mln złotych.

→ Uniwersytet Łódzki zorganizował forum polsko-chińskie, poświęcone informacji na temat sytuacji gospodarczej w Chinach.

→ W Teatrze im. Jaracza rozpoczął się II Międzynarodowy Festiwal Teatralnej Klasyki Światowej pt. Nowa klasyka Europy. Festiwal otworzył spektakl *Gwałt na Lukrecji* W. Szekspira w wykonaniu brytyjskiego zespołu Royal Shakespeare Company. Spektakl był tłumaczony na język polski.

16 listopada

→ 27 studentów, laureatów programu „Młodzi w Łodzi", otrzymało roczne stypendia. Laureaci mają wysoką średnią ocen, są aktywni naukowo i społecznie. Stypendia ufundowały znane łódzkie firmy i banki. 17 osób otrzymało stypendia od Urzędu Miasta. Są wśród nich laureaci olimpiad przedmiotowych, którzy rozpoczęli studia w Łodzi, oraz doktoranci.

→ Galeria Manhattan kontynuuje swoją działalność w nowej siedzibie przy ul. Piotrkowskiej 118. Pierwszym wydarzeniem pod tym adresem był wernisaż prac nagrodzonych podczas Festiwalu Sztuki Wideo „Punkty Widzenia".

17 listopada

→ Radni miejscy zadecydowali o zabawie sylwestrowej w Łodzi. Miejski sylwester odbędzie się 31 grudnia przed Teatrem Wielkim na Placu Dąbrowskiego pod hasłem „Łódź kocha poniedziałki". Zabawę zorganizuje agencja Igo-Art. Koszt przedsięwzięcia 200 tys. złotych.

→ Po raz kolejny specjalnie powołana kapituła za najbardziej czyste podwórko przy ulicy Piotrkowskiej uznała posesję przy Piotrkowskiej 89. Najbardziej czystą elewacją może się pochwalić kamienica przy ul. Piotrkowskiej 135, należąca do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego. Najbardziej czystą witrynę ma sklep „Militaria" przy Piotrkowskiej 25.

19 listopada

→ W nocy z 19 na 20 listopada na cmentarzu żydowskim w Łodzi zniszczono 20 nagrobków. Większość z nich została niedawno odrestaurowana przez rodziny mieszkające za granicą. Straty są nieodwracalne.

21 listopada

→ Na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym UŁ dyskutowano nad raportem socjologów na temat poziomu życia i zadowolenia mieszkańców Łodzi. Raport ujawnił długość życia, stan zdrowia, zarobki, wydatki oraz poziom zadowolenia mieszkańców miasta. Jak zapewniał obecny na obradach przewodniczący Rady Miejskiej Tomasz Kacprzak, wyniki badań będą brane pod uwagę przy podejmowaniu uchwał poprawiających jakość życia w mieście.

→ Profesor Wojciech Stec, chemik, absolwent Politechniki Łódzkiej, pracownik Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych PAN w Łodzi, członek rzeczywisty PAN i wiceprezes Akademii w latach 2007-2010, specjalista w dziedzinie badań nad DNA i terapii genowych otrzymał doktorat honoris causa Politechniki Łódzkiej.

→ W Atlas Arenie odbył się koncert zespołu Muse uważanego za jeden z najlepszych na świecie zespołów koncertowych. Muzycy w składzie: Matt Bellamy, Chris Wolstenholme i Dom Howard zagrali utwory z nowej płyty z przebojami *Madness* i *Survinal,* oficjalnym utworem olimpiady w Londynie.

22 listopada

→ Zbigniew Natkański został nowym prezesem łódzkiego oddziału Stowarzyszenia

Dziennikarzy Polskich. Prezes jest redaktorem „Tygodnika Angora". Wcześniej pracował m.in. w TVP Łódź. W latach 2009-2012 był wiceprezesem łódzkiego oddziału SDP. Do zarządu weszli ponadto: Hubert Bekrycht – I wiceprzewodniczący, Waldemar Wiśniewski – II wiceprzewodniczący, Monika Pietras – skarbnik, Kajus Augustyniak – sekretarz i Jerzy Mazur.

24 listopada

→ Prezydent Hanna Zdanowska spotkała się z łodzianiami w Galerii Łódzkiej. Tematem był oczywiście projekt budżetu miasta na 2013 r. To pierwsze z zapowiedzianych trzech spotkań pod hasłem „Porozmawiajmy o budżecie". Konsultacje społeczne w tej sprawie władze zapowiedziały na 7 grudnia.

25 listopada

→ W Skansenie Łódzkiej Architektury Drewnianej odsłonięto pomnik Trzech Misiów, bohaterów serialu animowanego wyprodukowanego w Se-Ma-Forze. Jest to szósty pomnik na trasie szlaku turystycznego „Łódź Bajkowa", z którego oczywiście najbardziej cieszą się dzieci.

28 listopada

→ 500 osób podpisało się na liście protestującej przeciwko zamknięciu działającemu od czterech lat na terenie Manufaktury Experymentatorium. Placówka nie należy do miasta i nie jest dotowana przez gminę. Trwają pertraktacje na temat dalszych jej losów placówki.

30 listopada

→ Odżyły zwyczaje andrzejkowe. W klubach i restauracjach Łodzi przygotowano mnóstwo atrakcji, łącznie z laniem wosku i konkursami.

ODESZLI:

2 listopada

→ Romana Mater – reżyser radiowy, związana z Radiem Łódź od 1950 roku. Reżyserowała wiele słuchowisk radiowych, uczyła słuchaczy piękna mowy polskiej i sztuki. Wykładała na kierunkach dziennikarskich łódzkich uczelni.

3 listopada

→ Wojciech Słodkowski – dziennikarz TVP Łódź, w Ipoczątkach lat 90. sekretarz redakcji „Gazety Wyborczej" w Łodzi oraz Głosu Robotniczego. Wykładowca AHE i nauczyciel dziennikarstwa, pomysłodawca akcji „Ratujmy zabytki Starego Cmentarza", działacz opozycji niepodległościowej, więzień polityczny. Został pochowany na Starym Cmentarzu.

9 listopada

→ Jerzy Starnawski – emerytowany prof. zw. Uniwersytetu Łódzkiego, twórca i wieloletni kierownik Katedry Literatury Staropolskiej i Nauk Pomocniczych, profesor KUL w latach 1950-64 oraz Uniwersytetu Łódzkiego. Ceniony nauczyciel akademicki. Został pochowany w Lublinie.

16 listopada

→ Katarzyna Rosicka-Jaczyńska – b. właścicielka agencji modelek, od 12 lat ciężko chorowała. Nie mogła się poruszać ani mówić. Napisała dwie książki: *Ołówek* i *Ławka*. Przyjaciele organizowali dla niej koncerty i zbierali fundusze na rehabilitację. Wzbudzała wielki szacunek optymizmem i wytrwałością.

26 listopada

→ Wojciech Kittel – emerytowany prof. nadzw. w Katedrze Zoologii Bezkręgowców i Hydrobiologii w Uniwersytecie Łódzkim. Ceniony nauczyciel akademicki i wychowawca młodzieży.

27 listopada

→ Alicja Iwaszkiewicz-Zasłonkowa – prod. dr hab. n. med., ceniony lekarz anestezjolog.

28 listopada

→ Stanisław Olasa – prawnik z wykształcenia, wieloletni samorządowiec i parlamentarzysta, działacz PSL, b. wicemarszałek Województwa Łódzkiego i przewodniczący Sejmiku, poseł na Sejm RP VI kadencji. Zasłużony dla Regionu Łódzkiego.

→ Janusz Witkowski – prof. dr hab. Uniwersytetu Łódzkiego, b. prodziekan Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego, specjalista w zakresie ekonomii, oraz organizacji i zarządzania, wychowawca wielu pokoleń studentów.

GRUDZIEŃ 2012

1 grudnia

→ Międzynarodowy Konkurs Sztuki Choreograficznej im. Sergiusza Diagilewa zgromadził trzynaście zespołów tanecznych z państw europejskich, Izraela oraz Dominikany. Konkursowi towarzyszy wystawa fotografii Michała Matuszaka i rzeźb Piotra Rzeczkowskiego. Obydwie wystawy nawiązują tematycznie do sztuki ta-

necznej. Jury pod przewodnictwem prof. Vladymira Vasilieva przyznało Grand Prix i statuetkę Bursztynowego Fauna Oleksii Busko z Ukrainy za choreografię do *Albumu*. I nagrodę odebrał Courtney Garratt z Wielkiej Brytanii za *Causatum*. Nagroda krytyków i dziennikarzy przypadła Ido Tadmarowi z Izraela za *Empty room*. Honorowe Bursztynowe Fauny otrzymali: Vladymir Vasiliev i Mark Baldwin z Wielkiej Brytanii za całokształt twórczości.

→ Koncert Marii Peszek w klubie Scenografia zgromadził kilkaset osób. Artystka promowała swoją najnowszą płytę *Jezus Maria Peszek*. Słuchacze powtarzali za piosenkarką słowa piosenki manifestu: „Nie każ walczyć, nie każ ginąć, nie chciej Polsko mojej krwi" i domagali się wielokrotnych bisów.

→ Kultowy sklep z płytami Ale Jazz przeniósł się do nowej siedziby przy ul. Rewolucji 78/80. W budynku działa także klub artystyczny Mandala. Właściciel sklepu Czesław Rogaczewski ma nadzieję, że po licznych przeprowadzkach będzie to już stała siedziba ulubionej przez melomanów placówki.

→ Olivier Pieczonka, pielgrzym, który od 2009 roku pieszo przemierza Europę, dotarł do Łodzi. Piechur odwiedza sanktuaria i święte miejsca. W Rzeszowie odnalazł swoją rodzinę. Podczas pielgrzymki utrzymuje się z pomocy ludziom i prac dorywczych. Celem Pieczonki jest dotarcie do Rzymu.

→ W Teatrze Pinokio wystawiono widowisko *Balladyny i romanse* oparte na podstawie wątków książki Ignacego Karpowicza nominowanej do nagrody Nike. Spektakl reżyserował Konrad Dworakowski.

2 grudnia

→ W Teatrze Studyjnym odbyła się premiera spektaklu *Dyplom z miłości* wg piosenek Agnieszki Osieckiej. Przedstawienie reżyserował Robert Gliński, wystąpili studenci Filmówki.

→ Jerzy Buzek, b. premier i przewodniczący Parlamentu Europejskiego, wygłosił dwie prelekcje na temat Unii Europejskiej na Uniwersytecie Dziecięcym Politechniki Łódzkiej. Prelegent zapytał słuchaczy, kim chcą być w przyszłości. Żadne z dzieci nie chciało zostać prezydentem Łodzi, radnym ani posłem na sejm. Za to wszystkie marzą o tym, aby wybrano je prezydentem Polski.

3 grudnia

→ *Młodzież w oporze społecznym w latach 1956-1989* – pod takim hasłem łódzki oddział IPN zorganizował otwartą konferencję. W programie znalazły się m.in.

wystąpienia Pawła Spodenkiewicza na temat Marca 68, Andrzeja Czyżewskiego o Federacji Młodzieży Walczącej i Tomasza Toborka o festiwalu w Jarocinie.

→ W Akademii Muzycznej rozpoczęła się 61 sesja Musica Moderna, czyli tygodniowe spotkanie z nową muzyką komponowaną przez wykładowców i studentów Akademii.

→ Otwarty został Honorowy Konsulat Republiki Czeskiej. Mieści się w siedzibie Łódzkiego Towarzystwa Naukowego przy ul. Marii Skłodowskiej-Curie 11. Konsulem honorowym został prof. Krzysztof Skotnicki, pracownik naukowy Wydziału Prawa i Administracji UŁ.

4 grudnia

→ W Muzeum Miasta kręcono zdjęcia do sensacyjnego filmu *Hiszpanka* w reżyserii Łukasza Barczyka. W filmie występuje plejada znanych aktorów, z Janem Peszkiem na czele. Film realizuje zespół filmowy KADR.

→ *Dziś gwizdy lśnią tylko dla nas* – pod takim hasłem odbył się w Politechnice Łódzkiej jubileuszowy pięćsetny koncert z cyklu „Muzyka na Politechnice". Koncerty odbywają się od dwudziestu lat z inicjatywy ówczesnego rektora uczelni prof. dr Jana Krysińskiego, wielkiego melomana i propagatora muzyki.

5 grudnia

→ W Galerii Biała Ściana w Akademii Sztuk Pięknych otwarto wystawę prac 5 stron świata, na której pokazali swoje prace studenci, stypendyści programu Erasmus z ostatnich pięciu lat.

→ W Świetlicy Krytyki Politycznej Jakub Bożek poprowadził spotkanie z b. ministrem zdrowia Markiem Balickim i publicystką Kingą Dunin. Spotkanie przebiegało pod hasłem *Taniej umrzeć czy się leczyć*.

5 grudnia 2012

→ Przewodniczący Rady Miejskiej w Lodzi Tomasz Kacprzak obchodził jubileusz pięciolecia sprawowania tej funkcji. Został wybrany przewodniczącym Rady 5 grudnia 2007 roku.

→ Radni powołali komisję do spraw budżetu obywatelskiego. Od 2014 roku łodzianie będą decydować o tym, w jaki sposób wydadzą jeden procent czteromiliardowego budżetu, czyli 40 milionów złotych. 25 procent z tej kwoty zostanie przeznaczone na cele ogólne miasta, a po 15 procent na potrzeby każdej dzielnicy.

→ Stephen D. Mull, nowy ambasador USA w Polsce, rozpoczął wizytę w Łodzi od złożenia kwiatów i zwiedzania stacji Radegast. Dyplomata spotkał się także z prezydent Hanną Zdanowską i marszałkiem Witoldem Stępniem.

7 grudnia

→ W Teatrze Nowym zainaugurowano VI Festiwal Pulsu Literatury, obchodzony w tym roku pod hasłem *Niebezpieczne związki*. Inauguracja festiwalu odbyła się w Teatrze Nowym. Zaprezentowano teledysk Lilu pt. *Słodkich snów* oraz spektakl muzyczny wg *Trenów* Jana Kochanowskiego w wykonaniu aktorów teatru im. J. Kochanowskiego w Opolu, w reżyserii Tomasza Hynka.

→ W Centrum Konferencyjno-Wystawienniczym MTŁ otwarto Salon Ciekawej Książki – Targi Nowej Książki. Tragi są okazją do poznania nowości wydawniczych ponad stu wydawców oraz do spotkań z autorami.

→ 426 posłów głosowało za ustanowieniem roku 2013 Rokiem Juliana Tuwima. W 2013 roku przypada 60 rocznica śmierci i 100 rocznica debiutu literackiego poety. Wniosek do sejmowej Komisji Kultury złożyli przedstawiciele Urzędu Miasta i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich z Łodzi. Drugim patronem roku 2013 został kompozytor Witold Lutosławski, a trzecim – chemik Jan Czochralski.

→ 70 lat temu Niemcy utworzyli obóz dla dzieci przy ulicy Przemysłowej w Łodzi. W obozie więziono dzieci w wieku od 2 do 16 lat. Historycy nie są zgodni co do liczby więźniów, szacunki wahają się od 2 do 12 tys. nieletnich więźniów. Rocznicy towarzyszy wystawa w Muzeum Miasta: *Germanizacja dzieci polskich w latach II wojny światowej* w opracowaniu Artura Ossowskiego z łódzkiego oddziału IPN. Odsłonięto także murale na budynkach w dzielnicy Bałuty dzieła Piotra Saula i Damiana Idzikowskiego.

→ 75 lat temu oddano do użytku szpital Wojskowej Akademii Medycznej. Z okazji jubileuszu w placówce tej noszącej dziś imię WAM oddano do użytku pierwszy w Łodzi Oddział Geriatrii oraz nową aulę na 140 miejsc. Od miasta szpital dostał nową karetkę wyposażoną w sprzęt reanimacyjny.

8 grudnia 2012

→ Łódzkie Oddziały Instytutu Pamięci Narodowej, Polskiego Towarzystwa Historycznego i Muzeum Tradycji Niepodległościowych zorganizowały konferencję naukową pod hasłem *30 rocznica wprowadzenia stanu wojennego. Doświadczenia z Łodzi i regionu*. Referaty wygłosili: Leszek Próchniak, Kamila Orman, Krzysz-

tof Lesiakowski, Aleksy Piasta, Andrzej Wróbel, Andrzej Czyżewski, Milena Przybysz, Anna Miller, Sylwia Hydrasiak i Mateusz Matuszak.

→ *Panorama oporu. Wolna myśl, wolne słowo 1976-1989* to tytuł sympozjum naukowego zorganizowanego przez Łódzkie Towarzystwo Inicjatyw Społecznych pod patronatem Narodowego Centrum Kultury i Urząd Miasta Łodzi. Sympozjum poświęcone było roli środowiska kulturalnego w powstawaniu opozycji wobec systemu totalitarnego. Okolicznościowe referaty wygłosili: Andrzej Friszke, Teresa Bogucka, Anda Rottenberg, Mirosław Chojecki, Kazimierz Kaczor, Radosław Peterman. Uczestnicy sympozjum poprzez Skype'a rozmawiali z dziennikarzem Andrzejem Poczobutem o sytuacji na Białorusi. Konferencji towarzyszyła wystawa bibuły i druków podziemnych ze zbiorów Krzysztofa Bronowskiego, pokaz filmów Mirka Chojeckiego i Piotra Bikonta oraz audycji telewizyjnych Waldemara Wiśniewskiego pt. *Świadkowie nieznanych historii*. Na zakończenie sesji z recitalem wystąpił Olek Grotowski. Rolę moderatora pełnił Zdzisław Jaskuła.

9 grudnia

→ Ruch Palikota zorganizował w Łodzi Forum Gospodarcze z udziałem założyciela partii. Podczas forum przedstawiono program gospodarczy Ruchu.

→ Kilkadziesiąt osób oglądało siedem lokali na Księżym Młynie, które magistrat oferuje artystom po tańszych cenach na galerie i pracownie. Konkurs zostanie rozstrzygnięty w styczniu 2013 roku.

Personalia:

4 grudnia

→ Radni komisji finansów odwołali z funkcji przewodniczącego Witolda Rosseta i na jego miejsce wybrali Bartosza Domaszewicza z PO. Witold Rosset został usunięty z Klubu PO po złamaniu przez niego dyscypliny partyjnej podczas głosowania za utworzeniem Zarządu Zieleni Miejskiej. W. Rosset był temu przeciwny.

10 grudnia

→ Po objęciu przez Bartosza Domaszewicza funkcji przewodniczącego Komisji Finansów radni Komisji Promocji jednogłośnie wybrali na jego miejsce zgłoszoną na tę funkcję Martę Grzeszczyk, także radną PO.

Odeszli:

4 grudnia

→ Kazimierz Studniarski – chemik, prof. zw. Politechniki Łódzkiej, od 40 lat związany z uczelnią, były dziekan Wydziału Chemicznego PŁ, zasłużony naukowiec i nauczyciel akademicki.

10671-A

KREUJE